



JÓZEF ROTH

**Rodzina
Bernheimów**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

JÓZEF ROTH

*Rodzina Bernheimów*¹

TŁUM. IZYDOR BERMAN

¹*Rodzina Bernheimów* — tytuł oryginału: *Rechts und links*. W wydaniu źródłowym znajduje się informacja: „z upoważnienia autora przełożył dr I. Berman”. W niniejszym wydaniu dokonano dużych zmian redakcyjnych w tłumaczeniu, opisanych szczegółowo w nocie redaktorskiej. [przypis edytorski]

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Przypominam sobie jeszcze czasy, kiedy to Paweł² Bernheim zapowiadał się na geniusza.

Był wnukiem handlarza koni, który zaoszczędził sobie mały majątek, i synem bankiera, który już nie umiał oszczędzać, lecz któremu sprzyjało szczęście. Ojciec Pawła, pan Feliks Bernheim, szedł przez życie z beztroskim i pyszałkowatym obliczem i miał wielu wrogów, chociaż normalny stopień głupoty powinien był zapewnić mu szacunek współobywateli. Jego niezwykle szczęście pobudzało ich zazdrość. Jak gdyby uwziąwszy się, by ich do ostatniej doprowadzić rozpaczy, los obdarzył go pewnego dnia główną wygraną.

Ludzie główną wygraną przeważnie zachowują w tajemnicy, jak plamę na honorze rodziny. Pan Bernheim jednakowoż podwoił swoje

²Paweł — w oryg. niem. imię bohatera brzmi: Paul. [przypis edytorski]

ostentacyjne lekceważenie dla otoczenia; zredukował i tak już skąpą liczbę ukłonów, którą zwykł był codziennie rozdawać i zaczął ludziom, którzy mu się kłaniali, odpowiadać z obraźliwym i obojętnym roztargnieniem, jak gdyby w obawie, że jego szczęście nie zostanie przyjęte do wiadomości z dostateczną złośliwością. I nie dość na tym. On, który dotąd wyzywał jedynie ludzi, jął wyzywać przyrodę. Mieszkał w obszernym domu ojca, niedaleko miasta, przy wielkim gościńcu prowadzącym do jodłowego lasu. Pośrodku starego ogrodu stał dom, pomiędzy drzewami owocowymi, dębami i lipami. Był na żółto pomalowany, miał czerwony, stromy dach i otoczony był szarym murem wysokości człowieka. Drzewa stojące na skraju ogrodu sterczały ponad murem i sklepieniem koron sięgały do środka gościńca. Od dawnych czasów opierały się o mur dwie szerokie, zielone ławki. Znużeni mogli tam spocząć. Jaskółki gnieździły się w domu, w letnie wieczory w listowiu drzew rozbrzmiewał świegot — a długi mur, drzewa i ławki były dobrym

i chłodnym pocieszeniem, wśród gorącego kurzu letniej drogi. A wśród gorzkich dni zimowych obiecywały przynajmniej sąsiedztwo ludzi.

Pewnego dnia, w lecie, ławki znikły. Wzdłuż i powyżej muru wznosiło się nagie, drewniane rusztowanie. Stare drzewa w ogrodzie zostały ścięte. Można było słyszeć trzask i łomot i ostatni poszum koron, które po raz pierwszy dotykały ziemi. Mur upadł. Przez dziury i szczeliny drewnianego rusztowania widzieli ludzie ogołocony z drzew ogród Bernheimów, żółty dom oddany na pastwę gnuśnego opustoszenia, i niechęć ich ogarniała, jak gdyby to był ich dom i ich drzewa, i ich mur.

W parę miesięcy później stał na miejscu żółtego domu ze szpiczastym dachem, nowy, biały, lśniący, z kamiennym balkonem opartym na wapiennych barkach Atlasa, z płaskim dachem, mającym przypominać Południe, z modną sztukaterią między oknami, z główkami aniołów i maskarami czartów pod dachem na przemian, oraz z pompatyczną wprost rampą, która

byłaby godnym zajazdem dla sądu apelacyjnego, parlamentu lub wyższej uczelni. Zamiast kamiennego muru stanęła gęsta siatka z szarego drutu z ostrymi kolcami, przeciw niebu, ptakom i złodziejom. W ogrodzie można było zobaczyć okrągłe grządki lub grządki w formie serca, sztuczne trawniki z gęstą, krótką i prawie że niebieską trawą, wątle krzaczki róży podparte deszczułkami. Na środku każdej grządki stał karzeł z pomalowanej glinki. Karły miały czerwone kapuzy, uśmiechnięte twarze, białe brody, a w drobnych rączkach trzymały łopaty, rydło, młoty i polewaczki. Cały baśniowy ludek z fabryki Grutzer i S-ka. Kunsztownie splecione ścieżki wiły się jak węże pomiędzy grządkami, które były usłane żwirem, skrzypiącym już przy oglądaniu. Jak daleko okiem sięgnąć nie było ławki. I chociaż przecież stało się na dworze, odczuwało się w nogach zmęczenie na widok tej niespokojnej wspaniałości; jakby po kilkugodzinnej przechadzce po niej. Karły uśmiechały się nadaremnie. Cienkie krzaczki róży drżały, bratki wyglądały jak malowa-

na porcelana. Nawet gdy długi wąż ogrodnika rozpylał kryształową wodę, nie odczuwało się chłodu, a raczej przypominał się delikatny, odurzający płyn, którym bileter kinowy skrapia odkryte głowy widzów. Nad balkonem poleciał pan Bernheim umieścić słowa: *Sans souci*³. Były to złote, zębate, trudno czytelne litery.

Często można było widzieć pana Bernheima spacerującego pomiędzy grządkami i gwałcącego wspólnie z ogrodnikiem przyrodę. Słyszało się wówczas syczący trzask nożyc i suche trzeszczenie małych żywopłotów, które świeżo co zasadzone, ledwie zaczęły rosnać, a już musiały zapoznać się ze swoim regulaminem służbowym. Okna domu nigdy nie były otwarte. Story⁴ przeważnie były zapuszczone. Zdarzały się wieczory, kiedy poprzez żółte, gęste firanki można było widzieć przechadzające się lub siedzące cienie osób, kontury i świetlne węzły

³*Sans souci* (fr.) — bez trosk; nazwa na wzór Schloss Sanssouci, rokokowej letniej rezydencji królów pruskich, wybudowanej w II poł. XVIII w. w Poczdamie pod Berlinem. [przypis edytorski]

⁴*story* — zasłony. [przypis edytorski]

pajaka⁵. Wtedy domyślano się, że w domu pana Bernheima odbywa się uczta.

Przebieg uczt miewał u państwa Bernheimów jakąś chłodną godność. Wino, które w ich domu podawano, nie wywoływało odpowiedniego efektu, mimo że było znakomitego pochodzenia. Gość pił wino i stawał się trzeźwy. Pan Bernheim zapraszał z zamiłowaniem kilku właścicieli dóbr z sąsiedztwa, kilku wojskowych, zawsze ludzi o wielkopańskich ambicjach, oraz wybrane jednostki przemysłu i finansjery. Respekt przed swoimi gośćmi i obawa przed naruszeniem powagi, nie pozwalały mu być wesołym. Goście wyczuwali nieśmiałość gospodarza i zachowywali się przez cały wieczór jak na wstępie, mianowicie poprawnie. Pani Bernheim nie rozumiała dowcipów sytuacyjnych, a w anegdotach nie znajdowała niczego zabawnego. Była zresztą żydowskiego pochodzenia — a ponieważ anegdoty, które kursowały pomiędzy gośćmi, przeważnie zaczynały się od słów: „Pewnego razu Żyd sie-

⁵pajak — tu: żyrandol. [przypis edytorski]

dział w pociągu...”, czuła się pani Bernheim dotkniętą i gdy tylko ktoś czynił przygotowania do opowiadania małej historii, popadała w mętne i zakłopotane milczenie. Obawiała się, że rozmowa zejdzie na Żydów. Pan Bernheim nie uważał za stosowne rozmawiać z gośćmi o swoich interesach. Oni znów uważali, że nie ma sensu donosić mu o gospodarce, o wojsku, o koniach. Niekiedy Berta, jedyna córka domu i dobra partia, grywała na fortepianie Chopina ze zwykłą wirtuozerią lepiej wychowanych panien. Niekiedy tańczono u państwa Bernheimów. W godzinę po północy goście rozchodzili się. Za oknami gasły światła. Wszystko spało. Jedynie stróż, pies i karły w ogrodzie czuwały.

Paweł Bernheim udawał się o dziewiątej godzinie na spoczynek, jak to przyjęte jest u dobrze wychowanych ludzi. Mieszkał w jednym pokoju z młodszym bratem Teodorem. Paweł czuwał dłużej i zasypiał dopiero, gdy w całym domu panowała już cisza. Był wrażliwym chłopcem. Nazwano go „nerwowym dzieckiem” i wy-

wodzone z jego wrażliwości specjalne uzdolnienia.

W młodszych latach usiłował zdolności te wykazać. Gdy Bernheimom przypadła główna wygrana, dwunastoletni Paweł wyposażony był rozumem osiemnastoletniego młodzieńca. Nagła przemiana mieszczańskiego domu w dom bogaty z wielkopańskimi aspiracjami spotęgowała jego przyrodzoną ambicję. Wiedział o tym, że bogactwo i towarzyska pozycja ojca mogą zdobyć dla syna potężne „stanowisko”. Naśladował zarozumiałość ojca. Prowokował kolegów i nauczycieli. Miał miękkie biodra, wolne ruchy, pełne, czerwone, na wpół otwarte usta i białe, drobne zęby, skórę o zielonawym połysku, jasne i próżne oczy ocienione długimi i bardzo ciemnymi rzęsami, oraz długie, podniecająco łagodne włosy. W ławce siedział nie dbale, roztargniony, uśmiechnięty. Jego postawa zdradzała nieustannie żywą myśl: mój ojciec może kupić całą szkołę. Inni byli bezsilni i mali, oddani na pastwę przemocy szkoły. Jedynie on mógł szkole przeciwstawić potęg-

gę ojca, jego anglosaskie śniadanie, jego *ham-and-eggs* z sokiem pomarańczowym, instruktora domowego, którego lekcje konsumował codziennie po południu wraz z czekoladą i kek-sami, piwnicę z winami, powóz, ogród i karły.

Czuć go było mlekiem, ciepłem, mydłem, kąpielą, gimnastyką pokojową, lekarzem domowym i pokojówkami. Zdawało się, że szkoła i zajęcia szkolne stanowiły jedynie nieważną część jego dnia. Jedną nogą stał już w świecie. Mając w uchu echo jego głosów, siedział w klasie jak gość. Utrzymywał ograniczone relacje z kolegami. Czasami przychodził po niego ojciec. Przyjeżdżał powozem na godzinę przed zakończeniem nauki. Następnego dnia przynosił Paweł świadectwo od lekarza domowego.

Wszelako niekiedy wyglądało, jak gdyby tęsknił za przyjacielem. Ale nie znajdował drogi. Zawsze pomiędzy nim a tamtymi stało jego bogactwo. Mówił czasami: „Przyjdź dziś po południu do mnie — mój instruktor zrobi nam obu nasze wypracowania”. Lecz tylko rzadko

któryś przychodził. Wymawiał bowiem z naciśkiem „mój instruktor”.

Uczył się łatwo i wielu rzeczy domyślał się. Czytywał pilnie. Ojciec urządził mu bibliotekę. Mówił niekiedy, gdy to było niepotrzebne: „Biblioteka mojego syna!”. Albo do służącej: „Anna pójdzie do biblioteki mojego syna” — mimo że innej w domu nie było. Pewnego dnia próbował Paweł zrobić portret ojca na podstawie fotografii. „Mój syn ma frapujący talent” — orzekł stary Bernheim — i począł kupować szkicowniki, kolorowe ołówki, płótna, farby olejne, pędzle. Przyjął nauczyciela do rysunków i przebudował część poddasza na atelier.

Dwa razy w tygodniu, przed wieczorem, od piątej do siódmej godziny, ćwiczył Paweł ze swoją siostrą na fortepianie. Gdy się przechodziło obok ich domu, słyszało się, jak grali na cztery ręce, wiecznie Czajkowskiego⁶. Czasami któryś z kolegów mówił: „Słyszałem, jak wczo-

⁶*Piotr Iljicz Czajkowski* (1840–1893) — kompozytor rosyjski. [przypis edytorski]

raj grałeś na cztery ręce”. — „Tak jest, z moją siostrą! Ona gra jeszcze o wiele lepiej ode mnie”. I wszyscy byli źli z powodu tego małego słówka „jeszcze”.

Rodzice zabierali go ze sobą na koncerty. Nucił wtedy melodie, wyliczał dzieła kompozytorów, sale koncertowe i kapelmistrzów, których chętnie naśladował. Na letnie ferie wyjeżdżał w daleki świat — z guwernerem, ażeby niczego nie zapomniał z tego, czego się nauczył. Wyjeżdżał w góry, nad morze, na dzikie i obce wybrzeża. Wracał milczący i dumny, ograniczał się do wyniosłych uwag, jak gdyby w przekonaniu, że ci, do których się zwraca, posiadają znajomość świata. Był doświadczony. Widział już wszystko, o czym słyszał i o czym czytał. Jego chyży mózg stwarzał pożyteczne asocjacje. Ze „swojej biblioteki” czerpał zbędne szczegóły, którymi mógł błyszczeć. Jego kartka z „lekturą prywatną” była najobszerniejsza. Przebaczano mu jego niedbałość. Nie rzucała cienia na jego „obyczaje”. Przyjmowano, że taki dom, jak Bernheimów, daje dostateczną gwarancję

dobrego zachowania się. Opornych nauczycieli poskramiał ojciec Pawła, zapraszając ich na „skromną kolację”. Wracali do swoich mieszkań onieśmieleni widokiem parkietowej podłogi, obrazów, służby i pięknej córki.

Dziewczęta żadnym sposobem nie mogły Pawła Bernheima onieśmielić. Stał się z czasem świetnym danserem⁷, przyjemnym gawędziarzem, dobrze przysposobionym sportowcem. Z biegiem miesięcy i lat zmieniały się jego zamiłowania i talenty. Pół roku jego namiętność należała do muzyki, miesiąc oddawał się szermierce, jeden rok rysunkom, rok literaturze i wreszcie młodej żonie okręgowego sędziego, której zapotrzebowanie na młodzieńców nie mogło zostać pokryte w miasteczku średniej tylko wielkości. W miłości do niej skupił wszystkie swoje zdolności i namiętności. Dla niej malował landszafty i białe krowy, dla niej fechtował się, komponował, układał pieśni o przyrodzie. W końcu obdarzyła swoimi względami pewnego chorążego, a on zanurzył się w hi-

⁷*danser* — dziś: tancerz. [przypis edytorski]

storii sztuki „celem zapomnienia jej”. Historii sztuki postanowił obecnie poświęcić życie. Niebawem nie mógł widzieć człowieka, ani ulicy, ani kawałka pola, ażeby nie zacytować sławnego malarza lub znanego obrazu. Brakiem zdolności do bezpośredniego przeżycia i prostego określenia czegokolwiek prześcignął już w młodych latach wszystkich historyków sztuki o głośnym nazwisku.

Ale i ta namiętność zgasła. Ustąpiła miejsca ambicji towarzyskiej. Była może tylko mostem do niej... Była pomocniczą nauką potrzebną dla kariery towarzyskiej. Pewne błogonaiwne, miłe i pytające spojrzenie podpatrzył może u pewnych malarzy świętych obrazów. Było to spojrzenie, które na wpół trafiało człowieka a na wpół muskało niebo. Oczy Pawła zdawały się filtrować światło niebieskie przez swoje długie rzęsy.

Wyposażony takimi powabami, ze smakiem wyszkolonym na sztuce i jej komentarzach, rzucił się w wir towarzyskiego miastowego życia, które głównie polegało na usiłowaniach matki

oddania za mąż dorastającej córki. We wszystkich domach, w których były dziewczęta, Paweł był mile widziany. Umiał uderzyć w każdy ton, który przypadkowo był pożądanym. Podobny był do muzykanta, który opanowuje wszystkie instrumenty orkiestry i który potrafi na nich z wdziękiem źle zagrać. Był w stanie mówić mądre rzeczy (zmyślane i przeczytane) przez całą godzinę. W godzinę później okazywał ciepły i roześmiany zapał do pogawędki, opowiadał po raz dziesiąty płytką anegdotę, ozdabiając ją ciągle nowymi rysami, pieścił językiem banalny aforyzm, trzymał go jeszcze chwilę między zębami, smakował go wargami. Bez skrpułów raczył dowcipami, które innym się udały albo też wyszydzał bezwstydnie nieobecnych rówieśników. A dziewczęta chichotały — był to nagi⁸ chichot. Pokazywały tylko zęby, lecz tak jak gdyby odkrywały swoje młode piersi. Klaskały rękami, lecz tak jak gdyby rozstawiały nogi. Pokazywały mu książki, obrazy i nuty, lecz tak jak gdyby ofiarowały mu swoje łóż-

⁸nagi — tu w znaczeniu: bezwstydnym. [przypis edytorski]

ka. Poprawiały sobie włosy, lecz tak jak gdyby je rozpuszczały. W owym czasie Paweł zaczął chodzić do burdelu, dwa razy na tydzień, z regularnością starzejącego się urzędnika. Opowiadał następnie o cudownościach zmyślonych kobiecych ciał, które naturalnie porównywał ze słynnymi obrazami. Opowiadał tajemnice o tej i owej córce i opisywał piersi, które rzekomo widział i których pono dotykał.

Wciąż jeszcze malował, rysował, komponował i pisał wiersze. Gdy siostra się zaręczyła — z rotmistrzem zresztą — ułożył dłuższy okolicznościowy wiersz, skomponował do niego sam muzykę, sam go zagrał i śpiewał. Później — jego szwagier bowiem interesował się maszynami — zaczął i Paweł zajmować się techniką i rozebrał własnoręcznie motor swego auta, jednego z najlepszych w mieście. W końcu uczył się jeździć konno, żeby towarzyszyć szwagrowi w alei lasku jodłowego. Obywatele miasta zaczęli na pana Bernheima patrzeć pobłażliwie, gdyż udało mu się obdarzyć miasto rodzinne geniuszem. Niejeden z wrogów

Bernheima, który przez dłuższy czas czuł się dotknięty, zaczął znowu kłaniać się unżenie Feliksowi Bernheimowi, gdyż w jego rodzinie podrasła córka na wydaniu.

W owym czasie rozeszła się wieść, że panna Bernheima czeka jakieś wielkie odznaczenie. Niektórzy mówili o nadaniu mu szlachectwa. Pouczające było zaobserwować, jak te widoki na tytuł szlachecki Bernheima uspokoiły złośliwość jego wrogów. Przyszłe szlachectwo Bernheima zdawało się dostatecznym wyjaśnieniem zarozumiałości mieszczanina. Poznano obecnie naukowe podstawy jego dumy i uważano ją za uzasadnioną. Zdaniem miasta bowiem, arogancja była ozdobą szlachcica, jak też mieszczanina, któremu szlachectwo nadano lub nawet niebawem nadać miano.

Nie jest wiadomym, jakie były rzeczywiste podstawy owej pogłoski. Może byłby pan Bernheim został tylko tajnym radcą komercyjnym. Gdy wtem wydarzyło się coś nieoczekiwanego, coś nieprawdopodobnego. Tak ba-

nalna historia, że byłby nawet wstyd opowiedzieć ją, na przykład w powieści.

Pewnego dnia zjechał do miasta cyrk wędrowny. Podczas dziesiątego czy jedenastego przedstawienia zaszedł nieszczęśliwy wypadek: młoda akrobatka spadła z trapezu do loży, w której siedział pan Feliks Bernheim.

(Był sam, gdyż jego rodzina uważała przedstawienia cyrkowe za coś wulgarnego). Opowiadano potem, że pan Bernheim „z przytomnością umysłu” chwycił artystkę w swoje ramiona. Ale tego nie można było stwierdzić. Nie można było również sprawdzić owej pogłoski, która utrzymywała, że pan Bernheim od pierwszego dnia zainteresował się dziewczyną i że jej posyłał kwiaty. Pewne jest, że ją odwiózł do szpitala, że ją odwiedzał i nie pozwolił jej już odjechać z cyrkiem. Wynajął dla niej mieszkanie i miał odwagę zakochać się w niej. On, chluba mieszczaństwa, kandydat na szlachcica, teść rotmistrza, zakochał się w akrobatce. Pani Bernheim oświadczyła swojemu mężowi: „Możesz swoją metresę sprowadzić do domu,

wyjeżdżam do siostry”. Pojechała do siostry. Rotmistrz postarał się o przeniesienie do innego garnizonu. Dom Bernheimów zamieszkiwali jeszcze tylko dwaj synowie i służba. Żółte firanki miesiącami wisały nad oknami. Co prawda stary Bernheim nie zmienił swej postawy. Został zarozumiały, stawiał światu czoło, kochał dziewczynę. O jego odznaczeniu nie mówiono więcej.

Był to jedyny śmiały czyn, na który Feliks Bernheim zdobył się w swoim życiu. Później, gdy jego syn Paweł mógłby być zdobyć się na podobny czyn, myślałem o ojcu i ponownie przekonałem się na tym przykładzie, jak odwaga z biegiem pokoleń się wyczerpuje i o ile synowie są słabsi od swoich ojców.

Obca dziewczyna żyła tylko parę miesięcy w mieście. Jak gdyby spadła z nieba jedynie w tym celu, żeby zagrzać Feliksa Bernheima w ostatnich latach jego żywota do śmiałego postępuku, darować mu jeszcze przemijające lśnienie piękna i uskutecznić prawdziwe nadanie naturalnego szlachectwa. Pewnego dnia dziew-

czyna znikła. Może — gdyby ktoś wolał powieściowe zakończenie tej romansowej historii — cyrk znowu przybył w te okolice i dziewczyna stęskniła się za swoim trapezem.

Akrobatyka bowiem również może być powołaniem.

Pani Bernheim wróciła. Dom umiarkowanie się ożywił. Paweł, którego przygoda ojca zasmuciła, ponieważ przepadło oczekiwane odznaczenie i ponieważ znikł rotmistrz, rychło się podźwignął, a nawet cieszył go fakt, że „stary jest jeszcze chwatem”.

Zresztą czynił przygotowania do wyjazdu. Miał wkrótce rozpocząć nowe życie.

II

Egzamin dojrzałości zdał z odznaczeniem, jak to było do przewidzenia. Odtąd nosił parę nowych ubrań. Stare uczniowskie ubrania zdawały mu się niezdrowe, jak odzież, którą nosiło się podczas długiej zakaźnej choroby. Nowe ubrania były luźne, jasne, o niewyraźnym deseniu,

miękkie i włosiste, lekkie i ciepłe. Materiały przychodziły z Anglii, z kraju, do którego Paweł Bernheim się wybierał.

Żaden z młodych ludzi nie wybierał się do Anglii. Jedyne, który wyraził nieśmiały zamiar nauczenia się w Paryżu mówić „biegle po francusku”, wydawał się reszcie podejrzany. Ale stary Bernheim rzekł pewnego razu w towarzystwie: „Natychmiast po maturze wyślę mego syna w świat!”. A dla pewnych kół lepszego mieszczaństwa światem była Anglia.

Panowie ci od kilku lat już zamawiali swoje ubrania w Anglii, byli członkami ligi morskiej, chwalili brytyjską politykę i brytyjską konstytucję, spotykali często i jak gdyby przypadkowo króla Edwarda VII na promenadzie marienbadzkiej, robili interesy z Anglikami, pili whisky i grog, mimo że lepiej smakowało im piwo pilzneńskie, zakładali kluby, mimo że chętniej byliby się schodzili w kawiarni, udawali milczących, mimo że z natury byli wymowni, zbierali różne nieużyteczne przedmioty, wmawiali sobie bowiem, że dobrze urodzo-

ny człowiek musi mieć „spleena”, uprawiali w rannych godzinach gimnastykę, lato spędzali na wybrzeżach i na morzach, ażeby skóra poczerwieniała od wiatru i słonego powietrza, opowiadali cudy o londyńskiej mgle, londyńskiej giełdzie i londyńskiej policji. Niektórzy posuwali się tak daleko, że zamiast „tak jest” mówili „well” i abonowali angielskie pisma, które za późno przychodziły, żeby z nich można było dowiedzieć się czegoś nowego. Ale abonenci nie przyjmowali na razie do wiadomości wydarzeń, których nie czytali jeszcze po angielsku. „Zaczekajmy!” — mówili, gdy coś się zdarzyło — „jutro przyjdzie gazeta”. Ich dzieci uczyły się mówić po angielsku jak po niemiecku. I przez pewien czas wyglądało, jak gdyby w samym środku miasta podrastał mały anglosaski szczep, ażeby przy sposobności dobrowolnie przyłączyć się do brytyjskiego imperium. Musieli w tym mieście, które miało wybitnie kontynentalny charakter, i w którym nigdy nie było śladu mgły, ubierać się jak na płukanych morzem wybrzeżach Anglii.

Gdy Paweł przez kilka tygodni nosił swoje angielskie ubrania, oświadczył, że chce w Anglii pozostać parę lat. W obawie, że ktoś mógłby nie docenić studiów i życia w Anglii, dodał: „Warunki dostania się na wyższą uczelnię w Anglii wcale nie są tak łatwe, jak się to niektórym wydaje. Cudzoziemiec musi w ogóle mieć polecenia od dwóch reprezentatywnych Anglików, w przeciwnym razie nigdy w życiu się tam nie dostanie! Przede wszystkim trzeba umieć się zachowywać bez zarzutu, co u nas niestety tak rzadko się spotyka! Pojadę do Oxfordu! W następnym tygodniu wyćwiczę się jeszcze w pływaniu”.

Brzmiało to, jak gdyby miał zamiar dotrzeć do Kolegium⁹, pływając.

Na podstawie wyobrażenia, jakie sobie urobił o Anglikach, sądził, że mają praktyczne niejako nastawienie i że u nich mało można będzie wskórać historią sztuki. Postanowił przeto studiować nauki społeczne, historię i prawo. O obrazach i malarzach nie było już mowy. Za-

⁹*Kolegium* — tu: Uniwersytet Oksfordzki. [przypis edytorski]

nim się człowiek oglądnał, wszystkie potrzebne mu naukowe dzieła stały w jego bibliotece. Z prospektów wiedział już, jak wszystko w Oxfordzie wygląda. Opowiadał historie z Oxfordu, jak gdyby stamtąd wracał, a nie jak gdyby się dopiero tam wybierał. Dziwniejsze jednak niż fakt, że mówił o kolegiach z autorytetem długoletniego znawcy, było zainteresowanie i łatwowierność ludzi, którzy go wypytywali. I nie tylko on, ale i ojciec opowiadał o studiach w Oxfordzie, a wszyscy członkowie klubu, do którego stary Bernheim należał, cytowali w domu rozkład godzin w Oxfordzie. I wszystkie dziewczęta na wydaniu opowiadały sobie: „Paweł jedzie do Oxfordu!”. Mówiły Paweł, i tak nazywała go sfera mieszczaństwa. Był ulubieńcem. Jest to los miłych mężczyzn, że obcy ludzie nazywają ich po imieniu.

Pewnego pięknego dnia w czerwcu Paweł wyjechał do Oxfordu. Kilka młodych pań odprowadziło go na dworzec. Rodzice opuścili miasto już parę tygodni wcześniej. Wyjechali na wywczasy letnie, gdyż matka Pawła oświadczy-

ła: „Nie chcę być w domu, gdy Paweł odjeżdża na tak długi czas. W podróży zniosę to łatwiej”. Paweł miał na sobie ubranie o niewyraźnym kolorze, w lewym kącie ust trzymał krótką fajkę i stał przy oknie przedziału, niczym figura z pisma mód. Podczas gdy pociąg ruszył z hali, rzucił trzem najpiękniejszym pannom, z zadziwiajączą zręcznością, po jednej róży. Tylko jedna spadła na ziemię, panna schyliła się, a gdy znowu podniosła głowę, nie mogła już Pawła dosięgnąć wzrokiem. Wyjazd jego był ostateczny i miasto zdawało się to odczuwać w ów letni wieczór. Było smutne.

W pewnych odstępach czasu ten lub ów dostawał od Pawła Bernheima list. Były to wzo-
rowe listy, dżentelmeńskie listy. Na złożonym
we troje papierze listowym, przypominającym
pergaminowe dokumenty, maszerowały szerokie,
rzymskie litery, nieco rozpieszczone i nieco
nadęte, w wielkich odstępach i z szerokim
marginesem. Na górnym brzegu, po lewej stronie,
błyszczał monogram Pawła na ciemnoniebieskim tle. Na kopercie nigdy nie było na-

zwiska nadawcy. Mniej więcej na środku koperty wytłoczony był monogram na ciemnoniebieskim laku. Duże P ułożone artystycznie w brzuchu litery B, jak płód w łonie matki. W listach tych panował przeważnie bardzo ogólnikowy, konwencjonalny ton. Fachowe terminy z dziedziny sportu, wstrząsająco obce określenia żaglowców i łodzi przeplatały się z wykwinnymi nazwiskami, a krótkie, jednozgłoskowe imiona kolegów, Bob, Tedd i Pitt, były rozsiane po tekście jak pękające kapiszony.

Pewnego dnia został przez konsularnego lekarza w Londynie wcielony do armii. Otrzymał kilkuletnie odroczenie. Przydzielono go oczywiście do kawalerii.

O swoim przyjęciu do wojska zawiadomił w następujących słowach:

„A więc, moi kochani; przyszedł na mnie czas! Kawaleria, spodziewam się, dragoni. Staremu momentalnie telegrafowałem. Dwa lata odroczenia, do tego czasu będę uprawiać prawdziwie kowbojską jazdę. Kupiłem tu konia, nazywa się Kentucky, liże mi twarz, ma usposo-

bienie kocura. Lekarz był znakomity. Byłem zresztą najprzystojniejszym młodzieńcem, nic dziwnego, reszta to wszystko urzędnicy handlowi, jeden jedyny robotnik. Nędzna rasa. Brali ich jednak. Jak podczas wojny. Potem dwa dni w Londynie, rozbijałem się po ciemnych zaułkach. Znowu kobiety, po długim rygorze klasztornym w Kolegium. Wspominałem katechetę. Był jednak morowym gościem. Czy żyje? A więc, mój stary, jeszcze roczek; a spędzę dwa tygodnie w domu. Muszę pędzić, trzeba potrenować przed przyszłym tygodniem. Okropne! Turniej szermierski połączony z balem. Prawie że zapomniałem, jak się tańczy, muszę na nowo zabrać się do tego. Jak widzisz, moc roboty. Wszystkiego dobrego, bądź zdrów!”

Podobne listy pisywał do domu. Zdaje się, że właściwie nie miał o czym zawiadamiać i że jego korespondencja była nieuniknionym następstwem planu zajęć w Kolegium, w którym pisanie do ukochanych w domu było takim samym obowiązkiem, jak szermierka i wiosłowanie.

„Chciałbym tylko wiedzieć” — mówił stary Bernheim w klubie — „kiedy nicponie mają czas na naukę! O nauce nic nie pisze!”

Fabrykant Lang, którego z Anglią łączyły „najlepsze stosunki”, nie dopuścił do żadnych powątpiewań pod adresem metody naukowej Kolegium i oświadczył nie bez pewnego oburzenia:

„Już Anglicy będą wiedzieć, co robią! Popatrzcie proszę na angielskich panów, umieją więcej od nas. Zdrowy duch w zdrowym ciele, moi panowie, oto zasada”.

Na to czterech albo pięciu panów zawołało równocześnie i szybko: „mens sana in corpore sano”. W tym zamieszaniu tylko jeden z panów mógł cytat dokończyć. Pan Lang żałował, że sam nie podał mądrości klasycznej w oryginale, nagle rzucił na stół karty i po wielu latach znowu zawołał: „Alea iacta est!”. Tym samym stwierdzone zostało, że wszyscy ci panowie o anglosaskiej orientacji byli skończonymi humanistami.

I rozpoczęto partię taroka.

Przy tej sposobności będzie może na miejscu dodać, że owa miłosna przygoda pana Bernheima, zaledwie na kilka tygodni po zniknięciu artystki, wywietrzała z pamięci ludzi bez śladu. Jeżeli się weźmie pod uwagę wcale jeszcze pokąźną liczbę wrogów i zazdrośników Feliksa Bernheima, był to nie lada wyczyn w dziedzinie zapomnienia. Z tego można by prawie wnosić, że ludzie nie lubią, gdy kompromituje się nawet ktoś z nielubianych przez nich autoritetów. Istotnie historia ta nie miała żadnych trwałych następstw, poza przeniesieniem zięcia i wyjazdem córki. Pani Bernheim od dawna znowu rezydowała w swoim, prawnie do niej należącym domu. Może być, że w sercu ukrywała jeszcze żal do swego męża. Ale zachowywała się wzorowo, jak o niej wtedy mówiono, i niczego nie zdradzała. Miała ograniczony, lecz w obrębie wąskich granic dobrze funkcjonujący rozum. Co prawda skłonna była go często przeceniać. Zdarzało się, że wypowiadała swoje zdanie o jakimś ministrze, poecie, o renesansie lub religii — a o wszystkim w ten sam lek-

ceważący sposób, w jakim zwykła była mówić o służbie domowej. Zdarzało się, że rozpieszczonym głosem wypowiadała głupstwa, które uważano by za sympatyczne lub nawet urocze, gdyby była o trzydzieści lat młodsza. Ba, здавало się: jej piękne i pełne usta niegdyś cały świat tak długo w zachwyty wprawiały głupstwami, że właścicielka tych ust w końcu uwierzyła, iż jest czarująca, gdy miesza się do wszystkiego, na czym się nie zna. Zapomniała, że się postarzała. Zapominała o tym tak dalece, że, mimo siwiejących włosów, które z lekka zaczęła farbować, w chwilach, gdy wypowiadała głupie zdanie, w jej startych rysach pojawiał się dawny, dziewczęcy błysk. Przez jedno mgnienie oka po twarzy jej przebiegał uroczy cień jej młodości. Ale cień bardzo szybko zniknął, a dźwięk głupstwa długo w pokoju się unosił. Zakłopotanie słuchaczy trwało i wzmagano się jeszcze, gdy pan Bernheim robił daremne próby ratowania sytuacji niesmacznym dowcipem.

Od wielu lat powtarzała się ciągle ta przykra sytuacja! Jedynie on między wszystkimi obec-

nymi wiedział, jaka przerażająca różnica była pomiędzy naiwnym słowem, które spływało ongiś z kwitnących warg jego żony, a tym samym naiwnym słowem wypowiedzianym obecnie przez poblądłe wargi. Przestraszony, wyrywał się z dźwiękiem, jak ktoś, kto w strachu wydaje okrzyk. Pani Bernheim atoli w takich wypadkach była „obruszona”. Dąsała się, jak to z pewnością w młodości praktykowała z wielkim powodzeniem, i wskutek tego wyglądała o dziesięć lat starsza. Sądziła zresztą, że ma uzasadnione prawo do mądrych poglądów. Była przekonana, że „wykształcenie” — o którym miała wysokie wyobrażenie — jest nie tylko przywilejem lepszych sfer, ale również jej dziedzictwem, i że wystarczy mieć bogatego męża oraz syna posiadającego „bibliotekę”, ażeby móc rozprawiać na kulturalne tematy.

Była kiedyś piękna i rozpieszczono ją. Na jej szerokiej, nieskazitelnie ukształtowanej twarzy — miała podobne włosy i podobny kolor skóry, jak jej syn Paweł — leżał niezmacony spokój, zimny, niedostępny spokój, przypomi-

nający zamkniętą bramę, a nie wolną, samotną przestrzeń. Jej twarz nie znała zmarszczek spowodowanych zgryzotą, a zmarszczki starości odczuwała jako obrazę i jako obcych, nieproszonych gości. Jej lśniące, szare, kokieteryjne oczy patrzyły zalotnie i wrogo zarazem. Jej spojrzenie można było uważać za królewskie — a za takie ona sama je uważała — gdyby nie to, że wyraźnie zdradzało, na czym się ćwiczyło: na firankach, sukniach, pierścionkach i koliach, na tzw. „interieurs” i na sprzętach gospodarstwa domowego. Tak jest, na sprzętach gospodarstwa domowego. Pani Bernheim miała bowiem obok ambicji, żeby mieszkać „po książęcemu” i prezentować się „po królewsku”, tę jeszcze ambicję, żeby uchodzić za „skromną kobietę”. Gdy przed wielkanocnymi świętami do zbędnych kap przypinała niepotrzebne hafty, żeby komuś zrobić „niespodziankę”, była przeświadczona o tym, iż składała ofiarę potwierdzającą cnotę oszczędności. Sprawiało jej to słodki, przyjemny ból, który przynosił taką bez mała ulgę, jak płacz. „Popatrz, Feliksie —

mawiała — pani Lang z pewnością tego sama nie robi”.

— Przecież ty także nie potrzebujesz tego robić — odpowiadał Feliks.

— A któż to ma zrobić? Czy chciałbyś na to wydać majątek?

— Ja w ogóle mogę z tego zrezygnować.

— Naturalnie, a gdyby tego nie było, krzywiłbyś się!

— Zwróć lepiej uwagę na guziki przy moim palcie — dziś urwał mi się jeden!

— Daj mi go! — rzekła pani Bernheim uradowana. — Na Lizę i tak zdać się nie można! Wszystko, wszystko muszę sama robić!

Z wesołym westchnieniem, dzięki któremu praca wydaje się trudniejsza i bardziej cenna, a które uspokaja sumienie pracującego, zabrała się pani Bernheim do przyszywania guzika.

— Paweł pisze mi — rzekła nagle — że mu za mało posyłasz!

— Wiem, co robię!

— Tak jest, ale nie znasz Oxfordu!

— A ty go nie znasz lepiej.

— Tak?! A mój kuzyn Fryc, czy nie studiował na Sorbonie?

— To jest coś zupełnie innego, i w ogóle to nic nie jest!

— Ależ Feliksie, proszę cię, nie bądź ordynarny!

Feliks zastanawiał się, czy może był ordynarny. Milczał. W końcu pani Bernheim wszystko zapomniała.

— Tak, teraz guzik będzie się trzymać wiecznie! — rzekła z radością dziecka.

I udali się na spoczynek.

O Teodorze, młodszym synu, mówili rzadko. Nie uchodził w domu za genialnego człowieka, jak jego brat, gdyż był więcej podobny do ojca niż do matki. Tak przynajmniej utrzymywała pani Bernheim. Pani Bernheim uważała swego męża za szczęśliwca, urodzonego w czepku. Nie przypisywała mu żadnej wiedzy, ani też zdolności nabycia jakichkolwiek umiejętności. Do interesów i kupców odnosiła się z lekceważeniem, jakie niektóre córki z mieszczańskich domów w dziewięćdziesiątych latach dziedzi-

czyły razem z wykształceniem, wyprawą, grą na fortepianie i beletrystyką. Według poglądów pani Bernheim, urzędnik państwowy przewyższał rangą bankiera, a finansista nie był zdolny do nabrania „kultury”. Ponieważ jej kuzyn był adwokatem, małżeństwo jej na wieki w jej oczach pozostawało mezaliansem. Gdy była młodszą, myślała niekiedy o tym, ażeby zdradzić męża z akademikiem albo oficerem. Cudzołóstwo z człowiekiem o wyższej godności towarzyskiej byłoby rehabilitacją za pożycie ze zwykłym bankierem. Gdy się słyszało, jak pani Bernheim, która naturalnie także miała swoje „nerwy”, wypowiadała słowa „Ależ Feliksie!”; albo jak unosiła się i narzekała na ten „głośny dom”, gdy wiatr z trzaskiem zamykał drzwi lub okna, albo jak mówiła: „Zachowuj się ostrożniej!”, gdy jej mąż przypadkiem przewracał krzesło — można było po tych zwrotach poznać niezmierną krzywdę, jaką los wyrządził pani Bernheim.

A jednak umiała często udzielić mężowi zdumiewająco dobrych rad. Przewidywała niebezpieczeństwa w interesach. Przeczowała złe za-

miary pewnych osób. Do służby, rachunków i dostawców odnosiła się z nieufnością graniczącą z jasnowidztwem. Umiała utrzymywać w domu porządek, organizować letnie podróże i zaskarbić sobie szacunek u konduktorów, oficerów marynarki i służby hotelowej. Posiadała zwierzęcy instynkt domowy i familijny. Był on źródłem jej ostrożności, mądrości i dobroci, która co prawda sięgała jedynie do siatki drucianej ogrodu.

Za siatką zaczynała się twardość jej serca, jej nieustępliwość, jej ślepotą i jej głuchota. Rozróżniała pomiędzy biednymi, którzy w jakiś sposób zdobyli dostęp do jej domu, a żebrakami na ulicach. A swoją dobroczynność potrafiła tak zorganizować, że jej serce mogło funkcjonować wyłącznie w pewnych godzinach, w pewnych dniach. Odczuwała potrzebę w ten sposób i w regularnych odstępach czynić dobrze. Gdy opowiadano jej jednak o nieszczęściu, które spotkało pewną obcą rodzinę, interesowały ją okoliczności, w jakich owo nieszczęście miało miejsce, na przykład, czy to by-

ło w środę czy we czwartek, w nocy czy w dzień, na ulicy czy w mieszkaniu. Mimo ciekawości dla szczegółów, nie byłaby się za żadną cenę udała w pobliże nieszczęścia. Omijała bowiem niedolę i choroby, cmentarze i obowiązki kondolencyjne. Przeczynała wszędzie możliwość zarażenia się. Gdy ją mąż czasami zawiadamiał: „pan Lang jest chory, czy pan Steuffer; czy pani Wagram” — odpowiadała regularnie: „Nie chodź tylko tam, Feliksie!”. Każdy fanatyzm jest okrutny. Fanatyzm powodzenia również...

Tęskniła za synem Pawłem. Czytała po kilka razy jego dziarskie listy, nie wiedziała nigdy, co zawierają, i usiłowała między wierszami poznać, czy „jej dziecko” jest zdrowe, czy też ukrywa jakąś chorobę. Uważała go bowiem za „szlachetnego chłopaka”, który zamilkł w bólu. Pisała do niego dwa razy w tygodniu. Nie były to odpowiedzi ani wiadomości, lecz słowa, litery zastępujące całusy i pieszczoty, utrzymujące cielesny kontakt. Paweł czytał te listy pobieżnie i palił je. Nie był z matki zadowolony. Byłby sobie życzył matki, która byłaby „praw-

dziwą lady”. Taką ją przedstawiał, gdy się składało, że miał o niej opowiadać obcym. Niekiedy śnił o tym, ażeby ją jeszcze raz wychować. Wyobrażał sobie, że mieszkałby z nią w angielskim dworku. Musiałaby mieć białe włosy, czytać Hardy’ego¹⁰ i cieszyć się szacunkiem szlachty. W jego opisach przybierała formy, kontury, charakter i znaczenie, jakie ona sama chętnie sobie przypisywała. Gdy mówił o ojcu, karykaturował go z lekka według tendencji matki. Wszelako rzadko mówił o ojczyźnie i o swoim domu, bo prawdy opowiadać nie mógł, a w kłamaniu nie był pewny.

Miał jeszcze pozostać w Anglii co najmniej półtora roku. Ale pewnego dnia otrzymał depeszę wzywającą go natychmiast do domu.

Stary Bernheim udał się przed tygodniem w daleką podróż. Miał pojechać do Egiptu ze względu na swoją podagrę. Ale zmarł, kiedy wsiadł na statek w Marsylii. Znajdował się w towarzystwie młodej damy, którą przedstawiał ja-

¹⁰*Thomas Hardy* (1840-1928) — ang. powieściopisarz i poeta. [przypis edytor-ski]

ko swoją córkę, a która — któż to może wiedzieć — była może pośrednią przyczyną jego nagłej śmierci. Gdy zabierano jego zwłoki, nie znaleziono przy nim pieniędzy. Niektórzy ludzie utrzymywali, że młoda osoba była ową akrobatką. Ale ludzie skłonni są doszukiwać się romantyzmu w najprostszych wydarzeniach. Prawdopodobne jest, iż pociąg starzejącego się pana do młodych dziewcząt w ogólności był wielki, a jego wierność dla określonej osoby, niełatwej zresztą do wyśledzenia, była wymysłem. W każdym razie śmierć jego na pokładzie okrętu, na progu morza i w objęciach pięknego prawdopodobnie dziecka, była godniejsza i większy miała rozmach niż lwia część jego życia lub co najmniej część jego życia znana ogółowi. Jest bowiem możliwe, że pan Feliks Bernheim nigdy nie wiódł jednoznacznego trybu życia. Jest możliwe, że istotnie był „chwatem”, jak wyrażał się jego syn Paweł. Zamaszystym, zdrowym, szczęśliwym i lekkomyślnym chwatem.

Zięć jego, rotmistrz, przybył po zwłoki. Paweł przyjechał na pogrzeb.

Pani Bernheim płakała nad grobem, może po raz pierwszy w życiu. Stała w otoczeniu swoich dzieci. Jej piękne, zimne oczy były czerwone. Przypominały zakrwawione, błyszczące grudki lodu. Ciało pana Bernheima pochowane zostało w marmurowym grobowcu. Na szerokiej płycie w niebieskie żyłki wszystkie jego zasługi wyryte były prostymi czarnymi literami, które miały więcej godności niż napis „Sans souci” nad jego willą.

Lecz zasmucony anioł pochylony nad krzyżem jest bratem małych aniołków zdobiących górne okna domu Bernheimów.

III

Paweł stopniowo odzyskał kontynentalne usposobienie. Zdawało się ono harmonizować z ciemnymi i statecznymi ubraniami, które nosił w żałobie po ojcu. O powrocie do Anglii na razie myśleć nie mógł. Na interesach znał się ma-

ło. Nie wiedział, czy ma zostać w banku, czy dalej studiować. Nie wiedział również, co miał studiować. Ojciec pozostawił trzy testamenty, ale wszystkie trzy napisane były dość dawno. Dorozumiewano się jakichś tajemnic w domu Bernheima i w banku. Z pogłosek można było wnosić, że majątek Bernheimów był o wiele mniejszy niż przypuszczano.

Paweł nie wypowiadał niczego pewnego o swoich planach na najbliższą przyszłość. Ciągłe jeszcze mówił o Kolegium, opowiadał jednak o nim, teraz zapoznawszy się z nim, to samo, co dawniej, gdy znał je jedynie z prospektów. Przesiadywał całymi godzinami w biurze ojca, znużony zaglądał do ksiąg, mówił z sekretarzami i starymi urzędnikami i obawiał się wciąż, że go ktoś przychwyci na nieznajomości rzeczy i wyzyska ją. U Pawła wyszło obecnie na jaw coś z nieufności matki i jej ograniczonej surowości. Nigdy na przykład nie byłby przyznał starszemu urzędnikowi, że czegoś nie rozumie. Ostatecznie musiał jeszcze walczyć z radami matki i jednego z jej braci, którzy z Bern-

heimem wiecznie wiedli spory, a obecnie pojawiali się powoli na planie.

W tym nieprzyjemnym położeniu znajdował się Paweł, gdy mu wojna¹¹ przyszła z pomocą. Od pierwszej chwili poświęcił swój zachwyty ojczyźnie, koniom, dragonom. Pani Bernheim znowu miała okazję być dumną ze swego syna; tym bardziej, że według jej przekonania śmierć trafia tylko biednych piechurów. Gdy po raz pierwszy stanął przed nią w mundurze, płakała (szedł bowiem się zaciągnąć od razu w wojskowym stroju, mimo że nigdy wcześniej nie był żołnierzem) po pierwsze: z radości z powodu męskiej urody Pawła, po drugie: ponieważ mąż nie mógł go zobaczyć; po trzecie: ponieważ widok munduru zawsze ją wzruszał. (Był to powrót do dziewczęcych lat).

Wierny tradycjom dragońskim pułku — które zresztą rozluźniły się z biegiem lat i z powodu wojny — zapuścił sobie mały, do szczoteczki podobny wąsik. Wyglądał bardziej aktywnie niż inni jednoroczniacy — ochotnicy.

¹¹wojna — tu: pierwsza wojna światowa. [przypis edytorski]

Jego jazda konna, jego postawa, jego zapatrywania i jego mundur mogłyby u obcego wywołać wrażenie, jakoby pochodził ze starej kawaleryjskiej rodziny. Swoje mieszczańskie pochodzenie kompensował, wśród tak licznej szlachty, dzielną postawą. A nazwisko swoje podpisywał odtąd tak niewyraźnie, że mogło równie dobrze znaczyć „von Bernheim” jak „Bernheim”.

Mimo to musiał na podstawie zarządzenia, które go tak przeraziło, jak innych powołanie, opuścić kawalerię. Państwo straciło dzięki swoim przesądom świetnego oficera, może nawet bohatera. Nie ulega bowiem wątpliwości, że u Pawła Bernheima próżność byłaby źródłem patriotycznego heroizmu. Na podstawie owego zarządzenia jednakowoż musiał zostać oficerem prowiantowym.

Ilu ludzi byłoby chętnie z nim się zamieniło! On jednak został, w chwili opuszczenia dragonów, zaciętym wrogiem wojny. Zdawała się otwierać przed nim inna droga do znaczenia. Zaczął obcować z pacyfistami, pisywać

do małych, zakazanych i rewoltujących pismek, przemawiać na zgromadzeniach przeciwników wojny. I chociaż nie był dobrym dziennikarzem ani mówcą, wywierał wrażenie wśród przeciętnych ludzi, zwykłych żołnierzy, dezertarów, rewolucjonistów, a to dzięki swej randze oficera, dobrej prezentacji i — co było widoczne — pochodzeniu z dobrego domu. Ludzi fascynował blask jego dystynkcji, brzęk ostróg — jako oficer prowiantowy bowiem również należał do konnego oddziału — śniada delikatność jego cery, miękkie ruchy jego ramion i bioder. A że wrogom wojny ofiarował porcję bohaterstwa, którą przeznaczył ojczyźnie, zaskarbił sobie wdzięczność prześladowanych. Patrzyli na niego z dumą. A duma ta wypływała z tych samych źródeł, z których wywodziła się nienawiść do innych członków czołowej klasy społecznej. Przecenia się wszystkich renegatów. Temu prawu zawdzięczał Paweł Bernheim swoje znaczenie w rewolucyjnych kołach.

Pouczające było obserwowanie faktu, że rewolucyjne zapatrywania Pawła w niczym nie

mogły zmienić blasku jego powierzchowności. Przywłaszczył sobie kokieterię heroizmu wraz z rewolucyjnymi przekonaniem. Parę odznak na czapce, sznury przy pasowanej litewce¹², krótki sztylecik zamiast szabli na czerwonych skórzanych pasach, miękkie, żółte buty i rajtuzy o niezwyklej szerokości: tak kroczył, niczym bóg prowiantowy. Jego służba polegała na zakupowaniu oraz rekwirowaniu bydła i zboża, a pełnił ją na tyłach, w etapie¹³ i na terenie okupacji. Jeździł przez miasta i kraje, jadał i sypiał u właścicieli dóbr, którym miłość ojczyzny nie przeszkadzała w tym, że starali się osiągnąć u Pawła wygórowane ceny i łagodne stosowanie rekwizycji. Uprzejmości jego ofiar nie wywierały na nim wrażenia. Państwo straciło bohatera a zyskało niesprzedajnego oficera prowiantowego. Paweł rekwirował bowiem i obniżał ceny z fanatyzmem rewolucjonisty. Jego obowiązek służbowy popierał jego przeko-

¹²*litewka* (niem. *die Litewka*) — rodzaj dwurzędowej kurtki żołnierskiej; nazwa niem. zapożyczona z daw. pol. [przypis edytorski]

¹³*etap* (tu daw.) — miejsce postoj, przegrupowania, przeladunku. [przypis edytorski]

niania, a strach, z jakim przyjmowały go jego ofiary, schlebiał mu w równej mierze, jak szacunek, jakim darzyli go przeciwnicy wojny. Zresztą ceniono również jego służbową sumienność. Strzegła go przed wszelkim podejrzeniem. I tak udało mu się — jak rzadko komu — połączenie cnót żołnierskich z antymilitarystycznymi przekonaniem. Tak jak umiał dawniej czytać mądre książki, prowadzić mądre rozmowy, a następnie opowiadać w towarzystwie dziewcząt tanie dowcipy, tak samo mógł teraz gawędzić w kasynach oficerskich i w „dworach”, grać przeboje operetkowe na fortepianie, tańczyć i równocześnie przygotować swój następny artykuł, zastanawiać się nad możliwościami demonstracji, układać przemówienie. W sercach i mózgach ludzkich przekonania i namiętności są powikłane, a psychologiczna konsekwencja nie istnieje.

Pewnego dnia zawarł Paweł znajomość z dzierżawcą dóbr Nikitą Bezborodko. Działo się to parę mil na południe od Kijowa. Bezborodko szczyił się pochodzeniem z rodziny kozackiej.

Silny, nieustraszony, chytry i zuchwały Nikita odparł już kilkakrotnie rekwizycję, oszukał wojskowych, czyniących zakupy dla wojska na pokaźne sumy, lekceważył rozkazy, fałszywie wykonywał dostawy, dostarczając armii chorych i ślepych koni zamiast asenterowanych¹⁴ zdrowych.

Po raz pierwszy natrafił na opór u Pawła Bernheima. Paweł wniósł na Kozaka doniesienie. Ale nie doszło do rozprawy. Pewnego razu Paweł spotkał Ukraińca na stacji w Żmierzynce¹⁵.

— Dzień dobry, panie poruczniku! — rzekł Kozak.

— Pan nie jest zamknięty?

— Jak pan widzi, panie poruczniku! Mam swoje stosuneczki.

Wypili parę kieliszków. Siedzieli w zaimprovizowanym szynku, w ciemnym i ponurym

¹⁴*asenterowany* (daw.) — zakontraktowany na potrzeby armii; skierowany do wojska. [przypis edytorski]

¹⁵*Żmierzynka a. Zmierzynka*, dziś *Żmerynka* (ukr. *Жмеринка*) — miasteczko na Podolu, dziś na terytorium obwodu winnickiego w centralnej części Ukrainy. [przypis edytorski]

baraku z desek. Przez małe, otwarte okienka wiał wiatr i latały ptaki. Nagle odezwał się Kozak:

— Mam tu parę ulotek dla pana, panie poruczniku!

— Każę pana aresztować — odrzekł Bernheim i wstał.

Kozak stał przy drzwiach, których strzegł, na twarzy miał szeroki uśmiech, w prawicy nóż. „Ręce do góry” zawołał, ze śmiechem w głosie.

Bernheim nie wiedział, czy Ukraińiec był szpiclem i w służbie tajnej policji wojskowej, czy był rewolucjonistą, czy ulotkę dostał do rąk przypadkowo, czy też był pijany. Wieczór zapadł, wiatr wył, Paweł Bernheim postanowił na wszelki wypadek zażądać wydania ulotek. Mógł potem powiedzieć, że musiał użyć podstęp.

Kozak lewą ręką rzucił mu pakunek: stał ciągle przy drzwiach i w rękę trzymał do ciosu przygotowany nóż. W mroku wydawał się wyższy. Z jego żółtego jak piasek płaszcza, jego jasnoszarej czapki, z żółtych butów z nie-

wyprawnej skóry i szarych oczu, szedł srebrzysty migot. Sięgał do powały baraku. Bernheim w tej mierze wydawał się kurczyć, w jakiej ten drugi rósł. Lęk, wyłaniający się z dawno przebrzmiałych lat dziecięcych, wspomnienia koszmarnych snów, grozą przejmujących zwidów w ciemnych pokojach, sięgały po niego tysiącem ramion. Wódka, która mu nigdy przedtem nie szkodziła, przyprawiła go dziś o zawrót głowy, ponieważ od pół dnia niczego nie jadł. „Po co tu poszedłem z tym facetem?” — to była jedyna jasna i cała myśl, którą w stanie był pomyśleć. Poza tym mknęły przez jego mózg części zdań, i zwrot „ostatnia godzina” wracał bezustannie, jak ból, który na chwilę mija, którego się jednak niecierpliwie oczekuje, gdyż męka czekania jest jeszcze większa.

Nagle jeszcze jedno słowo wpadło Bernheimowi na myśl. Słowo, którego głupota w innej godzinie nie byłaby wpłynęła na postanowienie Pawła. Było to jedno z tych pustych słów, które jak odłamki tradycyjnych nauk, formułek pedagogicznych, przepisanych książek,

bohaterskich podań dla dzieci, przez całe życie gnieźdzą się w naszych mózgach. Jak długo czuwamy, są one bez ruchu jak nietoperze i czekają tylko na pierwszy zmierzch naszej świadomości, ażeby znowu w nas krążyć. Takie słowo wpadło Bernheimowi na myśl, mianowicie „marny koniec”. Jest to wyobrażenie, które, chociaż może śmieszne, nawet mądrzejszego mężczyznę może spowodować do zmobilizowania tego, co się nazywa męskością. W Pawle Bernheimie żyły jeszcze wyobrażenia, do których jako przeciwnik wojny i rewolucjonista nie chciał się przyznać, jak na przykład wyobrażenie o „godnej śmierci”. Gdyż chociażby najkrótsza służba przy dragonach nie pozostaje bez wpływów. Ledwie w jego przyćmionym mózgu wylęgło się owo słowo, a uczynił, co w jego sytuacji mógł najgłupszego uczynić: sięgnął po swój rewolwer, jak bohater. W tym momencie nóż Bezbородki utkwiał w jego prawym ramieniu. Paweł mógł tylko jeszcze widzieć, jak bardzo szybko otworzyły się drzwi baraku i jak ostatnie zielonkawe światło zmierz-

chającego nieba wpadło do wnętrza, pogrążonego obecnie w zupełnej ciemności. Potem drewniane drzwi z trzaskiem się zamknęły — Paweł słyszał trzask — i tylko ciemność została. Bezborodko znikł.

Paweł nie próbował już noża wyciągać z ramienia. Otaczająca go ciemność zdawała się wytworzać w jego wnętrzu jeszcze gęstsza ciemność, która jak gdyby z nerwu wzrokowego wpływała do oka, tak jak ciemność zewnętrzna przez siatkówkę. Ciemność wewnątrz i zewnątrz. Nie wiedział, czy oczy ma otwarte, czy je zamknął. Ból w jego ramieniu zdawał się dzwonić, jak gdyby krew wydawała metalowy dźwięk, uderzając o stal.

Zbudził się po kilku godzinach, z zabandażowanym ramieniem, na sofie, w pokoju żydowskiego szynkarza, i po chwili znowu zasnął.

Po kilku dniach opuścił Zmierzynkę. Ulotki znikły. Wszystko wydawało mu się obecnie nierzeczywiste, jak sen; zaczął nawet powątpiewać, czy Bezborodko rzeczywiście go zranił. Ten również znikł. W każdym razie to wyda-

rzenie podważyło pewność, w której żył dotąd. Wojna trwała już trzeci rok. Kto może powiedzieć, czy to był strach, czy sumienie, co spowodowało Pawła Bernheima do zrezygnowania z przyjemnej służby i zgłoszenia się dobrowolnie na front? Jak gdyby śmierć, która musnęła go w ów wieczór w baraku, obdarzyła go przecuciem swojej czerwonej i czarnej i strasznej słodyczy, budząc tęsknotę za nią. Jego przyjaciele, ich gazety, ich mowy, nic go już nie obchodziły. Zdezercerował z ich obozu, jak niegdyś zdezercerował do nich.

Tak niepojęty i złożony jest człowiek.

IV

W ten sposób poszedł Paweł Bernheim na front. Był ponury, chłodny dzień listopadowy — deszcz padający z nieba mieszał się z mgłą unoszącą się z ziemi — gdy Bernheim samotnie wyruszył na teren walki.

Był obecnie podporucznikiem X-tego pułku piechoty, który od kilku tygodni zajął sta-

nowiska w południowej części wschodniego frontu. „Ale masz szczęście” — mówili koledzy w kadrze — „właśnie idziemy na najspokojniejszy front. Kilka tygodni temu byłbyś nas musiał szukać w Alpach, w piekle”. Paweł byłby wolał szukać pułku w Alpach, gdzie śmierć była bardziej zadomowiona, niż na wschodzie. Front wschodni nazywano obecnie „idyllicznym”, a to rozluźniało stanowczość, z jaką zgłosił się do piechoty, chcąc swoje dotychczasowe życie bezwzględnie odgraniczyć od przyszłego. W tym stanie, w jakim się obecnie znajdował, życzył sobie najsilniejszych przeżyć, największych niebezpieczeństw, najtwardszych przeciwieństw. Chodziło o to, jak sobie powiedział, ażeby gruntownie wykorzystać szczęśliwy i rzadki stan stanowczości i zamienić go w końcu w stan trwały. Obawiał się, że stan ten mógłby przeminąć, nie przyniósłszy spodziewanego zysku. Było to zresztą jego dawne usposobienie, które pchnęło go do historii sztuki, do Anglii, do kawalerii i do pacyfizmu. Tak jak usiłował dawniej zostać

stuprocentowym Anglikiem, tak samo próbował teraz zostać doskonałym piechurem.

Ale o tych utajonych popędach sam mało wiedział. Nad nimi leżała posepna i mglista obojętność, ociążała i zgęszczona, jak ten dzień listopadowy. Od kilku godzin siedział już sam w zimnym przedziale drugiej klasy. Drugi pasażer, który przez dwie godziny dzielił z nim przedział, dawno wysiadł. W półmroku popołudnia mrugała już zatłuszczona lampa, mimo że nie było jeszcze wieczora. Żółta i oliwą błyszcząca lampa przypominała Pawłowi światła na grobach w dzień zaduszny. Czasami ścierał rękami mgłę z szyby, żeby przekonać się, czy pociąg rzeczywiście się porusza. Widział wówczas szarą zasłonę listopadowego deszczu. Zbliżał się etap. Za zasłoną deszczu widział małe wsie, rozsiane i opuszczone gospodarstwa, kobiety okrywające głowy spódnicami, czarnych Żydów w chałatach, żółte ścierniska i żółte, kręte uliczki, pokryte czarnym błotem błyszczącym w deszczu, wyprostowane i przewrócone słupy telegraficzne, samotne i w błocie sterczące kuchnie

polowe, maszerujących saperów, ciemne baraki, szyny i małe stacyjki, na których musiał się zatrzymywać pociąg. Stawał zresztą często w polu. Jak gdyby pociąg sam miał zastrzeżenia wobec frontu i wykorzystywał każdą sposobność, ażeby zatrzymać się i czekać na zawieszenie broni.

Jakkolwiek ta myśl była absurdalna, a obawa Pawła, że mógłby spóźnić się na wojnę, dziwna, to jednak przez mózg jego przemykało tu i ówdzie urojenie, że gdzieś tam przygotowują pokój i że znajdzie się w tym okropnym położeniu, zmuszony powrócić do pokojowego życia, tak jak stał, niezmienny, obciążony wspomnieniem o ostatnim, hańbiącym przeżyciu z Kozakiem. Jego chwilowym potrzebom odpowiadała wojna, która by trwała jeszcze co najmniej pięć lat. Takim bezradnym widział siebie w obliczu pokoju, domu, matki, banku, służby i urzędników. Gdy sobie przypominał, że niedawno stosunkowo pisał płomienne protesty przeciwko wojnie, nie mógł zrozumieć minionych miesięcy i lat. Leżały niepojęte za strasznym prze-

życiem z Nikitą, za tym zagadkowym przeżyciem. Człowiek groził mu, zranił go, odniósł nad nim zwycięstwo i znikł. Nic ponadto. Tak, ale ten człowiek może więcej wie o mnie, może wie wszystko o mnie i więcej, niż ja sam wiem o sobie. Trzyma moje życie w ręku, może mnie zniszczyć — a ja nie widzę go, znikł na zawsze. Ale teraz trzymam moje życie sam, mam je w moim ręku — pocieszał się — jak długo jestem na froncie. Każdej chwili mogę umrzeć. Gdyby zresztą Ukrainiec coś wiedział, wyprę się wszystkiego. Będę dzielny, uwierzą mi. Może zdradził mnie ten lub ów z moich przyjaciół lub towarzyszy. Zaprzeczę. Nie mają dowodów. Nie mają nawet artykułów z moim ręcznym pismem. Były bowiem pisane na maszynie — pod obcym nazwiskiem. A zresztą to jest obojętne.

Ile razy pociąg stawał, uspakajała go monotonna melodia deszczu, który z równą wytrwałością i z tą samą łagodną dobitnością rozciągał się setkami mil, znosząc jakby wszystkie odległości oraz różnorodność obszarów i krajo-

brazów. Świat nie składał się już z gór, dolin i miast, ale jedynie jeszcze z listopada. I w tej ołowianej obojętności tonęły na razie zmartwienia Pawła. Czuł swoją wspólnotę z bezbronny-
mi przedmiotami na polu, oddanymi na pastwę deszczu, ze znikomymi, martwymi istotami, ze źdźbłem słomy na przykład, które leżało bez woli, oczekując swego kresu, pełne szczęśliwości właściwie, gdyby w ogóle było w możliwości odczuwać szczęście. Strumień mógł je zabrać i unieść ze sobą, but mógł je rozdeptać.

W ten sposób odczuwał Paweł wojnę po raz pierwszy, i jak miliony zmobilizowanych mężczyzn, odczuł wzniosły spokój umysłu ludzi poddających się bezwolnie ślepemu przeznaczeniu. Prawdopodobnie zginę, myślał, słodko się pocieszając. A gdy wieczór zapadł, a za oknami podniosła się czarna ściana ciemności, gdy przyćmione światło w przedziale świeciło mocniej, zdawało mu się przez dłuższą chwilę, że jest nieboszczykiem, nieboszczykiem w oświetlonym grobowcu. Daleko za nim leżały jego

troski i radości, obawy i nadzieje życia! Wszystko to zostawił i uciekł. Dla takiego uciekiniera jak on nie było spokojniejszego celu, pewniejszego schroniska, jak front i śmierć.

Przypomniawszy sobie testament, który ułożył na krótko przed wyjazdem. Na wypadek śmierci zostawiał wszystko matce, a tylko małą część bratu, którego ojciec również w testamencie pominął. Paweł przepędził szybko myśl o Teodorze. Niechętnie o nim myślał. Chociaż dobrowolnie, a nawet chętnie szedł ku śmierci, bezustannie ogarniała go mała, zwinna zazdrość, że młodszy brat bezpiecznie kroczy pod opieką swojej młodości. Zabezpieczony przed wojną i niezagrożony czeka kresu wojny i lepszych czasów. Nie zasługuje na to! — pomyślał Paweł. I znowu oddał się błogim przeczuciom śmierci.

W tym nastroju przeceniał bogactwo, liczbę i wartość minionych lat. Nawet i tę przesadę podyktowało mu dumne poczucie własnej godności. Byłem bogaty — mówił sobie — młody, piękny; silny. Posiadłem kobiety, po-

znałem miłość, widziałem świat. Mogę spokojnie umrzeć. Nagle opanowało go wspomnienie o Nikicie. Powinienem był wcześniej pójść na front — pomyślał. Nie powinienem był zostać przeciwnikiem wojny. Nie idę teraz dobrowolnie w śmierć, coś mnie gna. Zasłużyłem na to.

Im dalej noc postępowała, tym więcej przynosiła zimna. Paweł próbował zgasić lampę. Chciał leżeć spokojnie w ciemności, żeby wyobrażenie grobu było zupełne. Chciał leżeć w grobie na kołach i potoczyć się na tamten świat. Nie mógł zgasić lampy, była wiecznym światłem, paliła się już za spokój jego duszy. Nie mógł zasnąć. Usiłował przemarzniętymi palcami zapisać coś do notesu. Napisanie myśli wyjaśnia je! — pomyślał sobie. Nie był w stanie zanotować jednego zdania i jął kreślić bezsensowne ornamenty na białych stronicach, jak niegdyś na lekcji religii. Przypomniawszy sobie kolegów z czasów szkolnych. Udało mu się narysować niektóre twarze, zrekonstruował całą klasę, ławkę, nauczycieli.

Tak przeszła noc.

Następnego dnia deszcz zamienił się w drobny grad i szklany śnieg. Krople uderzały o okna delikatnym, metalowym dźwiękiem.

Pociąg zbliżał się do ostatniej stacji. Był to koniec świata. Stąd szła wąskotorowa, konna kolejka. Prowadziła bezpośrednio do komendy pułku.

Paweł siedział w towarzystwie kilku żołnierzy, w otwartym, niskim wozie. Jakby poprzez gruby mur słyszał ich śpiew, któremu wtórował z daleka huraganowy ogień. Ledwie czuł wiatr i kłujący, zlodowaciały deszcz. Widział pierwszych rannych, którzy mieli białe bandaże i utykali przez całą drogę oparci o ramię sanitariuszy. Widział ślady krwi na czarnej, wilgotnej ziemi i na miękkiej, gęstej, żółtej glinie. Bernheim stał w kącie z podniesionym do góry kołnierzem, rękoma w kieszeni, z nieruchomym wzrokiem skierowanym na grupy wracających, na lśniącą biel, na soczystą czerwień krwi, na zeszywniałą szarość mundurów, na czarne błoto ulic. Strzały stawały się wyraź-

niejsze, żołnierze przestali śpiewać, drugi dzień zapadał się w mrok.

Gdy nadeszła noc, ruszył do okopów i miał niespodziane szczęście. Szczęście takie, jak on je wówczas pojmował, i jeszcze w innym znaczeniu. Tej nocy oczekiwano ataku. Wszyscy towarzysze pisali do domu pocztówki polowe. Nie z potrzeby, lecz ażeby nie zwrócić na siebie uwagi — Paweł również napisał do matki. Będzie może płakała po mnie — pomyślał, i przypomniał sobie pogrzeb ojca i łzy w lśniących, szklanych oczach matki. Dla brata Teodora nie dopisał ukłonów.

Lecz Paweł Bernheim nie umarł! Bagnet przekłuł mu prawy policzek. Następnego dnia dostał się do szpitala polowego. Operowali mu szczękę. Podczas gdy jego rana się goiła, zapadł na tyfus i został przetransportowany do szpitala zakaźnego w etapie. Zdawało się, że stary Feliks Bernheim, który prawdopodobnie także i w niebie dumny był ze swego syna, opiekował się nim po ojcowsku. Ze szczęście, które przynosiło staremu dobre interesy i głów-

ną wygraną, chroniło młodego przed śmiercią. Teraz dopiero bowiem, w gorączce, gdy z czterema innymi leżał na oddziale baraku oficerskiego, teraz dopiero obudził się w Pawle strach przed śmiercią i ochota do życia, co mu na parę dni tak zobojętniało. Z całą siłą wierzył, że zostanie przy życiu. Szczęśliwą ranę, otrzymaną podczas utarczki, uważał za przyrzeczenie losu darowania mu życia. I chociaż codziennie któryś z towarzyszy stawał się siny, nieruchomy i straszny, Bernheim podczas największej jeszcze i mąjącej przytomności gorączki wiedział, że nie umrze.

Stan jego się polepszył. Opuścił szpital, przeziębził się, dostał zapalenia płuc i wrócił do innego szpitala.

Nowa choroba zdawała się również być następstwem jego życzenia, żeby nie wrócić już na front. Dawno już wyparł z pamięci owo wydarzenie z Nikitą. Stał się znowu starym Pawłem Bernheimem. Leżał w łóżku stojącym pod ścianą w pobliżu okna, ze świadomością, że zwyciężył i że był mądrzejszy od wszystkich. Jego

pycha pojawiła się przy jego łóżku, jak dobry i wierny przyjaciel. Niebieskawe, nocne światełko płonęło nad drzwiami. Niespokojny, szybki i jakby piłujący powietrze oddech chorego towarzysza przypominał nieludzkie głosy; jakby głosy obcych, nieznanych zwierząt. W niebieskim blasku lampy podobnej do światła zimowego księżyca, widział Paweł ostatnią przeszkodę, którą należało pokonać. Protestował przeciw niewinnej lampie. Lampa ta uniemożliwiała takiemu mężowi, jak Paweł Bernheim, który przecież niewątpliwie inne jeszcze miał potrzeby niż zwykli chorzy, zapalenie świecy, żeby mógł czytać, pisać czy rysować. Nie dość na tym, że dniem i nocą musiał wdychiwać zapach karbolu i jodyny, nie mógł czytać, kiedy mu się podobało. O, piękne, obszerne pokoje w domu rodzinnym! Paweł przypominał sobie dokładnie wzory tapet, ciepłe, miękkie uderzenie gongu, wołającego na śniadanie, melodie Czajkowskiego, które grywał z siostrą na cztery ręce. Różnica pomiędzy ciszą panującą w tym szpitalu, ostrym i mocnym zapachem tych sal,

ofiarną bielą lekarskich płaszczy, chorobą, westchnieniami i zmęczeniem towarzyszy, wiecznym szumem skrzydeł śmierci — a czuwającą, ciepłą a pyszałkowatą tęsknotą Pawła za życiem, była tak wielka, jak różnica pomiędzy chorobą a zdrowiem. Paweł Bernheim dumny był z postępów, jakie poczyniło jego zdrowie, jak gdyby to była jego zasługa. Gardził chorymi, jak gdyby byli podłymi istotami. Nisko cenił lekarzy, bo karbol śmierdział. Przyzwyczyił się do tego, by uważać każdego lekarza przystępującego do jego łóżka za technika dentystrycznego, który tylko podczas wojny wykonywał funkcje lekarza. Zdaniem Bernheima bowiem, technik dentystyczny znaczył mniej niż internista, podobnie jak jego matka urzędnika państwowego stawiała wyżej nad bankiera. W każdej pielęgniarce widział służącą, mszcząc się w ten sposób za rozporządzenia szpitalne, które nie brały dostatecznie pod uwagę jego specjalnych życzeń. Zdawało się, że owe godziny, w których wyrzekł się życia i nie był swoją osobą tak zachwycony, jak przez całe życie;

zdawało się, że te godziny wytwarzały obecnie podwójną zarozumiałość. Zdawało się, że natura Pawła Bernheima nie znosiła nawet przemijającej skromności i że postanowił to naprawić. Nie jest bowiem prawdą, że cierpienia, niebezpieczeństwa i poblize śmierci, człowieka zmieniają. Na Pawła Bernheima wcale nie wpłynęły.

Jego rekonwalescencja istotnie tak długo trwała, że nie potrzebował więcej obawiać się wojny. Gdy opuścił szpital, otrzymał urlop wypoczynkowy, a zanim mógł wrócić, wybuchła rewolucja.

Nie należy pominąć szczegółu, że Bernheim w owym czasie ośmielał się wychodzić na ulicę w swoim mundurze oficerskim i że wzbraiał się włożyć na siebie cywilne ubranie. Rangi swojej już nie cenił, gdyż należał do zwyciężonej armii. A on, który wiele rzeczy nienawidził, niczego tak bardzo nie nienawidził, jak pokonanych. Przeciwnie, był zadowolony, teraz bowiem jego antywojenny epizod nie mógł mu już zaszkodzić. Z cichą, głęboko utajoną dumą myślał o tym, że Anglia, jego Anglia zwycięży-

ła. Zdawało się, jakoby historia świata przyznała rację anglomanii Bernheima. Gdy mówiono o wojnie, przybierał minę ludzi, którzy chętnie myślą: „Ja to przecież mówiłem”. A mimo to nie mógł zdecydować się na złożenie dystynkcji jedynie dlatego, że jakiś tam żołnierz tego się domagał. Rewolucjonizującym narodem pogardzał tak samo, jak pokonaną ojczyzną.

Tak więc zdarzyło się, że pewnego dnia pobity został przez kilku żołnierzy do krwi. Figurował wówczas w kilku prawicowych pismach jako wzór heroicznej, patriotycznej wierności. Po raz pierwszy nazwisko jego było drukowane. I jak gdyby nigdy nie był przeciwnikiem wojny, jak gdyby nigdy nie cenił życia ponad śmierć w polu, a Anglię ponad swoją ojczyznę, zaczął myśleć konserwatywnie i patriotycznie. Widział siebie już posłem i ministrem.

Rozumie się, ministrem.

V

Paweł Bernheim byłby chętnie zapowiedział swój powrót telefonicznie. Lecz z panią Bernheim niełatwo było rozmawiać przez telefon. Nie mogła niczego pojąć, gdy nie patrzyła na mówiącego. Co najmniej musiała go sobie wyobrazić. Dopiero gdy sobie uzmysłowiła osobę, z którą mówiła, mogła pojąć sens pytania. Zdawało się, że słowa, że mowa ludzka w świecie pani Bernheim przedstawiała jedynie niedostateczny środek porozumiewawczy i służyła tylko do podkreślania ruchów i spojrzeń. Stąd może wywodziła się owa lekkomyślność, z jaką używała pewnych ważkich wyrazów w nieodpowiednich sytuacjach.

Paweł zatelegrafował więc. Depesze również wytrącały panią Bernheim z równowagi. Jej zdaniem telegraf w tym celu wyłącznie został wynaleziony, aby szybko i pewnie mógł donosić o nagłych nieszczęściach. Od kiedy została wdową, a szczególnie od wybuchu wojny, zaczęła pani Bernheim stopniowo „ograni-

czać się” — jak się chętnie wyrażała — i przy każdej depeszy, którą Paweł wysyłał, obliczała jej koszta. Jej radość z powodu przyjazdu Pawła odpowiadała w przybliżeniu lękowi, który ogarniał ją, gdy otrzymała depeszę i jej bólowi z powodu roztrwonionych pieniędzy. I stosunkowo długo trwało, zanim pojęła sens wieści w całym jej radosnym znaczeniu, wolną od lęku i przeczuć.

Wiedziała o długiej chorobie Pawła i o jego ranie. Ponieważ jednak nigdy nie zawiadomił jej o swym przeniesieniu do piechoty, zaufanie, jakim obdarzała zawsze kawalerię, zostało od początku do końca nienaruszone. I nawet gdy dowiedziała się o tym, że Paweł został ranny, nie przyszło jej ani na chwilę na myśl, że mógłby umrzeć. Zostać rannym przy kawalerii znaczyło dla niej tyle, co zaciąć sobie scyzorykiem palec. Również tyfus nie zagrażał, jej zdaniem, życiu kawalerzysty. Paweł jest oficerem — myślała — z pewnością troskliwie nim się opiekują. Podczas całej wojny ani przez godzinę nie troszczyła się o syna, lecz dniem i nocą myślała

o pieniądzach. Obawiała się ubóstwa. Widziała, że przez cały czas notowano duże rozchody a małe dochody. Pan Merwig, starszy współpracownik jej męża, przychodził raz na miesiąc i zdawał sprawę ze stanu interesów. Była tak bardzo zajęta zakończeniem wojny, rewolucją, inwalidami na ulicy i wielką liczbą żebraków, którzy — według jej słów — „nachodzili dom”; że przyjazd Pawła sprawił jej tylko parę chwil radosnego podniecenia. Gdy Teodor wieczorem przyszedł do domu, pokazała mu depeszę. Złożył ją skrupulatnie, rzucił na stół i zabrał się do czytania gazety. Pani Bernheim sięgnęła po *lorgnon* wiszące zawsze przy jej boku jak broń. *Lorgnon* z trzaskiem przytknęło. Przyłożyła je do oczu i przypatrywała się synowi, jak gdyby patrzyła na scenę. Chętnie posługiwała się szklami, gdy była oburzona. Zauważyła, że służba boi się szkieł. Teodor słyszał trzask i jeszcze głębiej pogрузzył głowę w gazecie. Pani Bernheim znowu opuściła *lorgnon*. Po kilku sekundach rzekła: „Masz tyle serca, ile miał twój ojciec. Ale on był przynajmniej

mądry. Miał genialny kupiecki zmysł. Ty jednak jesteś jeszcze do tego nicponiem. Niczego nie nauczyłeś się w ciągu lat. Gdyby nie te znakomite wojenne egzaminy, do dziś siedziałbyś w ławie szkolnej albo byłbyś został szewcem. Przypominasz mi bardzo zmarłego kuzyna Arnolda. Robił długi i umarł w domu dla obłąkanych. Ale i to kosztowało pieniądze, bo w przeciwnym razie bylibyśmy mieli tę przyjemność widzieć go w więzieniu”.

Czekała parę minut. Gdy Teodor ciągle czytał gazetę, uniosła się nagle: „Nie mamy więcej pieniędzy. Teodorze, słyszysz? Nie mamy pieniędzy, żeby nicponiów ratować przed kryminałem! Zakują cię w kajdany, słyszysz?”.

Teodor zatkał sobie uszy rękoma i dalej czytał gazetę.

— Odłóż natychmiast gazetę, gdy matka do ciebie mówi — ciągnęła dalej, ale spokojniej.

Niekiedy udawało mu się tak długo milczeć, dopóki nie opuszczała pokoju z głośnym westchnieniem. Ale zdawało się, że dziś nie usta-

pi. Zabrała się znowu do kazania. Zaczęła mówić głosem drażniącym monotonią i odwijała zdania powoli i równomiernie, jak nici ze szpulki. Przy każdym zdaniu miał Teodor uczucie, że nic nie urwie się nigdy. Jak gdyby pani Bernheim wiedziała o tym, że ten sposób mówienia zrobił na synu wrażenie, podkreślała dobitność swoich słów równomiernymi, gładzącymi ruchami rąk po obrusie. Podczas gdy mówiła, jej płasko ułożone ręce bezustannie i w wolnym tempie tarły brzegi stołu od lewej ku prawej stronie. I chociaż pogrążył się w gazecie, białe ręce matki, porysowane niebieskimi żyłkami, docierały do jego wzroku i stopniowo ogarnął go strach przed tymi słabymi rękami starzejącej się kobiety, jak przed rękami mordercy. Nie ruszył się. Przestał czytać. Kolumny gazety rozplynęły się przed jego oczami. Lecz nie dał tego po sobie poznać i na dowód, że jest zajęty lekturą, przewracał pomалу kartki gazety, w tym samym tempie, w jakim płynęły słowa matki i jakby pod działaniem ich rytmu.

— Gdy brat z wojny wraca do domu — mówiła pani Bernheim — porządny człowiek powinien się cieszyć. Ale ty żałujesz, że Paweł nie zginął. Czy nie wierzysz, że matka wszystko wie o swoich dzieciach? Bóg jest moim świadkiem, i nasz świętej pamięci ojciec też o tym wiedział, chociaż nigdy mi wierzyć nie chciał, a ja powtarzałam mu to ciągle, że jesteś złym dzieckiem, złośliwym jak pająk, fałszywym jak kot, i głupim jak osioł. Jesteś całym podręcznikiem zoologii, całe wychowanie było na nic, nie można dzieci wychować, mówiłam zawsze do Feliksa, jeżeli nie urodziły się z duszą, ty, zdaje mi się, nie masz duszy. Gdybyś się nie bał, biłbyś swoją starą matkę, chciałbyś już widzieć mego trupa, straszne, mego trupa. Ale ja nie umrę spokojnie, dopóki nie będę wiedziała, że jesteś porządnym człowiekiem. Nie możesz nim jednak zostać. Co robisz całymi dniami? Wałęsasz się ze swoimi kochanymi przyjaciółmi, którzy mi się wszyscy nie podobają. Paweł w twoim wieku umiał już tańczyć, był doskonałym danserem, miał powodzenie u młodych

panien i wylegiwał się całymi dniami w lesie i nie bawił się strzelaniem jak ty, boję się twoich morderczych noży i pistoletów, Anna nie chce już sprzątać w twoim pokoju; czy może mam to sama robić?

Ciemna, prawie że niebieska czerwień pokryła twarz Teodora. Szybkim ruchem rzucił na ziemię gazetę. Wstał, nogą przewrócił w tył krzesło; jego małe, ruchliwe oczy zdawały się pod ciemnymi brzegami okularów szukać jakiegoś przedmiotu na długimi i szerokim stole, którym mógłby cisnąć w matkę. Ponieważ nie znalazł niczego, począł dwadzieścia razy z rzędu krzyczeć bez sensu:

— Schowaj gazetę, schowaj ją, schowaj ją, schowaj ją, matko, schowaj gazetę, matko, matko!

Momentalnie znowu zbladł.

Jego płaska, żółta, chuda twarz podobna była do niekwaszonego, zapadniętego chleba w piecu. Była wklęsła. Nos sterczący delikatnym, bezkrwistym, tępym końcem do góry, zdawał się należeć jeszcze do policzków. Wargi

były cienkie i nie przylegały całkiem do długich zębów. Broda wysunięta była naprzód, jak u ludzi, którzy wysoko podnoszą głowę. Uszy były żółte, duże, przezroczyste, jak z pergaminu i bez brzegów, jak gdyby nie starczyło już substancji dla brzegów. Nad niskim chłopięcym czołem, które jednak jak u starego człowieka przecięte było czterema czy pięcioma podłużnymi zmarszczkami i dwiema grubymi pionowymi kreskami ponad nasadą nosa, leżały cienkie jasnoblond włosy, uczesane zamasyście do góry. Wodniste oczy za błyszczącymi się szkłami miały straszny wyraz. Miały wyraz człowieka patrzącego na pożar, który wybuchł nagle. Głos był jasny i płaczliwy. Można było przypuszczać, że Teodor woła matkę na pomoc, podczas gdy wołał, ażeby podniosła gazetę. Drżał cały. Zacisnął zęby, by nie dzwoniły. I tak z językiem przyciśniętym do zębów wyrzucał syczące, trudno zrozumiałe okrzyki:

— Podnieś gazety, podnieśś je, podnieśś!

Pani Bernheim, która nie bez radości przyjmowała tego rodzaju wybuchy Teodora, pod-

niosła znowu lorgnon. Ceniła te chwile. Były jedyne, w których czuć się mogła górą — i w których budziła się jej logika, jak gdyby pobudzona zupełną bezmyślnością partnera. Mimo że ani trochę ust nie skrzywiła, w zimnych jej oczach był już blask uśmiechu. Spokojnym głosem wypełniła przerwę, w której Teodor stał niemy i bez tchu:

— Nie potrzebowałeś wcale rzucać gazety na podłogę. A nawet gdyby to było konieczne, matka nie powinna ci jej podnosić. Schyl się, to ci dobrze zrobi. To jest co najmniej tak zdrowe, jak rozbijanie się po lasach. Schyl się, mój synu, schyl się!

Wypowiedziała te zdania łagodnym, matczynym głosem, którym opakowana była złośliwość, jak instrument z cienkiego metalu w miękką watę.

Teodor wyszedł z pokoju. Pani Bernheim patrzyła jeszcze przez chwilę na drzwi, które za sobą zamknął. Czekwała, aż przeminie echo trzasku.

Następnie schyliła się, podniosła gazetę i zaczęła czytać.

Teodor wyszedł na korytarz.

Uśmiechał się. Starał się stąpać po cichu. Jego krótki wzrok uczynił go ostrożnym. Wyciągnął głowę. Obracał ją na wszystkie strony. Podeszedł do szerokiej, ściennej szafy naprzeciw garderoby. Na drugiej półce, po lewej stronie stała blaszana puszka, skarbonka. Pani Bernheim przyniosła ją pewnego razu z towarzystwa dobroczynnego. Raz na tydzień ją wypróżniano. Ale pani Bernheim chciała własnymi oczyma widzieć, gdzie jej pieniądze się podziewały. Pokwitowania nie podobały się jej. Przechowywała przeto w puszcze drobne pieniądze dla regularnie przychodzących żebraków. Zgłaszali się raz na tydzień, w określonym dniu.

Skarbonka miała małą klódeczkę. Teodor kilkakrotnie próbował ją otworzyć jednym z wielu kluczy, które posiadał. Wiedział, że pani Bernheim nie można przysporzyć większego zmartwienia, jak kradzieżą pieniędzy, których i tak dość żałowała, gdy je musiała rozdać.

Zabrał puszkę do swego pokoju. Zamknął drzwi na klucz, próbował jeden klucz za drugim, głowił się, chwycił nóż i jął ostrożnie rozchyłać szparę. Serce biło mu ze strachu i radości. Postawił puszkę na parę minut i usiłował wyobrazić sobie zdenerwowanie matki. Usta jego rzekły nagle głośno: „Kanalió!”. Nadśluchiwał. Nie słyszał żadnego szmeru, zabrał się więc znowu do puszek. Dzwoniła głośniejsze, niż się spodziewał. Otworzył drzwi, żeby przekonać się, czy nikogo na korytarzu nie było. Następnie zaczął z niezwykłą ostrożnością wyciągać jedną monetę po drugiej. Niektóre wysuwały się przez szparę gładko i posłusznie. Inne stawiały opór i zostawały wewnątrz. Zmęczył się, usiadł, opanowała go namiętność myśliwego. Pracował do późnej nocy. Pozostało w puszcze wszystkiego kilka postukujących monet. Ostrożnie z powrotem ścisnął razem rozchylone brzegi puszek, wykradł się i postawił ją na swoje miejsce.

Przeliczył pieniądze. Suma wystarczyła na składkę miesięczną na stowarzyszenie „Bóg i Żelazo”, do którego od dwóch lat należał.

Stowarzyszenie założył młody człowiek nazwiskiem Lehnhardt. Prócz niego, założyciela, który był jedynym mieszczaninem, miano przyjmować wyłącznie szlachciców. Ale znalazło się ich po dwóch miesiącach zaledwie czterech. Zmieniono zatem statut w ten sposób, że przyjęci być mogli wyłącznie „blondyni z aryjskich rodzin”. Przy bliższym zbadaniu okazało się jednakowoż, że włosy założyciela raczej były brunatne niż jasne. W każdym razie odrzucono prośbę syna prezesa sądu okręgowego, z powodu jego czarnych włosów. Syn poskarżył się ojcu. Twierdził, że Lehnhardt i Teodor Bernheim nazwali go Żydem. Bardzo oburzony prezes sądu okręgowego zawezwał obu i nakłonił ich do przyjęcia syna. Statut ograniczył się w końcu do nieprzyjmowania Żydów.

Wspomagali się wzajemnie pieniędzmi, książkami i bronią. Po zdaniu egzaminu wojennego przysięgali pozostać zawsze w stowarzyszeniu.

Na razie zgłaszali się dobrowolnie do oddziału sanitarnego. Pełnili „służbę”, szli do transportu rannych, ciągnęli nosze, siedzieli obok szoferów w autach sanitarnych, gwizdali na ulicy przeraźliwymi gwizdawkami, żeby zatrzymać inne wozy. Codziennie budzili się w oczekiwaniu ogłoszenia mobilizacji ich rocznika. Gdy jednak przyszedł pokój, przysięgli republice zemstę, szukali i znaleźli dostęp do tajnych organizacji i maszerowali dwa razy w tygodniu za miasto na ćwiczenia.

Przy tych ćwiczeniach Teodor nie wybijał się. Nie był zdolny do wysiłku cielesnego. Bładość jego skóry, jego szybkie, krótkie kroki, jego wymowa: bezbarwna często, podniecenie, z jakim opowiadał obojętne rzeczy, gwałtowność jego ruchów, wszystko to wywoływało wrażenie, że słyszy się jego nerwowy puls. W jego piersi zdawało się bić małe, nerwowe, skaczące serce ptaka. Mógł przystąpić do kogoś z wyrazem człowieka, który przed chwilą dowiedział się czegoś rewelacyjnie nowego, żeby donieść mu tak prostą rzecz, jak następującą:

„Wie pan już? Czy panu już mówiłem? — Otrzymałem wczoraj list od Gustawa”.

Najbardziej nieznacznym wydarzeniom nadawał niebezpiecznej i tajemniczej ważności, tak jest, przede wszystkim tajemniczej. Miał tę ambicję, żeby wiedzieć o czymś przed innymi i opowiedzieć to komu innemu w najgłębszej tajemnicy. W ten sposób podsycił ciągle wiarę w jego znaczenie. Ale też ciągle o nie drżał.

Miał zmysł dla spraw publicznych i dla wielkich słów: cześć, wolność, naród, Niemcy. Za wszelką cenę chciał mieć jakieś znaczenie. Niecierpliwiła go obawa przed chorobą. Anginą, zapaleniem płuc, czy zapaleniem opłucnej. Nie był w stanie przeczytać książki do końca. Ale wystarczyło mu przeczytać dziesięć stron, aby być bezgranicznie zachwyconym lub też nazwać książkę „świństwem”. Lubował się bowiem w dosadnych wyrazach — a to była może jedyna wyraźna oznaka jego młodości.

Uważał się za niezwykle arystokratycznego. Czasami marzył o napisaniu historii swojej rodziny, o zbadaniu drzewa genealogiczne-

go Bernheimów i przeprowadzeniu dowodów na to, że to jest stara, szlachecka rasa. Przeszkadzało mu w tym żydowskie pochodzenie matki. Choroby nawet nie bał się tak bardzo, jak tego, żeby nie musiał kiedyś przed kolegami zdawać sprawy o rodzinie jego matki. Postanowił za wszelką cenę kłamać. Postanowienie to było tak silne, a jego obawa tak wielka, że po mału doszedł do przekonania, że nie ma niczego do ukrywania. Wszystkie wymówki, które wynalazł, stały się dla niego z biegiem czasu prawdami. Przekonanie o szlachectwie wyrażało się w jego dumie, którą koledzy znosili jedynie dlatego, że tu i ówdzie bywał poufały, intymny, a nawet schlebiał im niekiedy. Teodor mógł odezwać się do swego kolegi:

„Między nami, mogę to powiedzieć; pan przecież tu jest jedynym człowiekiem, który wie, czego chce!”. Albo: „To było świetne, znakomite; rzeczywisty czyn!”.

Można przyjąć, że Teodor wierzył w te słowa, kiedy je wypowiadał.

Niechętnie brał udział we wspólnych wycieczkach i ćwiczeniach. Nie tylko dlatego, że dbał o swoje zdrowie, ale i dlatego, że obrażały go niektóre ordynarne słowa, natręctwa czy niesmaczne powiedzenia. Tak sobie zasugerował swój arystokratyzm, że przyswoił sobie nawet elegancką wrażliwość. Maszerowanie, strzelanie, obozowanie pod gołym niebem nie sprawiało mu radości. W towarzystwie przyjaciół trzymał go jedynie fakt, że to jest stowarzyszenie tajne, połączone z niebezpieczeństwem, że mógł uchodzić za spiskowca i zdobyć posłuch u towarzyszy. Nie lubił dużych butów i owijaczy. Przywiązanie do przyrody u skautów uważał za ordynarne. O wiele więcej spodziewał się po technice. „Na przyszłość” — słowo, które szczególnie cenił. Szczerze byłby chciał zobaczyć Niemcy triumfujące nad światem, ale przy pomocy nowoczesnych środków. Przy pomocy samolotów, bokserów, dobrych i tanich samochodów, chemicznych aparatów, dziwnych maszyn. Ćwiczenia w lesie nazwał w tajemnicy

i dla siebie: romantyzmem. Wszelako musiał na razie brać udział w tej romantyce, ażeby tą drogą dojść do realnej potęgi, lub co najmniej do jakiegoś wpływu. Nie przeszkadzało mu to, że na razie kłamał. Należało to do jego zasad.

Tej nocy długo nie mógł usnąć. Z powodu próżnej puszki nie tylko matka na śmierć się zagryzie (— tak jest, na śmierć — bo gdyby jej nie było, miałby o jedną obawę mniej —), ale też zaoszczędzi sobie jeden wydatek z kieszonkowego, które tak rzadko dostawał.

Jedynie myśl o powrocie Pawła mąciła jego radość. „Widzę już — pomyślał około drugiej godziny nad ranem — znów spędzę bezsenną noc. A w dodatku zaczyna jeszcze padać deszcz”.

Istotnie zaczęło kwilić w rynnie, umieszczonej tuż za oknem Teodora. Zapalił lampę na stoliku nocnym, uważał że za mało daje światła, wstał; ażeby zrobić duże światło, włożył okulary, gdyż czuł się niepewny w mroku, i stanął — gdy zrobiło się jasno — przed lustrem. Zauważył, nie bez zadowolenia, że jego piżama dobrze

się prezentuje. Miała jedwabisty połysk, grube taśmy, plecione na wzór kawaleryjskich litewek¹⁶, a kolor wieczornego, opalowego, letniego nieba. Teodor lubił pyjamy, dobrą bieliznę, jedwabne skarpetki. Uważał to za oznakę wykwintności być w nocy ubranym bez zarzutu. Sprawiało mu przyjemność codziennie rano wiązać dobrze i z fantazją krawat. A jednym, i to nie ostatnim z powodów, dla których był za przyjęciem czarnowłosego syna prezesa, był ten, że chłopak abonował czasopismo poświęcone męskiej urodzie, a Teodor czasem je pożyczzał.

Aby móc zasnąć, Teodor wziął tabletkę weronalu. Co prawda mogło to „zaszkodzić jego sercu”. Wyobrażał sobie, że aptekarz się pomylił, i dał mu truciznę zamiast lekarstwa. Cierpiał z powodu tego wyobrażenia. Ci głupi aptekarze — pomyślał — trują człowieka, jak szczura. Jeżeli takiemu farmaceutycie nie jestem sympatyczny, myśli o mojej śmierci. Należy z ty-

¹⁶*litewka* (niem. *die Litewka*) — rodzaj dwurzędowej kurtki żołnierskiej; nazwa niem. zapożyczona z daw. pol. [przypis edytorski]

mi „gośćmi” obchodzić się grzecznie. Będę wobec niego jutro uprzejmy. Wszystkich mężczyzn nazywał „gośćmi”. Rozróżniał dwa rodzaje gości: takich, których podziwiał, i takich, których nienawidził.

Brat jego Paweł należał do gości, których nienawidził i którym zazdrościł. „A więc jutro ten gość wraca do domu! Jest bogaty, młody i zdrowy, i bezczelnie mu się szczęści. Czy da mi choćby jednego grosza? Z pewnością nie. Jest sknerą”. (Należało to do właściwości Teodora, że znienawidzonym gościom, zarówno jak i cenionym, przypisywał skąpstwo). „Jutro wróci i weźmie w posiadanie cały dom. Połączy się teraz z matką przeciwko mnie. Przywitam go bardzo oziębło. Jak ja to potrafię”.

„Jak ja to potrafię” — dodał szeptem. Znowu opanował go lęk. Weronal nie pomógł, spowodował bicie serca, rynna nie przestawała kwilić, wiatr w nieregularnych odstępach uderzał o okna ciężkimi kroplami wody, jak kamyczkami. Teodor począł wertować książkę, którą znalazł w bibliotece Pawła. Była to książka p.t. „Rem-

brandtowi Niemcy”. Natknął się na zdanie, które mu się podobało. Postanowił je sobie zapamiętać i zacytować następnego dnia podczas rozmowy z Lehnhardtem. To zmęczyło go i uśpiło.

Szary poranek napełnił okno.

VI

Teodor obudził się późno.

Słyszał głos Pawła na korytarzu. Postanowił możliwie długo przewlec zobaczenie się z bratem i poleżeć jeszcze dwie godziny. Matka zapukała do drzwi. Nie odezwał się, chrząknął tylko. Słyszał, jak matka się oddaliła i mówiła coś w jadalni do Pawła.

Ubrał się szczególnie starannie i włożył do klapy odznakę stowarzyszenia „Bóg i Żelazo”. Miał uczucie, jak gdyby wybierał się na spotkanie z niebezpiecznym przeciwnikiem, a instynkt jego doradzał mu poczynić odpowiednie przygotowania, wciskając mu jeszcze w końcu do ręki jeden z jego trzech pistoletów. Obej-

rzał magazyn i wsunął broń do kieszeni. Potem podszedł cicho, jak gdyby miał zaskoczyć kogoś, do drzwi jadalni, nadśluchiwał przez chwilę i wszedł.

Bracia uścisnęli się pobieżnie, nachylili się machinalnie i ucałowali powietrze.

— Jaką nosisz odznakę? — zapytał Paweł.

— To jest nasze stowarzyszenie — odrzekł Teodor.

— Co tam robicie?

— Różne rzeczy.

Długa przerwa.

Teodor nie znosił ciszy i zaczął spacerować po pokoju ze spuszczoną głową. Robił krótkie kroki; kciuk prawej ręki wsunął między kamizelkę a rękaw koszuli. Wyglądało to, jak gdyby sobie coś powtarzał, lub jak gdyby w pośpiechu rozwiązywał zagadkę zadaną mu przez brata.

— Późno dziś wstałeś?

— Tak jest — warknął Teodor.

— Poszedłeś późno spać?

Teodor nastawił uszy. Czyżby brat wiedział już o puszcze?

— Tak, wiesz — deszcz nie daje mi spać, a poza tym pracowałem.

— Studiujesz?

— Tak jest, zajmuję się od kilku tygodni Marksem.

Teodor lubował się w oszałamiających kłamstwach. Efekt był ten, że drugi rozmówca z powodu zdumienia nie mógł myśleć o wątpliwości jego słów i myślał o nich z szacunkiem.

— Jak wpadłeś na Marksa?

— Są prawdziwe rzeczy u tego gościa. Miał dobrego nosa. A poza tym należy wroga wpierw poznać, zanim się go zaczyna zwalczać.

— Chcesz więc przeciw niemu pisać?

— Pisać?! Te czasy minęły! To pozostawiam tobie. Nasze nowe pokolenie zna czyny!

— Co to są czyny?

— Co się wykonywa głową i ręką. Na przykład: zrobić w Niemczech porządek, zmusić rząd do ustąpienia, przepędzić bolszewików i Żydów wszystkich partii, zapalić ogień radości i wypowiedzieć wojnę.

— Czy mówisz w imieniu stowarzyszenia?
— zapytał Paweł.

— Zawsze — odparł Teodor. — U nas nie ma zwariowanych indywidualistów, jak ty. My nie przegramy już żadnej wojny.

— Czy robisz mnie zarzut z powodu klęski?

— Oczywiście, tobie i innym Żydom!

— A więc wypowiadasz mi wojnę?

— W każdym razie jestem twoim wrogiem, a jeżeli trzeba będzie, to i wojnę wypowiem!

— Wśród takich warunków — ciągnął Paweł po chwili bardzo spokojnie i pomału — nie możemy żyć pod jednym dachem. Zapytamy może matki — gdyż dom jest według testamentu ojca jej własnością — kto z nas może tu pozostać.

— Gwizdzę na prawo. Według rzymsko-żydowskiego prawa musiałbym się może wyprowadzić.

— Germańskiego co prawda nie mamy.

— Zobaczymy!

Teodor znowu rozpoczął swoją wędrówkę z prawym kciukiem w kamizelce. Usiłował wprowadzić pewnego rodzaju spokojną, rzeczową wrogość.

— Czy czytałeś kiedykolwiek Marksa?

— Nie — odrzekł Paweł — tylko przeciętne prace o nim.

Mimo to mniemał Teodor, że obiektywne uznanie zalet Marksa usposobi Pawła przychylniej. Rzekł więc:

— W każdym razie, wielka rzecz, ten Marks!

Nic nie mogło Pawła więcej drażnić, jak zwrot: „wielka rzecz” i sposób, w jaki brat te słowa wypowiedział. Obecność jego brata sprawiała jego oczom ból, paraliżowała jego ręce, które trzymał w kieszeni, żeby Teodor nie mógł widzieć, że drżą.

— Jesteś analfabetą! — rzekł Paweł nagle.

— Powinien byś jeszcze uczyć się podstawowych rzeczy!

— Ty nie jesteś kompetentny, wcale nie jesteś w tej sprawie kompetentny! — Teodor podniósł głos: — Ciągłe te podstawowe rzeczy.

To jest wasza cała mądrość! Dzięki tym podstawowym rzeczom przegraliście wojnę. My zapoczątkujemy nową epokę w Niemczech! Wasze podstawowe rzeczy to świństwo! My w ogóle zaczynamy od początku. Nie musi się czytać Herdera i Lessinga, ażeby być człowiekiem i Niemcem! To przeklęta zazdrość każe wam tak do nas mówić. Nie chcecie, byśmy się rozwinęli. Nienawidzicie nas! Zazdrościcie nam naszej przyszłości! Razem z waszym klasycznym wykształceniem. Oto jest prawda! Durniem ty jesteś!

Ostatnie zdanie Teodor krzyknął tak głośno, że pani Bernheim przyszła z kuchni. Zanim jeszcze zaczęła mówić, przyłożyła do brwi rękę, żeby z uporczywie suchych oczu wycisnąć łzy, którymi miała zamiar za chwilę się posłużyć. Stała przy drzwiach i rzekła:

— Powiedz, Pawle, czy brat twój nie jest głupim dzieckiem?

Teodor rzucił na matkę i na brata spojrzenie, jakie się rzuca na zwłoki pobitych wrogów. Wyciągnął chustkę i jął czyścić szkła. Małymi,

nagimi oczkami, nad którymi mrugały cienkie powieki, patrzył na przemian to na matkę, to na brata i myślał: „Trzymam ich na uwieczni!” — Następnie włożył okulary.

Paweł wstał nagle. Grożąc, podsunął Teodorowi pod nos dwie pięści. Teodor sięgnął do kieszeni po rewolwer. Przez jeden moment pomyślał Paweł o scenie z Nikitą. Szybko wycelował między oczy Teodora. Cichy trzask. Okulary pękły. Równocześnie pani Bernheim krzyknęła.

Przez kilka minut stali wszyscy troje bez ruchu. Przypominali woskowe figury z panoptikum. Na konsoli tykał zegar. Deszcz bębnił w okna. Na korytarzu szumiał wodociąg.

Potem grupa się rozpadła. Pani Bernheim znikła za drzwiami. Po chwili wyszedł Paweł i udał się do biblioteki.

Teodor zebrał odłamki szkła, mimo że właściwie chciał je zostawić. Sam jeszcze nie wiedział, do czego mu będą potrzebne. Może je wsypie do garnków, ażeby wszyscy pomarli. Może rzuci je przy stole Pawłowi w oczy. Trzy-

mał je w zamkniętej ręce. Z wysuniętą naprzód głową, ostrożnie poszedł do swego pokoju. Wziął płaszcz, włożył buty zamiast półbutów. Pomyślał przy tym: nie zrobię im tej przyjemności i nie narażę się na zapalenie płuc. Wyszedł z domu. Udał się do optyka, a następnie do stowarzyszenia „Bóg i Żelazo”.

Paweł stwierdził w bibliotece, że większość jego książek znikła. Wszedł do pokoju Teodora, zdjął kilka książek z półki i zaniósł je z powrotem do biblioteki. Następnie wrócił do pokoju brata. Ujrzał trzy wiatrówki¹⁷, wiszące z bezwładnymi rękawami na wieszadle. Poniżej ramion na każdej z nich wyszyta była swastyka, czarna na białym tle. W kącie stała laska, której rączka była rękojeścią kastetu ukrytego w drzewcu laski. Dalej znalazł tam flobert¹⁸, dwa pistolety w stoliku nocnym i dwa sztylety na biurku, jako noże do rozcinania listów.

¹⁷*wiatrówka* — tu: prosta w kroju kurtka, używana przez radykałów, wyraźnie odróżniająca noszącego od osoby o umiarkowanych poglądach, wychodzącej na ulicę w eleganckim płaszczu. [przypis edytorski]

¹⁸*flobert* a. *flower* (daw.) — karabinek małokalibrowy (w oryg. niem. *Jagdflinte*: strzelba myśliwska). [przypis edytorski]

Obok kałamarza stały małe pudełeczka tekturowe w kształcie sześciątów, napełnione nabojami. Teodor byłby w stanie stawiać tu opór całej kompanii żołnierzy.

W pokoju było gorąco. Poza kaloryferem stał tu jeszcze mały, żelazny piecyk. Był teraz zimny, lecz nietrudno było poznać, że wczoraj wieczorem w nim palono. Piecyk nadawał pokojowi charakter prowizorycznej izby podoficerskiej. Zamiast pogrzebacza używał Teodor drucianego szkieletu parasola. W pobliżu piecyka wisiały dwie skrzyżowane szpady, a w środku misiurka¹⁹, strzeżona kosztowność.

Tylko w pokoju Teodora było ciepło. Od kiedy pani Bernheim zaczęła oszczędzać, dozorca otrzymał polecenie palić dopiero, gdy słupek rtęci spadał do 5 stopni Celsjusza. Lodowy, stęchły zaduch unosił się nad meblami, dywanami i oknami wszystkich pokojów. Przypominały zimne, jasne, schludne i niesamowicie uporządkowane pokoje w oknach wystawo-

¹⁹*misiurka* — hełm z osłoną karku, wykonaną z plecionki kolczej (z kółek metalowych). [przypis edytorski]

wych magazynów mebli. Wszystko było nowe i nieużywane. Politura błyszczała jak pierwszego dnia. Dywany zdawały się nie wchłaniać kurzu. Parę dywanów kazała zresztą pani Bernheim zwinąć i ustawić w kącie. Stały tam bezpieczne i solidne, a jednak jakby w oczekiwaniu, że ktoś zgłosi się po nie. Na miejscu dywanów leżało miękkie, gładkie, ceglaste linoleum, po którym się stąpało jak po gumie. Ze wszystkich zegarów, które pan Feliks Bernheim porozmieszczał w odrestaurowanym domu, chodził tylko jeden na kominku jadalni. (Życia pana Bernheima, w każdym pokoju stał albo wisiał jeden zegar. Miał bowiem słabość do zegarów i zmysł dla wartości czasu). Pani Bernheim sądziła, że kosztowne mechanizmy zegarów zużywają się, gdy są w ciągłym ruchu. Mimo to, w każdym pokoju umieściła jeden stojący zegar. A z białych, srebrnych, bezcelowych tarcz i wskazówek, które od lat pokazywały tę samą, skamieniałą godzinę, wiało niesamowite milczenie i snuło się przez mroźną próżnię pokojów.

Paweł przeszedł się parę razy po mieszkaniu. Zatrzymywał się za każdym razem przed dużym portretem ojca. Wisiał w biurze ponad półką, na której kiedyś piętrzyły się przypadkowe książki, korespondencja, gazety, a na której dziś stała tylko waga na listy, samotna, drgając lekko, jakby z zimna; z błyszczącą mosiężną szalką. Spojrzenie ojca zdawało się spoczywać na wadze. Nie miała innego zajęcia, jak wskazywanie, że to spojrzenie nie miało żadnej wagi. Paweł usiłował za tym dość nieudany portretem, oddającym jedynie reprezentatywną powierzchnię fizjonomii, znaleźć prawdziwe oblicze ojca. Lecz to mu się już nie udawało. Przypominał sobie jeszcze pewne ruchy ciała i rąk, ich niebieskie żyły oraz czworokątne, bardzo czyste i prawie białe paznokcie. Lecz twarz zginęła, nigdy nie żyła. Nie pomogłoby nawet otwarcie grobowca. Oblicze ojca składało się obecnie z tysiąca dziur. Zamieniło się w kryjówkę i pokarm robactwa.

Po raz pierwszy był smutny z powodu śmierci ojca. Ojciec był jedyną siłą i ciepłem rodziny.

Paweł powziął plan wyprowadzenia się z domu. Jak długo matka żyła, nie można było spodziewać się zmiany. Nigdy nie pozwoliłaby na przykład, aby Teodor sobie poszedł. Paweł chciał sam wyjechać.

Przechadzał się po ogrodzie. Krzaki róż drżały opakowane w słomę. Młode krzewy dzikiego wina przy parkanie były cośkolwiek większe. Żałosny był widok karłów, z których ściekał deszcz. Straciły swoje pogodne kolory i omszona zieleń wdarła się w wapienną biel ich baśniowych bród. Przybyły tu jako młodzi, rześcy staruszkowie, a teraz szły ku zagładzie i straciły uśmiechniętą godność swego wieku. W odróżnieniu od ludzi, karły z fabryki Grutzer i Sp. miały białe włosy w młodości i bezbarwne na starość. Wąskich ścieżyn nie posypywano już zwirem, nie skrzypiało pod nogami. Miękka ziemia pochłonęła małe kamyczki. Ogród przypominał w ów zimny, dżdżysty dzień jesienny, teren budowlany.

— A czym zajmuje się ogrodnik? — zapytał Paweł matki przy obiedzie.

— Zwolniłam go — rzekła pani Bernheim. — To znaczy, wzięli go do wojska, przed tygodniem wrócił, ale nie przyjął go więcej. Portier bardzo dobrze daje sobie radę z ogrodem. Musimy się ograniczać, Pawle! Sprzedałam duży wóz i dwa konie, a część stajen wynajęłam Gerstnerowi.

— Kto to jest?

— Mleczarz, nie przypominasz sobie? Od pół roku nie mamy kucharki, tylko pokojówkę, a trochę tego jedzenia sama gotuję.

— A pokojów też już nie opala się?

— Mamy jeszcze węgiel w piwnicy, ale nie starczy go na całą zimę, gdy teraz już zaczniemy. A co zrobisz w styczniu? A te czasy! Żebracy nachodzą nasz dom i są zuchwali teraz. Kiedyś napadną jeszcze na nas. Prawa przecież teraz nie ma! Merwig poradził mi, ażebym kupiła papiery. Co zrobię z papierami gdy przyjdzie wielki krach?

— Pieniądz traci wartość, matko!

— Traci wartość? Pieniądz! — zawołała pani Bernheim — a cóż w takim razie ma jesz-

cze wartość? — Była jak gdyby pod wrażeniem wiadomości, że słońce dziś wzeszło po raz ostatni.

— Lepiej będzie zakupić akcje.

— Nie, na miłość Boga, nie, Pawle! — odparła matka. — Dla kobiety akcje są niczym. Kobieta nie zna się na giełdzie.

— Pozostaw to panu Merwigowi!

— Tego nie mogę zrobić, wiesz. On mi doradzał pożyczkę wojenną. Pójdiesz jutro do biura i z nim pomówisz. Od kilku miesięcy ten człowiek nie podoba mi się. Źle mu się powodzi. Synowi amputowano obie nogi, stracił posiadłość. Co za ludzie! Urzędnicy tylko tak długo są uczciwi, jak długo mają na utrzymanie.

Wypowiedziała te słowa ze swoją dawną „królewską wyniosłością”. Był to stan, w którym ciągle jeszcze dobrze się czuła. Zmartwiło to również Pawła, mimo że nigdy nie obiecywał sobie wiele po „personelu”.

— Ależ matko — pan Merwig pracuje u nas od trzydziestu lat!

— A w trzydziestym pierwszym roku zaczyna kraść — dodała pani Bernheim, i tak mocno zacisnęła wargi, że skóra nad szczęką napięła się, a twarz upodobniła się do białego kamienia.

Paweł poszedł do pana Merwiga jeszcze tego wieczora, przed zamknięciem biura. Siedział jak zwykle, za matową szybą, przy swoim wysokim pulpicie. Jego gęsty, siwy wąs był najeżony, jego surowe, zielone oczy przypominały szklane odłamki stłuczonej flaszki, jego głos był cichym pomrukiem. Należał do owych długoletnich służbistów, którzy nie znają już różnicy pomiędzy bezdusznością a czystością charakteru i których bezwzględna uczciwość przywodzi na myśl niewzruszony głaz.

— Źle jest, panie Pawle! — rzekł Merwig, i mimo że to miało być jedynie skargą, było wyrzutem. — Od śmierci św. pamięci ojca straciliśmy wielu klientów. Większość z nich przeszła do wielkich banków, wszystkim małym źle się powodzi. Inne banki zabierają się

do różnych wątpliwych interesów, ale to nie są transakcje w rozumieniu pańskiego nieżyjącego już ojca.

— Mów pan spokojnie: zmarłego, panie Merwig — przerwał mu Paweł. I żeby starego nie dopuścić więcej do głosu: — Zaczniemy teraz na nowo, panie Merwig. Ja wezmę sprawy w moje ręce.

— Najwyższy czas, panie Pawle...

— Matko — rzekł Paweł wieczorem — ja ręcę za pana Merwiga. Wszystko skontrolowałem. Jest tylko głupi.

— Personel zawsze jest głupi, moje dziecko. Przyniosłeś może gazetę? Teodor nie wrócił dziś do domu. Zwykle przynosi gazetę.

— Czy nie abonujemy żadnego pisma?

— Już nie, moje dziecko! Przerwałam abonament.

— Dlaczego nie pošlesz po gazetę?

— Myślałam, że ty przyniesiesz jedną gazetę i Teodor jedną, bylibyśmy już mieli dwie.

— Pójdę po gazetę.

Gdy Paweł wrócił, na stole leżała depesza: „Robert przyjeżdża w środę. Całusy. Lina”.

Istniał jeszcze Robert. Paweł zapomniał o nim. Co stanie się teraz z tym rotmistrzem?

— Trzeba będzie przyjąć go do interesu — sądziła pani Bernheim.

— Kiedy on nie zna się na tym.

— Nie szkodzi. Wgryzie się! Taki człowiek jak on!

Pani Bernheim nie przestała oceniać mężczyzn na podstawie ich fizycznych walorów. Lubiła swego zięcia.

— Ma doskonałą prezencję. W cywilu również wygląda jak kawalerzysta.

Paweł, nie bez goryczy, wspominał kawalerię, przy której nie danym mu było pozostać. Kawaleria ponosiła winę za jego spotkanie z Nikitą, za jego długą chorobę. Nie powiedział niczego złego o Robercie. Był nawet bardzo grzeczny, gdy szwagier przyjechał. Był właściwie miłym, poczciwym człowiekiem. Ale okropnie wyglądał w cywilnym ubraniu. Nosił za grubo krawat i za mały, ciemnozielony kapelusz.

Paweł postanowił przede wszystkim pójść z Robertem do krawca, po kapelusz i do dobrego fryzjera.

Wykwintnego już rotmistrza wsadził do banku. Był nawet zadowolony, że ten szwagier żył. Człowiek, któremu można było zaufać.

Paweł wziął w swoje ręce tzw. „służbę zewnętrzną”. Pod „służbą zewnętrzną” rozumiał podróże. W końcu wynajął mieszkanie w Berlinie. Do banku przychodził tylko raz na tydzień.

VII

Pewnego dnia, gdy Paweł wychodził z mieszkania, rzekł do niego portier: „Dzień dobry, panie Bernheim! Na drugim piętrze, akurat nad panem, zwolnił się pokój”. Paweł właśnie wstał. Należało do jego właściwości, że go wszystko szczególnie interesowało, co opowiadano mu tuż po przebudzeniu się. Znajdował się poniekąd w pewnej zależności od portiera. Mimo że trzy razy w tygodniu dostawał od Pawła napiw-

ki w obcej walucie, portier umiał utrzymywać Bernheima w ciągłym poczuciu winy i podsycać wrażenie, jakoby pomiędzy jego usługami a wysokością datków zawsze istniała znaczna różnica. Pawłowi byłoby przykro nie wziąć pod uwagę wskazówki portiera. Poza tym raziła go myśl, że nad nim znajduje się próżny pokój, do którego mogłoby się wprowadzić coś hałaśliwego, na przykład klub gry. Nie mógł w końcu uchodzić przed portierem za jednego z owych lokatorów, którym zależy na paru głupich banknotach. Paweł zapytał zatem, jako bankier, ile pokój kosztuje. „Dziesięć dolarów miesięcznie” — odrzekł portier, który wobec Bernheima nigdy nie śmiał wymienić innej waluty. „Biorę ten pokój” — rzucił Paweł z szybką decyzją, z jaką przy telefonie na przykład mówił: biorę, zrobione!

Istotnie potrzebował pokoju. Im dalej szedł wzdłuż Kurfürstendammu, tym pokój stawał się bardziej potrzebny. Był mglisty dzień lutowy. Żebracy i kalecy na rogach ulic byli z szarej mgły. Przechodniów widziało się dopiero

z odległości trzech metrów; wczesne latarnie płonęły jak gasnące gwiazdy. Paweł wiedział, że byłby bardzo smutny, gdyby w takim okresie nie był wynajęt pokojem. Tak miał na dziś małą sensację. W ciągu całego dnia nie otrzymał poczty. W dniach, w których skrzynka z listami była próżna, czuł się podwójnie samotny. W takich dniach był pesymistą i stawał się zabobonny. Wyobrażał sobie, że jakaś wroga potęga powstrzymała ludzi, z którymi korespondował, od pisania, albo listy ich zatrzymywała w skrzynkach pocztowych, albo powodowała gnienie korespondencji w workach i wozach pocztowych. Sam niechętnie pisywał zwyczajnie listy. Telegrafował albo wysyłał polecane listy. A więc wczoraj i przedwczoraj żaden człowiek o mnie nie myślał, mówił do siebie, gdy skrzynka na listy była próżna. „Mam wielu przyjaciół i jestem sam. Nawet Marga do mnie nie napisała”.

W takich dniach przygotowywał się z cierpliwą radością na korespondencję biurową, która czekała nań w mieście. (Nie wyrażał się: cen-

trum miasta, lecz „city”.) Zwykle ta korespondencja w ogóle go nie interesowała. Przyjaciół „z fachu” odstąpił mu biuro, w którym siedzieli sekretarz Bernheima i stenotypistka. Odbierali rozmowy telefoniczne, zawierali samodzielnie małe umowy, a gdy szło o większe, dzwonił do mieszkania Pawła. Codziennie po południu, w godzinę po drzemce, udawał się Paweł do biura. Gdy otrzymał listy w domu, jeździł autem. W dniach, w których nie miał prywatnej poczty, szedł pieszo, ażeby gruntownie posmakować swojej samotności. Lecz i dlatego, by w pewnym określonym momencie, w którym ból samotności przechodził w łagodne rozrzewnienie, możliwie długo przewlec nadzieję na niespodzianie ciekawą korespondencją handlową. Ostatecznie mógł między pocztę biurową dostać się także prywatny list.

Postanowił obecnie przenieść biuro z „city” i urządzić je na drugim piętrze nad jego mieszkaniem. Zdarzały się godziny pod wieczór, które musiał spędzić w swoim pokoju sam, nie zgłaszał się wtedy żaden przyjaciel, nie do-

stawiał żadnego listu, nikt nie telefonował. Kobiety, z którymi utrzymywał stosunki, interesowały go tylko, jak długo znajdował się w ich towarzystwie. Jego stała przyjaciółka, Marga, mieszkała w Wiedniu i przyjeżdżała do niego raz na miesiąc. Była młodą aktorką, która za żadne skarby nie chciała porzucić teatru. Nie udało mu się umieścić jej na berlińskiej scenie. Lecz nawet gdyby był miał Margę przy sobie, nie byłby czuł się mniej opuszczony. Potrzebowała go jedynie, bo wymagał tego zwyczaj. Nie kochał jej, lecz i jemu nakazywała tradycja utrzymywać przyjaciółkę. Powiększało to towarzyski, a nawet finansowy kredyt.

Ciężko było żyć samemu. Wszystkie nieprzyjemne myśli przychodziły z samotności, jak pociągi przychodzące z oddali. Gdy był sam, przypominał sobie Nikitę, szpital, straconą Anglię, przerwany Oxford. Zbliżał się do trzydziestki. Trzydziesty rok życia wydawał mu się ostatnim etapem na drodze do wielkości. Kto do tego czasu nie był wybitnym człowiekiem, ten nim już nie zostanie. Życie traciło wtedy swój

sens. Gdyż wieść przeciętne życie uważał Bernheim za zdradę na własnej osobie, na swoich talentach, na swoich genialnych młodzieńczych latach, na swoim zmarłym ojcu. Gdy myślał o swojej przyszłości, mógł wyobrazić sobie jedynie wielkość albo śmierć. A im bardziej promienną malował sobie ową wielkość, tym bardziej obawiał się śmierci. W niektórych godzinach otaczała i wypełniała go już próżnia śmierci.

Ażeby uciec przed nią, otaczał się towarzystwem. Byli to ludzie, którzy z niego żyli, cienie wyłaniające się z mgieł epoki i przez nią ukształtowane. Wszyscy poruszali się na niepewnym, nieograniczonym i zmieniającym ustawicznie swoje rozmiary terenie, pomiędzy sztuką a hazardową grą. Mieli styczność z teatrem, malarstwem, literaturą, lecz nie pisali, nie malowali, nie występowali. Ten zakładał pismo na przeciąg jednego tygodnia. Ów brał zaliczkę za artykuł, którego nie mógł nigdy napisać. Trzeci urządzał scenę dla młodych i szedł po pierw-

szym przedstawieniu do więzienia. Czwarty oddawał swoje mieszkanie na dom gry, nie mógł żyć w swoim domu i przegrywał w innych klubach komorne, które mu płacono. Piąty studiował medycynę i zajmował się spędzaniem płodu²⁰; mógł jednak, obawiając się niedyskrecji, proceder ten uprawiać jedynie w gronie przyjaciół, nie dostawał więc honorarium. Szósty aranżował seansy spirytystyczne i padał ofiarą denuncjacji własnych mediów. Siódmy równocześnie uprawiał szpiegostwo na rzecz tutejszej policji i na rzecz obcych poselstw, oszukiwał jednych i drugich, i obawiał się zemsty wszystkich. Ósmy dostarczał rosyjskim emigrantom fałszywych paszportów i pośredniczył na policji przy staraniach o zezwolenie na pobyt. Dziewiąty przynosił radykalnym pismom fałszywe wiadomości z kół tajnych organizacji nacjonalistycznych. Dziesiąty kupował je, zanim ukazywały się w gazecie i dostawał za to

²⁰*spędzanie płodu* — aborcja, przerwanie ciąży; w Niemczech w tym czasie nielegalne, więc dla lekarza ryzykowne, ale przynoszące duży zysk. [przypis edytorski]

wynagrodzenie od konserwatystów, którzy posiadali pieniądze. Okazało się w owych dniach, że moralność tego świata zależała wyłącznie od stabilizacji waluty. Jest to stara prawda, która poszła w zapomnienie w ciągu tych lat, kiedy pieniądze miały bezsporną wartość. O moralności społeczeństw decydują giełdy świata.

Dla tych wszystkich ludzi mieszkanie Bernheima stało otworem w dzień i w nocy. On, jedyny między nimi, zarabiał prawdziwe pieniądze, to znaczy obce, i dlatego miał nad nimi wyższość. Im więcej go ta wyższość kosztowała, tym większą miała wartość. Niekiedy chętnie przeceniał swoich przyjaciół, żeby sam sobie mógł wydawać się potężniejszym. Oddawał się iluzji, że wie gdzie nareszcie życie prawdziwego pana. I jak niegdyś jego ojciec kupował teraz ubrania, buciki, kapelusze w Anglii. Palił angielski tytoń z angielskiej fajki, jadał owoce i kaszę, i surowe mięso i jeździł znowu konno, jak za młodych lat. Martwił się tym, że nie posiadał własnego konia. Automobil na spłaty, szofera w liberii. Paweł byłby chętnie posiadał

konie i parę powozów. Przekonany o tym, jak i cały świat, że gospodarka decyduje o polityce oraz o całym życiu narodowym, a nawet europejskim, zaniedbał swoje zamiłowanie do historii sztuki i do literatury, a mówił obecnie wyłącznie o „ekonomicznych realiach”. „Chodzi o to — tłumaczył doktorowi Königowi, jednemu z jego przyjaciół — by opanować rynek. Opinia publiczna jest rynkiem. Pisma są niewolnikami banków. A kto opanowuje banki wraz z ich niewolnikami, rządzi państwem”. Doktor König, który miał lewicowe zapatrywania, który sympatyzował z Rosją i uważał się za rewolucjonistę, przysłuchiwał się z nabożeństwem, jakim zawsze dysponują przeciwnicy ustroju burżuazyjnego w rozmowie z filarami tego ustroju. Bernheim uważał go za potężnego przywódcę proletariatu, a on widział w Bernheimie tajnego sojusznika ciężkiego przemysłu. Tak siedzieli naprzeciw siebie, reprezentanci dwóch wrogich potęg, osobiście obiektywni aż do przyjaźni i każdy przeświadczony o wrażeniu, jakie wywiera na drugim.

— Będziemy jeszcze z Rosją robić interesy!
— rzekł Paweł z przychylną ironią.

— Zarobicie tam pieniądze, które my wam tu zabierzemy! — odpowiedział doktor König.

Wieczorem siedzieli obok siebie przy grze. Dr König przegrywał. Wywodził swoje niepowodzenie w grze ze swego światopoglądu, który kazał mu nienawidzić pieniędzy. Pożyczał więc od wygrywającego Pawła, który okoliczność tę wyjaśniał tradycyjną filozofią, mianowicie brakiem powodzenia w miłości. Wieczorem nie znosił polityki. Wolał już anegdotki Kastnera, który przynosił ze sobą czasami pornograficzne dzieła. Kastner dostawał je w komis od ludzi będących w kłopotach pieniężnych. Bernheim odkupił już od niego parę dzieł. Zabawiał nimi damy, które go odwiedzały i do których mówił: „Muszę panią na pół godzinki przeprosić, mam ważne sprawy. Proszę sobie na razie obejrzeć te ilustrowane pisma. Proszę tylko nie zaglądać do tamtych ksiąg. To jest trucizna dla kobiet!”. Gdy wracał po kwadran-

się, kobieta siedziała już nad zakazanymi książkami.

Parę razy w tygodniu urządzał większe przyjęcia, które kończyły się dopiero o brzasku. Podawał szofer w białych rękawiczkach. Po kolacji młody poeta czytał fragmenty dramatów. Gaszono światło pająka²¹ i tylko po kątach zostawiano oświetlone żarówki przysłonięte ciemnoniebieskimi batykowanymi²² abażurami. Poeta siedział w fotelu. Słuchacze opierali się o poduszcзки, których Bernheim posiadał może sto. W ten sposób każdy urządzał sobie kanapę. W miarę jak komplikowały się akcje dramatów, zwiększało się zainteresowanie słuchaczy dla swoich sąsiadek. Podczas gdy poeta czytał ostatni akt, większa część leżała już w ciemności, jak gdyby leżeli już za spuszczoną kurtyną.

Lampki z abażurami były skręcone. Tu i ówdzie widziało się białą rękę, sięgającą po szklankę. W drugim pokoju nakręcał szofer przytłumiony gramofon. Ktoś wtórował, nucąc me-

²¹pająk — tu: żyrandol. [przypis edytorski]

²²batykowany — zdobiony metodą batiku, która polega na pokrywaniu części tkaniny woskiem i farbowaniu fragmentów niepokrytych. [przypis edytorski]

lodię płyty. Jedna para podniosła się do tańca, lecz po kilku chwiejnych obrotach opadła z powrotem, jak gdyby stanął mechanizm wbudowany w ich ciała i w ruch wprawiający ich członki. Przeważna część mogła tylko jeszcze palić papierosy. Razem z dymem unosił się mdły zapach ich ust, a zapach wina, papierosów, pudru i perfumy dawał w sumie woń mentolu i pasty do zębów. Zanim wstawał szary ranek, szofer przynosił czarną kawę w małych filizaneczkach. Jego rękawiczki, cudem jakimś, wciąż jeszcze były białe i lśniły się w ciemności. Damy oraz ci panowie, którzy nosili złote bransoletki, brali filizanki do ust, podnosząc przy tym mały palec.

Goście odchodzili, jeden za drugim, nie żegnając się, między dniem i nocą, i jakby lękając się dnia. Pół godziny po odejściu ostatniego gościa Paweł nie wiedział jeszcze, czy był już sam. Robił więc rundę po pokojach, jak stróż nocny. Przy pierwszym rannym blasku szukał śpiących we wszystkich kątach, pomiędzy rozrzuconymi i spiętrzonymi poduszkami.

Byłby chętnie zatrzymał jednego gościa. Lecz bał się to powiedzieć, aby wszyscy nie zostali. Gdy przekonał się, że wszyscy odeszli, grał parę melodii z okresu swej młodości. Dzień zimowy czołgał się ku oknom z ołowianą powolnością. Paweł pozostawiał swoje palce ich własnej pamięci i pozwolił im posuwać się po klawiszach bez kontroli. Wywołane dźwięki późno docierały do jego uszu, jak gdyby przysłuchiwał się grze obcego z odległego pokoju. Melodie przyływały równocześnie z pierwszymi szmerami budzącej się ulicy. Paweł przypominał sobie poranne godziny swojego dzieciństwa, godzinę przed udaniem się do szkoły. Krótki, a jednak tak długi kwadrans pomiędzy przebudzeniem się a wstaniem, kiedy to z podwójną wrażliwością zmysłów słuchał odgłosów poranka na dalekich ulicach i w bliskich pokojach. W całym domu unosiła się woń świeżo palonej kawy i tłuszczu, w którym skwierczała jajecznica. Czuć ją było jeszcze na ulicy. Gdy Paweł wychodził z domu, specyficzny ten zapach towarzyszył mu jeszcze jakiś czas. Pierwsze lek-

kie, chłopskie wozy toczyły się do miasta. Na pierwszym zakręcie ulicy, ciężko dysząc, pojawiała się sikawka magistracka, niby zrobiona ze spizu. Wtedy ciągnęły ją jeszcze dwa szerokie, monumentalne konie, które zdawały się same liczyć dudniące uderzenia swoich kopyt. Śpiewne wołania handlarzy ulicznych odbijały się echem wśród ścian i porannej próżni podwórzy, a z otwartych okien dolatywał, jak odpowiedź, śpiew sprzątającej pokojówki. Paweł widział swoich kolegów, jednego po drugim. Mógł ich jeszcze wyliczyć podług alfabetu, aż do Morgensterna, potem nazwiska gubiły się w ciemności nocy.

Każdy z nich coś osiągnął, o ile nie padł na wojnie — myślał Paweł. A jak daleko ja ich wówczas zostawiałem w tyle! — Z nieubłaganą trzeźwością, następującą po nieprzespanej nocy, demaskował Paweł Bernheim jedno złudzenie za drugim. Były to jedyne godziny, w których zdawał sobie sprawę z nędżności jego przyjaciół i fałszywego blasku jego

wygodnego życia. Rzekłbyś: pogodna prawdziwość owych wrażeń, przysyłających ciągle jeszcze echo odległych czasów, odslaniała próżnię teraźniejszości, jak się poznaje fałszywe perły, gdy pojawiają się w pobliżu prawdziwe. Groźna góra lodowa płynęła naprzeciw jego trzydziestce. Ambicja dręczyła go. Było to fizyczne, nieuleczalne cierpienie. Gdybym mógł się jej wyzbyć — pomyślał Paweł — gdyby można ją było wyciąć! To nie był rys charakteru, to był chory, zbędny organ. I jak skąpiec liczy swoje nieproduktywne skarby, tak Paweł liczył swoje nieproduktywne talenty. Umiał malować, grać, pisać, zabawiać; znał się trochę na interesach, na ludziach, na ekonomii, na polityce. Nieźle mu się powodziło, zarabiał pieniądze. Lecz nie tyle, by być potężnym, a za dużo, by poznać błogą gorycz ubóstwa. Musiała istnieć jakaś tajemnica, tajemnica powodzenia. Może z czasem wpadnie na nią. Może szczęśliwy ożenek.

Znowu przez okna wciekał dzień, straszny dzień. Przyniósł próżnię, zimno i zrozumienie

prawdziwego stanu rzeczy; zrozumienie, które rodziło lęk i budziło cień śmierci. Był to wprawdzie ratunek przed przeciętnością: ale jaki ratunek! Jak się mruży oczy przed nadciągającą katastrofą, tak przymknął Bernheim oczy przed nadciągającym dniem. Położył się spać.

Pracy nie trzeba było poświęcać więcej, jak dwie godziny. Interesy szły same. Przy dwóch rozmowach telefonicznych z Merwigiem w domu zarabiał się na miesiąc utrzymania. Na różnicy pomiędzy wartością dolara na czarnych i legalnych giełdach świata zarabiał się na luksus. Udało mu się w końcu skłonić Merwiga do nawiązania z ludźmi z czarnej giełdy. W przeciwnym razie byłby mu wypowiedział. Bez litości. Paweł wyraził się: bez słabości. Tylko nie być sentymentalnym! — powtarzał Paweł kilka razy dziennie.

Teraz, kiedy biuro mieściło się nad jego mieszkaniem, czuł się mniej samotnym. Na górze siedzieli ludzie, których on opłacał. Żyli z niego, musieli więc być do jego dyspozycji. Nie tak jak przyjaciele, którzy uważali, że przyjaźnią

spłacają pożyczone pieniądze. Około trzeciej po południu wchodził wolnym krokiem schodami do biura. Gdy tylko wkładał klucz do zamka, wewnątrz zaczynały stukać dwie maszyny. Dwie panny siedziały nad nimi nachylone, jak gdyby nie słyszały wchodzącego. Rzuciły się drapieżnie na jakiś obojętny list i zwyczajem żeńskich sił biurowych, siekły go klawiaturą maszyn. Czynność, która podoba się chlebodawcom, nie dlatego, że ich cieszy pilność, ale ze względu na strach, który budzą. Paweł Bernheim również cieszył się tą unizonością. Stosownie do zwyczaju czasów, będących epoką śmiałych i szybkich decyzji, kiedy to handel pod wpływem wojny zachowywał się jak strategia, do tego stopnia, że interesy zaczęto nazywać „operacjami”, stosownie do tych czasów, rzucił Bernheim okiem na biurka i na rozciętą korespondencję gotową do przeczytania. Miło mu było, kącikiem oka, objąć postać nieśmiałego, czekającego sekretarza, który nie ważył się swojemu panu przeszkadzać w lekturze. Pa-

węł Bernheim stawał się wówczas ludzki — zdolność użyczająca również rozkoszy władzy.

— No, pokaż pan śmiało, co pan tam ma!

Przypatrywał się ordynarnemu, twardemu i błyszczącemu materiałowi ubrania sekretarza i czuł radość lat chłopięcych, kiedy to ze świadectwem w ręku zegnał się z kolegami, których oczekiwał jeszcze dodatkowy egzamin.

— Umowy telefoniczne?

— Dotychczas cztery — rzekł sekretarz.

— Powszechny Ziemiański, Agrarny, Kredytowy i pan Robinson.

— Robinson? Wiele?

— Wszystkiego 500!

— Chińskie?

— Nie, Ameryka!

— Czy słyszał pan co o Ergo, Im. i Ex.?

— Aparaty nie idą, panie Bernheim. To nie ma racji bytu, jeżeli wolno mi wypowiedzieć moje zdanie.

— Nie — rzekł Bernheim — bez swego zdania — a w duszy sekretarza czytał słowa:

„Ma rację, kto dziś płaci jeszcze 15 dolarów tygodniowo?”.

— Musimy — mówił dalej Bernheim — bacznie sprawę śledzić. Trzeba mieć nosa! — Telefon przeraźliwie alarmował, równocześnie biuralistki przestały stukać. Sekretarz skoczył, ażeby chwycić słuchawkę, zanim Bernheim wyciągnie rękę. Przez chwilę panowała cisza. Wynikała ona z obydwu maszyn, które przed chwilą jeszcze hałasowały, i z obu dziewcząt, których twarze przybrały minę pustej uroczystości, z jaką niekiedy przypatrywały się nabożeństwom lub obcym weselom.

— Kto mówi? — zapytał Bernheim sekretarza. Ten odłożył słuchawkę z usługą stanowczością, z którą za piętnaście dolarów tygodniowo byłby odłożył wszystkich właścicieli telefonów. Pomiedzy koniecznością mówienia po cichu, a obawą, że szept zmniejszyłby jego czołobitność, wynalazł pewnego rodzaju urwany sposób wyrażania się, fragmentaryczne zwroty, jak gdyby skróty trudniej było słyszeć niż całe zdania.

— Granich Düsseldorf pyta, jutro będzie sygnowane! — bełkotał.

— Niech czeka! — rzucił Bernheim — jestem na konferencji.

Sekretarz telefonował: „Proszę uprzejmie poczekać albo zadzwonić za godzinę. Nie mogę niestety służyć. Pan Bernheim jest na ważnej konferencji”. Uważał za stosowne nazwać konferencję ważną. W ten sposób robił się niezbędny.

Istotnie, Paweł Bernheim lubił, gdy mówiło się o jego ważnych konferencjach. Lubował się jak cały świat w tych nieszkodliwych złudzeniach, i stosował je z obawy, że mógłby sam paść ofiarą podobnego kłamstwa. Z tego powodu dodał:

— Zadzwonź pan do pana Robinsona, powiedz pan, że jestem na ważnej konferencji i że oczekuję jutro jego wizyty.

Sekretarz zatelefonował i rzekł:

— Pan Robinson prosi pana do siebie. Właśnie jutro nie ma czasu!

— Niech w takim razie czeka! — rozkazał Bernheim z udanym wybuchem. Odpowiedź Robinsona gniewała go, a jeszcze bardziej był zły, że jej nie przewidział. Byłby chętnie wydał jeszcze parę zleceń, ale stał się zabobonny! Dziś nic się nie powiedzie!

Chciał wstać i zakończyć dzisiejszą pracę.

Znów rozległ się dzwonek.

— Pański brat — rzekł sekretarz.

Paweł zapytał: — To ty, Teodorze?

— Tak jest — odrzekł Teodor — nie odchodź, będę za pięć minut u ciebie.

Teodor przyszedł.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu miał na sobie cywilne ubranie. Wiatrówki²³ wiodły w domu. Nie usiadł mimo zaproszenia Pawła. Stał w mroku zimowego wieczoru, na jego płaszczu błyszczało jeszcze i szybko się roztopiło parę śnieżnych gwiazd. Kapelusz trzymał w ręku — poznać było, że byłby go chętnie trzymał obiema rękami. Upokorzony — w do-

²³*wiatrówka* — tu: prosta w kroju kurtka, używana przez radykałów, wyraźnie odróżniająca noszącego od osoby o umiarkowanych poglądach, wychodzącej na ulicę w eleganckim płaszczu. [przypis edytorski]

mu brata. Paweł wydawał mu się bardziej obcy wśród obcych mebli, wśród ścian, które były własnością Pawła, wyłącznie Pawła. To nie był dom matki, w którym Teodor, bądź co bądź, doznawał uczuć wywłaszczzonego, wzniosłą gorączką, która również nadaje praw własności. Czy pomoże mi? Do chwili, w której zadzwonił do mieszkania Pawła, chodził bez określonego planu. Nie był w stanie wyobrazić sobie, co powie i co Paweł na to odpowiedzieć może. A teraz w ogóle nie wiedział, co ma powiedzieć. Zapadający szybko mrok wypełnił pokój. Paweł nie zapalił światła. Rzekłbyś: woła ściemniające się niebo na pomoc przeciw Teodorowi.

„Powiem to, zanim noc zapadnie” — pomyślał Teodor.

— Potrzebuję natychmiast co najmniej 2000 dolarów! — rzekł wreszcie.

— Nie mam!

— Muszę dziś w nocy uciec. Z Gustawem. Ty go nie znasz. Zbroił coś.

— Co mówisz? Cóż ty masz z tym wspólnego?

— Możesz mnie oddać w ręce policji, jeżeli chcesz. Brałem w tym udział! — A ponieważ pomyślał, że Paweł mógłby uważać go za pospolitego bandytę, dodał szybko:

— Polityczna sprawa.

Ostatnia zgłoska drgała jeszcze w uszach Pawła. Noc zapadła. Paweł przypomniał sobie znowu Nikitę.

— Nie mam pieniędzy!

— Dzwon, pożycz sobie natychmiast, szybko! — krzyczał głośno Teodor, jak gdyby w mniemaniu, że nie ma sensu być ostrożnym, skoro jest już noc.

— A co stanie się — zapytał Paweł pomалу — jeżeli nie dam ci pieniędzy?

— Ty! — krzyknął Teodor. Wyciągnął rękę w kierunku stołu. Szklany przycisk do papieru sam wcisnął się do jego ręki. Rzucił nim o podłogę. Zadudniło.

W tej chwili zaskowytał dzwonek.

Paweł otworzył drzwi.

Wszedł Nikołaj Brandeis.

*

Był to wysoki, barczysty mężczyzna około czterdziestki, o dziwnie miękkich, tygrysiach ruchach i głębokim łagodnym głosie, którego urok polegał na obcym akcencie, z jakim wymawiał słowa. Niekiedy zdawało się, że Brandeis celowo źle akcentuje. Kto go znał, zdumiony był wszechstronnością i szybkością jego inteligencji oraz wytrwałością, z jaką popełniał ciągle stare błędy. Ba, miał ten niegrzeczny zwyczaj, że zdanie, które ktoś wypowiadał, powtarzał natychmiast ze swoją melodią i fałszywym akcentem, jak gdyby chciał mówiącego poprawić albo też siebie upewnić, że dobrze słyszał. Cecha ta sprawiała, że ludzie odnosili się do niego z nieufnością. Skoro ludzie niechętnie się na to godzą, by ktoś poprawiał im błędy, to są rozgoryczeni, gdy nie uznaje się nawet ich poprawności. Brandeis był im obcy. Mogli znieść tylko pewien stopień obcości, a nawet z nią sympatyzować. Brandeis atoli przesadzał. W atlasie geograficznym, albo jako

skromny portret na ścianie muzeum, byłiby go ocenili jako „egzotyczny okaz”. On jednakowoż żył.

Zdawał się pochodzić z nieznanego rodu rosłych Mongołów o szerokich kościach. Jego czarna szpiczasta broda tak wzorowo kojarzyła się z szeroką twarzą o kształcie serca, że wyglądała jak sztuczna i przyklepiona, a że górna warga ponadto była golona, można było przypuszczać, że Brandeis zapomniał zdjąć brodę po balu maskowym. Dziwny był jasnoszary kolor jego skośnych, wąskich oczu. Nad jego trójkątną twarzą wznosiło się, w przeciwstawieniu do jej brunatnożółtego koloru, nieoczekiwanie białe i wysokie czoło, jakby pożyczone u innego człowieka. I dopiero rzadkie, rozpadające się w pojedyncze kosmyki, matowociemne włosy harmonizowały z jego twarzą, z jego brodą i położeniem jego oczu.

Wiedziano o tym niezwykłym człowieku tylko tyle, że, jak wiele tysięcy innych, opuścił Rosję po rewolucji. A ponieważ nie miał rodziny ani krewnych, ani przyjaciół, i ponieważ

w ciągu swego pobytu w Berlinie nie zdołał pozyskać sobie przyjaciół, nie obcując ani z obcymi, ani z ziomkami, a tylko to z tym, to z tamtym, robiąc interesy, i to interesy wszelakiego rodzaju — zaczęto na niego zwracać uwagę i podejrzewać go o różne występki. Szybko stał się znany. Nienawiść bowiem i nieufność czynią człowieka popularniejszym niż szacunek i miłość. Kto go raz widział, nie zapomniał go. Ulegało się melancholicznemu urokowi jego głosu, doszukiwano się u tego człowieka jakiejś tajemnicy.

Można go było spotykać w bankach, w poczekalniach dyrektorów, na giełdzie i w kawiarniach dzielnicy handlowej. Wiedziano o nim poza tym, że mieszka w zachodniej części miasta, w małym pensjonacie, w którym się nie stołuje. Niekiedy widywano go w późnych nocnych godzinach w zamkniętych klubach gry. Siedział w kącie, pił, płacił i odchodził. Restauracje były zamknięte, kluby uważał tylko za zastępcze lokale. Zaproszeń nie przyjmował. Szedł zawsze pieszo. Ze wszystkich ludzi, z któ-

rymi robił interesy, on był jedyny, który nie posiadał wozu i jedyny zresztą, który zdawał się nigdy nie śpieszyć. Widywano go potężnego, kroczącego wolnym, wyzywającym krokiem, z laską o metalowym końcu, skierowaną do nieba, opartą o ramię jak karabin; ręka z rączką laski w kieszeni, kapelusz z wąską kresą²⁴ zsunięty był na oczy. Tak był uzbrojony, a jego pewność siebie była pewnością człowieka kroczącego na czele dużego zastępu.

Parę miesięcy temu ubił z Pawłem Bernheimem poważniejszy interes. Chodziło o to, ażeby sprzedać tanio do Jugosławii kilka tysięcy starych, zużytych kuchni polowych, jako stare żelazo. Kuchnie stały przy komendzie uzupełnień w Styrii²⁵, a rząd nie troszczył się o to, bo nie był pomysłowy i bo kuchnie podlegały kontroli międzynarodowej komisji do spraw broni. Ale odbiorca chciał towar nabyć jedynie od jakiejś protokołowanej firmy w Austrii.

²⁴*kresa* — tu: rondo kapelusza. [przypis edytorski]

²⁵*Styria* (niem. *Steiermark*, słoweń. *Štajerska*) — kraina historyczna, dziś w granicach Austrii i Słowenii. [przypis edytorski]

Brandeis przyrzekł trzydzieści procent zysku, gdyby bank Bernheima zgodził się figurować jako odbiorca w Styrii i dostawca do Jugosławii. Cena kupna była mała, a przekupienie starosty i urzędnika skarbowego miał Brandeis sam załatwić. Bernheim niczego prawie nie ryzykował. Przyjął propozycję. Po sfinalizowaniu interesu otrzymał od Brandeisa, ku swojemu wielkiemu zdumieniu, zamiast trzydziestu procent, jak się umówili, czterdzieści pięć procent z zysku. Paweł obawiał się podstępu i odesłał Brandeisowi piętnaście procent. Otrzymał list, w którym Brandeis się usprawiedliwiał, oświadczając, że przekazał czterdzieści pięć procent przez pomyłkę.

Od owego czasu Bernheim nic o Brandeisie nie słyszał. Zjawienie się Brandeisa, dziś wieczorem, w godzinie, kiedy Paweł miał u siebie nieoczekiwanego brata, spotęgowało zagadkowość obcego i trwożliwość Bernheima. Czego chciał Brandeis? Czy wiedział o jego bracie? Czy był w zmowie z policją? Czy jemu i bratu coś groziło?

Trwało parę sekund, zanim Paweł się odezwał. Trzymał jeszcze rękę na klamce, stojąc przy drzwiach, które zamknął po wpuszczeniu Brandeisa i wyglądał, jak gdyby chciał oddać dom Brandeisowi i odejść stąd. Brandeis opuścił laskę, jakby na znak, że znajdował się już w mieszkaniu. Kapelusza z głowy nie zdjął. Czekał. Gdy Paweł wciąż jeszcze milczał rzekł wreszcie:

— Pan ma gościa i ja przeszkadzam. Może lepiej pójdę.

Teodor zapalił w międzyczasie światło. Siedział w szerokim krześle, chudy, blady i zmarznięty. Gdy Brandeis krótko i z daleka się ukłonił, Teodor zmrużył tylko powieki.

Paweł spodziewał się, że obecność obcego spłoszy brata. Lecz Teodor przerwał ciszę:

— Kiedy możesz mi dać pieniądze?

— To jest niemożliwe — rzekł Paweł.

Teodor wstał. Podniósł się szybko, wyrzucając naprzód górną część tułowia i nie wyciągając rąk z kieszeni. Ruch ten robił wrażenie

złośliwej i odgrażającej się odpowiedzi, rzuconej całym, naprężonym ciałem.

W tej chwili rzekł Brandeis:

— Ile pan potrzebuje, młody panie Bernheim?

— Brat chce dwa tysiące dolarów. W tej chwili nie mogę tych pieniędzy wytrzasnąć. Pan rozumie, teraz, o tej porze! — odezwał się Paweł.

— Czy mogę panu służyć? — zapytał Brandeis. Wyciągnął paczkę banknotów dolarowych, zwiniętych w rulon i związanych gumową wstążką. Odliczył dwa tysiące dolarów w banknotach studolarowych i wręczył je Pawłowi. Brandeis liczył tak szybko, iż zdawało się, że pomiędzy jego pytaniem a chwilą, w której na resztę banknotów nałożył gumkę, upłynęło tylko kilka minut.

Bez słowa — tak zdecydowanie milcząco, jak gdyby od wielu lat był niemy — podał Paweł bratu pieniądze.

Teodor skinął głową. Paweł poszedł za nim do przedpokoju. Otworzył drzwi przed Teodo-

rem. Nie podali sobie rąk. Teodor poszedł. Paweł powoli przymknął drzwi. Gdy się odwrócił, widział w lustrze odbicie Brandeisa. Brandeis musiał widzieć to pożegnanie.

— Dziękuję panu — zaczął Paweł — jutro...

— To nie jest potrzebne — przerwał mu łagodny głos — możemy zrobić większy interes, jeżeli pan zechce. Jak pan widzi, mam pieniądze, i to nawet nie w banku.

— Szczerze mówiąc — rzekł Paweł — nie byłbym mu dał grosza, gdyby pan nie był przyjechał.

— To byłoby niesłuszne. Chce pan tego młodego człowieka oddać w ręce policji?

— Skąd... — zaczął Paweł.

— Ja to wiem? Nic nie wiem. Pomyśl pan, jeśli młody człowiek w tych czasach, wieczorem, natychmiast, potrzebuje większej sumy! A poza tym znam tych młodych ludzi. Ich emocje są kosztowniejsze, niż były nasze, i pańskie również. Czego myśmy potrzebowali? Kobiet.

Dzisiejsza młodzież potrzebuje krwi. A to jest nie do zapłacenia.

— Pan to rozumie?

— Doskonale! Rozumiem, że śmierć tych ludzi pociąga, jak nas niegdyś pociągało życie. Boją się śmierci, jak myśmy niegdyś bali się życia, i tęsknią za nią, jak myśmy niegdyś za życiem tęsknili. Nie sądz pan, że to są tak zwane szkodliwe idee, które tych młodych ludzi porywają za sobą! Lęk i pragnienie ich gna, jak zwierzęta, idee są tylko pretekstem — były zawsze tylko pretekstem...

Głos jego stawał się coraz cichszy; jedną rękę trzymał Brandeis na brzegu stołu i bębnił po nim palcami, jak gdyby chciał koniecznie wydobyć ze stołu ton.

— Idee są pretekstom i zawsze się je znajduje. Otworzę drzwi, za którymi w nocy szczerka pies i — przepraszam za to porównanie — dam pańskiemu bratu pieniądze, ażeby się ratował. Dolega mi tylko, że mu tym nie wyrządzam przysługi, gdyż, widzi pan, pies ma dom i pana, i kształt psa. Podczas gdy ten młody

człowiek będzie stał przed samymi zamkniętymi drzwiami, a że ma ciało człowieka; nikt mu nie otworzy. Ludzie ci są bowiem bardzo nieszczęśliwi! Nie mają żadnych radości, tylko ideały. Ach, jak nieszczęśliwi są idealisci! —

Lecz mówmy o interesach! Ażebym się panu nie wydawał zanadto szlachetny, przyznam się panu, że tak łatwo daję pieniądze, tylko gdy kogoś potrzebuję. Potrzebuję pana! Jestem tu, jak panu wiadomo, obcy. Ludzie nie ufają mi. Sam wszystko robię, żeby w nich wzbudzić nieufność. A zatem bardzo prosty interes. Mam materiały. Doskonale, tanie, niestety, o jasnoniebieskim kolorze, jakiego się nie nosi. Można by czekać na odpowiednią modę, oczywiście. Ale czekać? Informowałem się. Można te materiały farbować, ale stają się przy farbowaniu twarde. Istnieje tylko jedna możliwość — użycie tych materiałów na uniformy!

Brandeis przerwał na chwilę. Czekał na aprobatę. Paweł milczał.

— Potrzebowałbym człowieka — ciągnął Brandeis dalej — który mógłby dostarczać ma-

teriały urzędom, żandarmerii, policji i celnikom.

— Postaram się — odrzekł Paweł.

— Pan sam będzie dostarczał — dodał Brandeis.

Zapiął płaszcz, którego przedtem nie zdjął, sięgnął po laskę opartą o krzesło, jak żywa istota, i wstał. Pawłowi zdawało się, że obcy był teraz większy, że urósł, siedząc tu. Spojrzenie Bernheima sięgało tylko do koniuszka brody olbrzymiego człowieka.

VIII

Teodor ulotnił się. Pobieźnie pożegnał się z matką, a bardzo gruntownie ze swoim pokojem. Był niezwykle bliski płaczu, gdy wyjmował swoje rzeczy z szuflady, gdy palił swoje papiery, wyrzucał naboje z pistoletów i razem z rapierami wpakował je do płóciennego futerału na parasole. Przerazało go życie na obcym dworze u węgierskiego towarzysza, na wsi, którą sobie wyobrażał brudną i barbarzyńską. Grozą

przejmowała go myśl o nieznanym aptekach, gdzie z pewnością niesumienni farmaceuci zamiast środków nasennych podawali inne lekarstwa, o niezdarnych optykach, którzy na pewno nie pojmą jego 2 i pół dioptrii i wreszcie o nędzy, o ubóstwie. Matka i Paweł pozwoliliby mu zginąć śmiercią głodową na obczyźnie. Gustaw, który był winien tej całej historii, był synem ubogiego chałupnika. Dla niego pobyt w majątku ziemskim węgierskiego magnata mógł być wypoczynkiem i przeżyciem. Teodor starannie zapakował swoje piżamy i swoje dwadzieścia cztery krawaty. Żałował, iż zażądał od Pawła tylko dwóch tysięcy dolarów. Powinien był zażądać czterech tysięcy. Każdej chwili mógł odezwać się umówiony gwizd Gustawa. Wierni zwyczajom ich związku, umówili gwizd nawet teraz, w godzinie odjazdu. Spi-skowcy powinni gwizdać.

Gustaw gwizdał, przeraźliwie, Teodor zamknął walizę i kazał ją portierowi zanieść tylko aż pod ogrodzenie. Ażeby go Gustaw nie wyśmiał i nie uważał za zdrajcę. Aż do wozu

czekającego u wylotu ulicy chciał sam walizę dźwigać. Gustaw czekał już w wozie. Teodor wzdychał. Gustaw nie ruszył się. Teodor spodziewał się, że Gustaw pomoże mu podnieść walizę na wóz.

— Tobie jest dobrze — rzekł Teodor. — Jesteś o wiele silniejszy ode mnie. — A jednak Gustaw nie zdradzał zamiaru ubolewania nad Teodorem. Teodor milczał rozgoryczony, aż do dworca.

Gdy przyjechał Paweł, pani Bernheim siedziała w jadalni nad robótką i płakała. Płacz jej przestał być następstwem pewnych wzruszeń, stał się, jak u wielu starzejących się kobiet, przyzwyczajeniem oczu. Łzy długo ściekały, zanim ona sama spostrzegła, że płacze. Ciekły jak deszcz polny, wytrwale i cienko, i łagodnie, i pocieszająco. Troski przemieniały się w wodę. Woda spływała z zaczerwienionych oczu, tymi samymi, starymi bruzdami, pomiędzy policzkami a nosem, a od kącików ust dwiema innymi bruzdami oddzielającymi szeroki podbródek od policzków. Potem łzy gubiły się w fał-

dach szyi i w wysokim kołnierzu czarnej sukni. Kołnierz wciąż jeszcze był napięty okrutnymi fiszbinami.

— Czego płaczesz, matko? — rzekł Paweł.

— Wcale nie płaczę — odrzekła pani Bernheim — tylko czasami jakoś tak przychodzi. — Po obiedzie siedzieli w jadalni trzy godziny, nie mówiąc do siebie ani słowa i marzli. Pani Bernheim owinęła nogi starym kocem podróżnym męża. Jej szydełka z kości dzwoniły jak na mrozie. Okna drgały pod wiatrem. Zimny, suchy wiatr dął z ogrodu i uderzał o dom.

— Powinnaś mieć jakieś towarzystwo, matko!

— Wiesz, o tym także już myślałam! Teraz Teodor odjechał i jego pokój jest próżny. Ma osobne wejście z podwórza.

— Cóż z tego?

— Nie wypada nam wywiesić kartki, ani ogłosić w gazecie. Prosiłam więc pana Merwiga, żeby rozejrzał się za jakąś panią z dobrego towarzystwa, która by coś zapłaciła. Musiałaby coś zapłacić. Moglibyśmy wtedy zatrzymać

służącą dla nas dwojga. W przeciwnym razie musiałabym ją odprawić. Mam dość powodów. Niedawno znikły mi pieniądze ze skarbonki dla ubogich; ona mogła je zabrać. Dlaczego nie? Służące są przez trzy lata uczciwe, potem nagle kradną. Ale dziś lepszej znaleźć nie można. Zatrzymałabym ją więc, gdybym mogła dostać parę marek. Merwig jest poczciwy, pilnie szuka. Jutro ma się zgłosić jakaś pani, żona wojskowego nadradcy rachunkowego; jej mąż był zajęty w ministerstwie wojny.

Pani nadradczyni Hammer wprowadziła się do pokoju Teodora.

Odtąd obie panie siedziały co wieczora w jadalni, marzły i robiły robótkę. Od czasu do czasu z nieufnością na siebie patrzyły i dalej szydełkowały. Gdy pani nadradczyni wchodziła do jadalni, mówiła pani Bernheim zawsze: „przepraszam na chwilę” i wychodziła na korytarz. Wchodziła do pokoju Teodora, ażeby „rzucić okiem”, gdyż spostrzegła, że jej lokatorka zapominała często zgasić światło. Ale wystrzegła się mówić o tym pani Hammer. Sprawia-

ło jej bowiem przyjemność zaglądać do pokoju i własnymi rękami oszczędzać pieniądze.

Obecność obcej pani razila Pawła. Może matka przesadzała. Ale istotnie nie byli już nawet zamożni. Musiał dom dwukrotnie już obciążyć hipotekami, o czym matka nie wiedziała. I żadnych widoków wzbogacenia się. Chyba na materiałach, które proponował Brandeis. Czy można było Brandeisowi ufać? Nie miał przesądów, ale czy ci ludzie ze Wschodu nie byli niesamowici? Nie musiało się zaraz wierzyć w mędrców Syjonu. Lecz czy nie wprowadzali ci ludzie ze Wschodu innych pojęć moralności, czy nie postępowali według jakiejś tajnej, wschodniej mądrości? Znali tajemnice, postępowali według pewnych tajemnic. Czy honor człowieka znaczył coś dla Brandeisa? Brandeis kpił sobie z kary więziennej. Lecz Paweł? Czy nie leżało przed nim całe życie?

Znowu był w nastroju, w którym byłby chętnie pomówił z doktorem Königiem. Opór Königa rozpałał jego ambicję. Zaprosił doktora Königa na kolację do Hesslera. Wytworne lokale!

Gdy Paweł wchodził do porządnego lokalu, nie wątpił o tym, że zrobi karierę. Wszystko dokoła potwierdzało jego nadzieje. Usłużność kelnerów i optymistyczny blask lamp, miękkie ręce gości i delikatna cera pań, a nawet żebrzący kalecy przed wejściem i marznący policjant, który ich rozpędzał i który wcale nie wyglądał jak funkcjonariusz państwowy, lecz jak pozostający na usługach gości. Nie występował w imieniu prawa, tylko na podstawie polecenia dyrektora, portiera, kapelmistrza i Pawła. Kto był bogaty, mógł go zawsze mieć na usługi, w dzień i w nocy: cały kodeks cywilny przed drzwiami. W tej restauracji rozpływały się wątpliwości, zwłaszcza gdy był przy tym zaproszony rewolucjonista; i z tego powodu podwójnie przekorny. Rzekłbyś, lekkość, z jaką tu wszyscy wydawali pieniądze, zapładniała Pawła lekkością zarabiania pieniędzy. Tam znowu kobieta się uśmiechała i przyjemną była myśl, że wciąż jeszcze można było zapłacić za noc. Tu znowu ofiarowała się panienka sprzedająca papierosy, i rozkoszną była myśl, że miało się dość

pieniędzy, żeby zapłacić za trzysta sześćdziesiąt nocy sprzedawczyni. Wkrótce będzie miał dość pieniędzy na żony fabrykantów farb. Oto siedzieli fabrykanci gazów trujących, i człowiek czuł się im prawie równy. Czy przeczuwali, że w porównaniu z nimi był żebrakiem? Nie! Nie przeczuwali tego. Nie był zresztą żebrakiem. Był tylko w drodze, jeszcze nie u mety.

Doktor König, jako opozycjonista, nie założył smokingu, lecz czarne ubranie. Jak gdyby czarne ubranie było prowokacją ustroju kapitalistycznego. Nie wiedział, że dzięki niemu najbardziej angielski ze wszystkich smokingów mógł się wybić i że Paweł byłby się zmartwił, gdyby on również był przyszedł w smokingu. Po trzeciej szklance wina w doktorze Königu wybuchła rewolucja, wobec której rosyjska była dziecinną zabawą. Doktor König widział się u szczytu potęgi; zastanawiał się nad tym, jak mógłby protegować biednego, wywłaszczonego, do zamiatacza ulic zdegradowanego Pawła Bernheima bez naruszenia swego sumienia. Z odległości kilku mil przysłuchiwał się wywo-

dom Pawła. „Gadaj sobie!” — myślał König; podczas gdy Paweł zakochany w swoim smokingu, w swoich rękach, w swoim głosie, opowiadał cuda o giełdzie. „To jest moja dziedzina — mówił — czuję się tam, jak pan na zgromadzeniach ludowych. Lubię to nieludzkie mrowisko, głosy owadów, a nie ludzi. Czarną tablicę, szybką gąbkę, która wszystko maże, i szybszą jeszcze kredeę, piszącą wciąż nowe cyfry. Tak, tak; lubię to: podchodzić do telefonu i drzeć oto, by szybko doszło do porozumienia z sekretarzem. Telefonuję, szybko wracam, a nowe cyfry przyznają mi rację. Nosa trzeba mieć! Szybka rozmowa z bankiem, a następnie przed kolacją odetchnąć i pożerać w otwartym aucie ulice osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. To jest życie!”

— Powiedz mi pan lepiej — zaczął doktor König, przypuszczając że Paweł Bernheim jest już pod działaniem alkoholu i spodziewając się, że od niego „rzeczywiście” czegoś się dowie — co pan sądzi o Zagłębiu Ruhry?

— Na podstawie własnych doświadczeń — oświadczył Bernheim, nie chcąc rewolucjonisty rozczarować — i po tym wszystkim, co sły-
szałem od moich przyjaciół, jest to głupota z obu
stron. Francja niedobrze na tym wychodzi, a i nam
źle się powodzi. Co pan chce? Dopóki głu-
pi politycy à la 1900 nie oddadzą swych in-
teresów ekonomistom, w Europie będzie źle.
W tym, zdaje się, będziemy zgodni; że „go-
spodarka rządzi polityką”.

I żeby również wykazać znajomość między-
narodowego życia poza obrębem kontynentu,
dodał:

— W Anglii wiedzą o tym od dawna.

— Pan przecież dobrze zna Anglię! — za-
uważył dr. König, ażeby być uprzejmym.

Paweł wypił już szóstą szklanekę, nie zawa-
hał się więc powiedzieć:

— Moja druga ojczyzna. Pan wie, że głów-
ną część mego wychowania zawdzięczam Kole-
gium w Oxfordzie. Piękny to był czas, wojna go
przerwała. — Paweł istotnie zapomniał o tym,
że wrócił przed wojną. — Chciałbym tam jesz-

cze wrócić, zanim będzie za późno. Czy pan mi uwierzy, kochany doktorze, pan mnie przecież zna, pan zna moje kulturalne zainteresowanie, a jednak z niczego nie jestem tak dumny, jak z dwóch nagród za wiosłowanie, które otrzymałem w Oxfordzie. Pokażę panu te puchary, gdy pan znowu kiedyś do mnie wpadnie.

Ze wszystkich ceremonii restauracyjnych, płacenie było Pawłowi najmilsze. Lubił dyskretny znak, który dawał kelnerowi i złożoną kartkę, którą kelner kładł na stół, jak tajemnicę. Niekiedy uważał za wytworne kontrolować rachunek. Innym razem zadowalał się lekkim rzutem oka na kwotę. Głębiej ukłonu za krzesłem wyczuwał stosem pacierzowym. Nie odpowiadał na ukłon, w przeciwieństwie do doktora Königa, który jako człowiek pochodzący z ludu, wszystkim mówił dobranoc, poufale i ze świadomością klasową.

Lecz na dworze, gdy zimno zwróciło mu trzeźwość, opanował Bernheima strach przed słowami wypowiedzianymi wewnątrz. Milcząco trzymał się doktora Königa. Zaproponował

jeszcze wizytę w klubie karcianym. Usiłował jeszcze żartować ze ściśniętym sercem; udawać jeszcze miłego, wesołego, beztroskiego, światowego kompana. Ale już rozważał: w końcu wpadnę przecież z tym przeklętym Brandeisem. Trzeba mieć pieniądze, trzeba być bogatym, może wygram.

Tak jest, poważnie wierzył, że pewnego dnia w klubie wygra. Gdy skinął na bladego, chudego i sinego z zimna dozorcę, odżyła w nim ochota do życia. Widok tego nędznego człowieka odświeżał. Po wąskim futrzanym kołnierzu, którego włosy wypadły, pozostawiając żółte, nagie, twarde, skórzane blizny; po cienkich nogach w przykrótkich spodniach, po butach, które z zimna uderzały o siebie z szybkością szczękających zębów, oceniał Paweł wysoki poziom własnej sytuacji. Słyszał cichy zgrzyt drzwi, prowadzących do tajemniczych sieni, jak zew przyszłości, a romantyczną latarnię portiera uważał za symboliczne światło — w takim znaczeniu tego starego zwrotu. Rozumowi, który chciał odsłonić śmieszność całej ma-

skarady, rozkazał milczeć. Szedł na spotkanie szczęścia. Nie chciał, by go budzono.

Lecz na górze, w salach gry, gdzie dym zasnuwał ściany, sufity i lampy, a gdzie zapach rodzinnego mieszczańskiego życia, jakie w ciągu dnia wiódł właściciel mieszkania, nie zgadzał się z występkami nocy, stracił Bernheim odwagę do gry. Nie, karty nie miały nad nim władzy, były mu przychylnie, lecz w miarę; utrzymywały umiarkowany, dystansowany stosunek. Chociaż znał wszystkie sale, zapominał za każdym razem jak wyglądały. Dopóki znajdował się na ulicy, spodziewał się, że może od wczoraj cudem się zmieniły. Z jaką namiętnością mógłby grać, gdyby przy stołach zamiast biednych statystów filmowych, recytatorów, recenzentów i innych przypadkowych egzystencji, siedzieli tylko bogaci panowie, jak w Anglii. Tu napadali go przy wejściu przyjaciele, prosząc o pożyczki. Od dawna już posiadał zdolność zatajania szczerym głosem wysokości swojej gotówki i udawania bezsilnego z tego powodu zakłopotania. Wierzono mu. Lecz nie mógł już

potem stawiać dużych sum — a co w ten sposób wygrywał, darował wszystkim dokoła. Rażyły go oleodruki na ścianie, bibelociki w szklanych szafkach, fałszywe dywany perskie i pokrowce na poręczach krzesel. Wszystkie te przedmioty zdradzały małomieszczański kurz w mieszkaniu, poczciwy zawód gospodarza i przerebione suknie jego żony. Niekiedy można było przypadkowo natknąć się na zamknięte drzwi, ukryte za portierą, za którymi chrapał jakiś członek rodziny. Syn gospodarza czekał w sieni na obławę policji, a siostra przygotowywała w kuchni czarną kawę. Ziewający kelner, któremu nogi się trzęsły, uwijał się w upiornym fraku pomiędzy stołami. Wśród takich okoliczności trudno było prowokować szczęście.

Lecz Paweł regularnie po północy szedł do klubu.

Samotność w jego mieszkaniu była nie do zniesienia. Od wielu miesięcy pragnął odmiany. W ciągłym oczekiwaniu dostania się przy okazji w ręce policji nie nosił przy sobie papierów, które mogłyby potwierdzić jego tożsa-

mość. Policja przyszła. W towarzystwie innych gości został wpakowany do ciężarowego auta i został do rana na policji. Jedną noc wyrwał samotności! Widział jak szary poranek zalewa biuro, stary kurz na zielonej tekturze kartoteki, sparszywiałe, spocone i popękane mury, żółtą plamę świetlną nocnej lampy, która według rozporządzenia mogła palić się do ósmej godziny. Potem szedł przez rozrzucone pokoje dużego domu. Zatrzymał się przed skrzynką z fotografiami nieznanymi zwłok. Widział martwe twarze, zniekształcone okropnie ranami, pogruchotane czaszki, rozdarte wargi, odsłonięte szczęki, oderwane powieki, muszle uszu nadgryzione przez szczury wodne. Tyle ludzi zniknęło więc ze świata i nikt ich nie znał.

— Nieprawdaż, piękny album rodzinny! — odezwał się nagle głos za nim. Był to Nikołaj Brandeis.

— Pana też aresztowano? — zapytał Paweł.

— Ja tu przyszedłem dobrowolnie, chociaż nie całkiem dobrowolnie — rzekł Brandeis. — My często tu mamy do czynienia. Zapewniam

pana, to nie jest przyjemne. Lecz mam ten zwyczaj, obejrzeć sobie wpierw zdjęcia nieznanymi nieboszczyków, zanim wchodzę do biura policji. To mnie pociesza, wie pan. Dodaje mi trochę otuchy. Czy przypuszczał pan, że umiera tylu ludzi, po których nawet kogut nie pieje? Na tej podstawie może pan obliczyć, ilu takich żyje i jeszcze nie umarło. Tak zataczają się wzdłuż szerokich gościńców, a za nimi śmierć... No, ale teraz czuję przyływ energii. Chce mi pan towarzyszyć do tamtego biura? Staram się o wizę. — Brandeis musiał mieć wizę, żeby dostać się do Łotwy, gdzie miał przyjaciół zawodowych. Należał do uciekinierów bez papierów i miał tymczasowy paszport bezpaństwowych. Podróże jego nie były więc łatwe.

— Jeśli mnie pan podprowadzi, zobaczy pan — rzekł Brandeis — jak mało się różni od tamtych zmarłych. Chodź pan.

Urzędnik siedział za drewnianą barierą i był — jak urzędnicy policyjni całego świata — miłośnikiem za silnie ogrzanych pokojów. Miał dział zagraniczny, nienawidził więc cudzoziem-

ców. Gdy Brandeis rzekł „dzień dobry”, zapytał urzędnik:

— Czego pan chce?

— Powiedzieć panu dzień dobry — odpowiedział Brandeis. — Poza tym wizę wyjazdową i wjazdową.

— Pan nie ma zezwolenia na pobyt!

— Wniosłem prośbę. Nie jest jeszcze załatwiona.

— W takim razie może pan wyjechać, ale nie wrócić.

— A jednak wrócę! — odrzekł Brandeis. Zdanie to wypowiedział szeptem, jak gdyby było tajemnicą.

Jest to właściwość urzędników, że oglądają swoich klientów dopiero po trzecim lub czwartym zdaniu, jak gdyby wychodzili z założenia, że wszyscy obcy ludzie jednakowo wyglądają i że wystarczy znać jednego z nich, ażeby sobie resztę wyobrazić. Policjant teraz dopiero spojrzał na Brandeisa. Widział jego potężną postać i ciężki płaszcz z podniesionym kołnierzem. Wstał, jak gdyby chciał w ten spo-

sób pomniejszyć różnicę wzrostu pomiędzy sobą a obcym. Chciał coś powiedzieć. Brandeis zaczął nagle głośno mówić:

— Pan nazywa się Kampe, prawda? Za trzy godziny znowu u pana będę. — Wskazał laską na zegar ścienny. — Do widzenia.

— Widzi pan, za trzy godziny będę mieć wizę. — rzekł do Bernheima. — A to tylko dlatego, że wiedziałem, jak się nazywa, czego łatwo można się dowiedzieć. Prawdopodobnie niczego złego nie zrobił. Ponieważ jednak znam jego nazwisko, obawia się, że wiem coś o nim. Każdy człowiek ma grzechy.

— A jeżeli pan jednak wizy nie dostanie? — zapytał Bernheim.

Brandeis wyjął z kieszeni duński paszport.

— To pojedę z tym.

— Fałszywy?

— Jak kto chce — odrzekł Brandeis. — Co na tym świecie jest prawdziwe? Czy zastanawiał się pan nad tymi materiałami?

— A, tak, pieniądze, panie Brandeis...

— Nie pieniądze — przerwał Brandeis — materiały! — Podniósł laskę ku niebu; uklonił się i zostawił Bernheima.

Nieprzespana noc, oglądane obrazy, rozmowa z Brandeisem na policji, przypomnienie interesu, pieniędzy, Teodora: wszystko to zmieszało Pawła Bernheima. Im potężniejszym wydawał mu się Brandeis, tym słabszym widział siebie samego. Plac leżał w bieli śniegu, który spadł w nocy i którego ruch dzienny jeszcze nie unicestwił. Handlarze uliczni krzyczeli, pociągi miejskie dudniły, wozy ciężarowe turkotały. Po raz pierwszy znajdował się Paweł Bernheim o tak wczesnej godzinie w tej dzielnicy. Znał ją tylko z miękkich, popołudniowych godzin w zimie; złote światła domów towarowych, sklepów, kolei podziemnej. Teraz plac był łatwy do ogarnięcia wzrokiem, dzieło bezwzględnego przypadku. Mimo białego śniegu przeczuwało się cień dużego, ciemnoczerwonego gmachu policji. A dom towarowy, wieczorem, dzięki oświetleniu, tak bliski, daleki był teraz pośród jednostajnej bieli domów. Istniał

jakiś związek między tym placem a fotografiami nieznanych zmarłych na policji. Jak gdyby kolej podziemna w tym miejscu nie była środkiem komunikacji, lecz podziemnym, ciepłym, bezpiecznym schroniskiem, zbiegł szybko schodami w dół. Po raz pierwszy od długiego czasu jechał w towarzystwie wielu ludzi koleją. Zdawało mu się, że w każdej obcej twarzy widzi rysy martwych fizjonomii. W domu położył się spać.

Zwykle budzące się strachy dnia płoszyły sen, a sztucznie zaimprovizowana noc przynosiła budzącemu się Bernheimowi zmieniony, a nawet inny dzień. Dziś przebiegłość, przy pomocy której Paweł oszukiwał zmoreę nieszczęścia, była nadaremna. Gdy się obudził, leżał już jeden z owych grubych listów matki, które zawsze zawierały coś nieprzyjemnego. Od kiedy bowiem pani Bernheim oszczędzała również na opłacie pocztowej, pisywała tylko z okazji fatalnych wypadków; wtedy zaś bardzo obszernie,

żeby wykorzystać wartość marki²⁶ i cały rozmiar papieru listowego.

Matka przesyłała list Teodora. Potrzebował pieniędzy. Gdyby Paweł był miał lepszą pamięć, podobieństwo pomiędzy stylem Teodora a jego własnym z czasów oxfordzkich nie byłoby uszło jego uwagi. „Kochana matko! — pisał Teodor. — Potrzebuję koniecznie pieniędzy. Życie zdrowe, świeże powietrze, obce nazwisko. Kolosalna gościnność! — Myślę często o Tobie i Pawle, lecz nie mam czasu do wymiany myśli. Potrzebuję pilnie *monnaie*²⁷. O ile możliwe, telegraficznie. Poczta tu leniwa. Całusy: Twój syn Teodor”.

Do tego załączyła pani Bernheim wzruszony list. Im dłużej Teodor przebywał na obczyźnie, im rzadziej — ostrożną, okreźną drogą — dostawała od niego jakiś znak życia, tym wydawał jej się szlachetniejszym, biedniejszym, bardziej potrzebującym pomocy. Tak jest, ona, patrząca z grozą podczas jego bytności w domu na

²⁶*marka* (tu daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

²⁷*monnaie* (fr.) — moneta; tu: pieniądze. [przypis edytorski]

jego przyjaciół, na jego tajemnicze wycieczki i podróże, jego broszury i pisma, zaczęła teraz nienawidzić „rząd”; jak osobistego wroga, i „Żydów” czynić odpowiedzialnymi za „nieszczęście” Teodora — tak bowiem nazywała jego ucieczkę. „Cierpi za politykę!” Próżność matczyzna podsunęła jej pewnego dnia tę formułkę. Niemniej jednak, gdy Paweł odpowiedział matce, że nie może posłać pieniędzy, ponieważ już dla Teodora obarczył się wielkim długiem i że byłoby lepiej po prostu co pierwszego posyłać Teodorowi do Węgier komorne za jego pokój, odpisała pani Bernheim oburzona, że nie myśli dla swych dzieci ponosić dalszych ofiar. „Ofiarowałam wam moją całą młodość” — pisała. Wierzyła rzeczywiście czasami, że bez swych synów byłaby się starzała o wiele wolniej. Krew nie jest wodą, pisała dalej i jeden brat powinien pomagać drugiemu.

Tymczasem zbierała pieniądze na stare lata. Miała pełną walizę banknotów, których wartość bezustannie malała. Ona jednak wierzyła niewzruszenie w ich ważność. Wszystkie pró-

by Pawła i Merwiga były daremne. Ponieważ raz miała rację w sprawie pożyczki wojennej, wierzyła w swój „finansowy instynkt”, jak się wyrażała. Ilekroć Paweł przyjeżdżał do domu, prosiła go o parę banknotów. „Za to możesz sobie akurat kupić gazetę!” — mówił Paweł. Szła do walizy i kładła wygładzone starannie papiery do innych.

Pewnego dnia obudził się Paweł z odważnym postanowieniem zrobienia interesu z Brandeisem. Zadzzwonił do niego. Powiedziano mu, że Brandeis wyjechał. Wróci za tydzień. Paweł czekał. Ażeby nie stracić odwagi, powtarzał sobie codziennie: muszę się wzbogacić. Wreszcie Brandeis wrócił. Spotkali się:

— Co do pieniędzy — zaczął Brandeis — ma pan czas, panie Bernheim!

— Nie — rzekł Paweł — przychodzę w sprawie materiałów.

— Za późno. Sprzedałem je — rzekł Brandeis. — Przyzna pan, że mówiłem z panem jeszcze raz przed moim wyjazdem.

— Tak, pobieżnie, ledwie pan coś wspomniał.

— Nie chciałem wydawać się natrętnym, panie Bernheim. Cecha, którą przypisują ludziom mego pokroju.

Siedzieli w cukierni. Brandeis patrzył na ściany, podobne do narośli, do choroby murów, jakby guzów w formie graniastosłupów, i na głęboko zawoalowane lampy stojące w niszach, w których spoczywały nagie, ośmiościenne nimfy na modłę nowoczesnej architektury wnętrza. „Tak oto buduje się dziś!” — rzekł. Zdawało się, że zapomniał o interesie Pawła.

Bernheim znowu chciał o tym mówić.

— Nie mówmy o starej sprawie — rzekł Brandeis. — Nie biorę panu tego za złe. Może pan miał rację. Ja w każdym razie nie widziałem dziś jeszcze pieniędzy. Obawiam się, że będę musiał znowu wsiąść do pociągu. I znowu wziąć wizę —

Gdy wyszły pisma wieczorne, zauważył Bernheim, iż Brandeis nie interesował się kursem walut.

— Pan się dziwi? — rzekł Brandeis. —
Wszystko wczoraj sprzedałem.

— I?

— Kupiłem dolary. — Nim się rozeszli,
rzekł:

— Sprzedaj pan, panie Bernheim.

Lecz Bernheim nie sprzedał.

CZEŚĆ DRUGA

IX

Dla Feliksa Bertaux

Wiosna w tym roku przyszła nagle.

W pokojach leżało jeszcze zimno i wilgotny mrok zimowych dni. Pootwierano okna. Domy przypominały wietrzne grobowce, a ludzie stojący w oknach – żółte, uprzejme trupy. Melodie zmartwychwstałych katarynek, ciągnących nagle gromadnie od podwórza do podwórza, jak gdyby wracały z południa razem z ptakami, potęgowały ochotę do życia nawet u sceptyków. Coraz częściej odbywały się demonstracje uliczne radykałów. Ideologie rozwijały się i w łagodnym świetle młodego słońca, i pod zapładniającym wiosennym deszczem miękkich, lekko zasnutych nocy.

W pewne niedzielne przedpołudnie owej pory wiosennej kroczył wzdłuż Kurfürstendammu, pomiędzy w miarę rozweselonymi spacerowiczami, wysoki, niezwykle barczysty i powolny mężczyzna. Brandeis wciąż jeszcze miał płaszcz na sobie i podniesiony kołnierz. Niektórzy odwracali się za nim. Zdawał się nie interesować nikim. Przewyższał prawie wszystkich wzrostem. Jego skośne oczy były skierowane na domy, na szyldy, wystawy sklepowe, na drzewa wzdłuż chodników, powozy i zamknięte z powodu niedzieli kioski, podobne do zbezczeszczonych kaplic, w których nie wolno było odprawiać nabożeństw. Mongolski krój jego twarzy i ciemny kolor jego skóry byłyby dostatecznym powodem dla mieszkańców środkowej Europy, by przydzielić go do działu „Daleki Wschód”, pomiędzy posągi Buddy, gejsze i palaczy opium. Ponieważ inflacja się skończyła i wróciła świadomość wartości posiadanych pieniędzy, patriotyzm oraz świadomość własnej godności, odnosili się do obcego raczej z nieufnością niż z podziwem.

Przechadzano się pod słońcem wolnym krokiem, w wiosennych strojach.

Nagle rozległ się nieokreślony szmer. Zaczął się na dalekim rogu ulicznym, jak wiatr zapowiadający burzę. Kilka osób zaczęło biec. Inni przystanęli i zastanawiali się, jak by się skryć w bezpieczne miejsce, nie narażając na szwank swej godności. Tymczasem wrzawa stawała się bardziej wyraźna. Można było rozróżnić stugłosy śpiew płynący z męskich krtani. Słysząc było stukrotny stukot podkutych gwoździami butów wojskowych o asfalt. Wreszcie ponad śpiewem i głuchym metalowym dudnieniem maszerujących nóg, cienkie i jakby błagalne tony fletów, muzykę bezcielesnych, abstrakcyjnych piszczałek, z których płynął jeden z popularnych marszów wojskowych. I oto ukazały się źródła tej wrzawy: duże, powiewające chorągwie, paru cyklistów, którzy na czele pochodu posuwali się wolno naprzód, a za nimi pierwsze szeregi maszerujących. Mężczyźni z wąsami, przywodzącymi na myśl średni stan i błogosławieństwo dzieci, z martwymi, otwartymi

oczami, w których gniew, duma i uczciwość zabiły zdolność patrzenia, wymachujący rękami, przypominającymi próżne rękawy i z laseczkami, zwisającymi przy boku na skórzanym pasach, jakby zaznaczając, że nie mają zamiaru być zwykłymi spacerowymi laskami. Znajdowały się w stadium rozwoju pomiędzy pałką gumową a szablą.

Większa część spacerowiczów ulotniła się w bocznych ulicach. Ze wszystkich domów dochodził metalowy trzask zamykanych okien. Słońce ogrzewało nagie, zakurzone kamienie. Boczny i równoległy ulicami śpieszyli spacerowicze do domów leżących w kierunku Grunewaldu. Nieregularnym krokiem ich śpieszących się nóg odpowiadał nieubłagany, gwoździami regulowany marsz butów na głównej ulicy. Śpiew unosił się ponad wierzchołkami drzew. Upiorne tony fletów wciskały się pomiędzy bijące dzwony południowe, które właśnie rozhuśtały się, jak gdyby chciały powiększyć jeszcze zamieszanie, obwieścić karę bożą,

koniec świata i przemarsz niszczycieli. Była prawdziwa niedziela. Jedna z owych niedziel, unoszących się niekiedy nad niemieckimi miastami: uroczysta, groźna i pełna namysłu.

Wśród małej garstki osób, które się zatrzymały, żeby przyjrzeć się maszerującym, znajdował się Brandeis. Stał obok jednego z rzadkich pisuarów, których jak wiadomo w Berlinie jest mniej niż bibliotek. Uśmiechał się wciąż jeszcze. Czasami można było mniemać, że nie stoi po to, by zadowolić własną potrzebę patrzenia, lecz także potrzebę innych. Jak gdyby miał obowiązek demonstrować maszerującym i biegnącym, jak się powinno stać, martwym oczom, jak należy patrzeć, wzburzonym, jak zachować spokój, rozpolitykowanym, jak należy myśleć, idealistom, jak należy badać. Ba, jak bardzo dziwnym się wydawał i oddalonym od europejskiej normy, i chociaż nosił płaszcz i nie czuł słońca, istniał jednak związek między nim a nadziei pełnymi wierzchołkami drzew i łagodnym powiewem wiosny. Pomiedzy maszerującymi a tym wiosennym dniem nie ist-

niał ten związek. I aczkolwiek poznać było po nich, że maszerują prosto do lasu, to jednak wyglądali raczej, jak gdyby maszerowali przeciw niemu.

Mimo, że matka przyszła do jego żydowskiego ojca z domu ewangelickiego księdza, przynosząc ze sobą niemiecką biblię, mandolinę i abonament na pismo familijne, Nikołaj Brandeis nie czuł się w Niemczech swojsko. Zdawało mu się nawet, że mała kolonia niemiecka na Ukrainie bardziej była niemiecka niż ten kraj, skąd wieczni wędrowcy zabierają ze sobą rodzimość, a dokąd wieczni przybysze przynoszą ze sobą obcość. Wszystkie roczniki pisma, które abonowała matka, dawały fałszywy obraz Niemiec. Pismo to przedstawiało kraj tak, jak może wyglądał w czasie emigracji kolonistów. W domu — przypominał sobie Brandeis — mimo swych rysów, odziedziczonych po ojcu, czuł się dobrze wśród szwabskich twarzy, towarzyszy młodości. Tu, gdzie twarze ludzi nie zdradzały określonej rasy (Brandeis nazywał ich „brukowymi Słowianami”) czuł się

obco. Jedynie nieśmiałe przedwiośnie przypominało mu trwożliwą, oszczędną dobroć stron rodzinnych.

Myślał o swej młodości. Przypominał sobie ojca, którego wcześniej stracił i który prawdopodobnie był nieśmiałym miłośnikiem świata, równie jak on sam. Ojciec jego chciał przejść na prawosławie, żeby uniknąć ograniczeń, którym podlegali w starej Rosji Żydzi. Ponieważ wychrzczeni Żydzi musieli również podać poprzednie wyznanie, chciał wpierw przejść na ewangelizm, a potem dopiero na prawosławie. Człowiek, który zamierza przedsięwziąć tak praktyczne interesy z Bogiem i państwem, również może ulec słabości, o jakie nie podejrzewa się ludzi tego typu. Starego Brandeisa, który przyszedł do ewangelickiego księdza, żeby go zmylić, dosięgła kara boża, zanim jeszcze mógł wykonać swój zamiar: zakochał się w córce księdza. Może chciał ją tylko uwieść i według starego zwyczaju nie ożenić się z nią. Wszelako omylił się w ocenie cnoty córek pastorów.

Ożenił się więc. Pozostał w kolonii. Nie przeszedł na prawosławie. Wyrzekł się swoich wielkich planów. Został małym kupcem, posiadającym kawałek ziemi, łagodną żonę i duchownego za teścia. Po roku przyszedł na świat Nikołaj, który właściwie nazywał się Fryderyk Teodor Emmanuel Nikołaj. Ojciec dodał rosyjskie imię w nadziei, że chłopak może w Rosji dojść do czegoś, przy czym Nikołaj mógł okazać się pożytecznym imieniem. Stary Brandeis nie przestał myśleć praktycznie, jak jego dawni współwyznawcy. Umarł nagle, na tyfus, grasujący w okolicy. Lecz zostawił dość pieniędzy na studia syna.

Studia Nikołaja przerwała rosyjsko-japońska wojna, z której wrócił jako oficer 106. pułku piechoty. Nosił się z zamiarem aktywowania się. Nigdy nie widziano go na uniwersytecie w towarzystwie egzaltowanych studentów. Nigdy nie mógł pojąć ich ideałów. Nie troszczył się o konserwatystów, ani o liberałów, ani o rewolucjonistów. Jak gdyby nie był Rosjaninem. Od najwcześniejszej młodości był mało-

mówny i z nieufnością odnosił się do wszelkiej gadatliwości. Pomiedzy wszystkimi instytucjami Rosji, armia wydawała mu się najpewniejsza. I tu uprawiano politykę. Lecz dyscyplina miała, jego zdaniem, zdolność tłumienia tak zwanych przekonań, w decydującym momencie. Miało się tu do czynienia z banalnymi faktami, lecz z faktami. Ćwiczenia z karabinem, place ćwiczeń, rekruci i koszary, portrety cara, orderzy, dystynkcje — były proste i jasne jak słońce. Iść do urzędu, znaczyło: szukać protekcji, brać udział w intrygach i w dodatku politykować. Do kupiectwa brakowało mu potrzebnych kapitałów. Studiował matematykę. Mniemał, że uzdolniony jest do służby technicznej. Lecz jego matka, która tymczasem zestarzała się; która odziedziczyła po ojcu trochę pieniędzy i uprawiała parę wąskich spłachetków ziemi, zaklinała go, żeby pojechał do Niemiec na studia.

Obawiała się nowych wojen. W swojej naiwności myślała, że Rosja ścierpi klęskę tylko

przez pół roku i że zacznie nową wyprawę odwetową przeciw Japonii. Nikolaïj poszedł za jej radą. Studiował na kilku niemieckich uniwersytetach, przerzucił się z matematyki na ekonomię społeczną, nudził się; czuł się samotny; wracał do matki; pomagał jej w domu i po prostu z obojętności został w końcu nauczycielem szkoły wiejskiej w Helenental.

Żył spokojny i zdrowy, pił i jadł regularnie, nie troszczył się o kobiety, wyjechał na dwa tygodnie na Krym, wrócił szybko, ze względu na pole; czytał wiele, kochał dzieci, gromadził psy i tu i ówdzie grywał z lepszymi urzędnikami w karty. W roku 1913 umarła jego matka. W rok później wyruszył po raz drugi na wojnę. W roku 1917 został kapitanem. Gdy wybuchła pierwsza rewolucja, stanął po stronie rewolucjonistów. Walczył przeciwko bolszewikom, dostał się do niewoli i przyjął u nich służbę. Postanowił za wszelką cenę zostać żołnierzem. Wśród ogólnego zamieszania, którym nie chciał się przejmować, postanowienie to było

czymś pewnym, i prowadziło do czegoś stosunkowo pewnego.

Lecz i ta rachuba zawiodła. Pewnego dnia wydarzył się jeden z owych epizodów, który dla rosyjskiej wojny domowej był równie charakterystyczny, jak bez znaczenia, który jednakoż życie, przekonania i postanowienia pojedynczych ludzi mógł pchnąć na nowe tory. Nikołaj Brandeis doświadczył tego, że człowiek w ciągu jednej godziny — która nie wydaje mu się ważna — w stanie jest tak gruntownie zmienić to, co nazywa się jego „charakterem”, że musiałby stanąć przed lustrem, aby się przekonać, że jego fizjonomia została taka sama. Od owej przemiany, którą sam przeżył, zwykł był Brandeis utrzymywać, że ludzie nie rozwijają się, lecz zmieniają swoją istotę.

Myślał o pewnym obłąkanym z jego rodzinnej wsi, który niezmordowanie wszystkim ludziom zadawał stereotypowe pytanie: „Wiele jesteś? Czy jesteś jednym?” Nie, nie był jednym. Był dwukrotny, dziesięciokrotny, stokrot-

ny. Im więcej sposobności życie dawało, tym więcej istot z nas wydobywa.

Nie jeden umarł, bo niczego nie przeżył i przez całe życie był tylko „jednym”.

Wróćmy do owego wydarzenia: Brandeis, który walczył na Ukrainie, przybył pewnego dnia w swoje rodzinne strony i objął dowództwo nad kilku obok siebie leżącymi niemieckimi koloniami, które dobrze znał. Stosownie do głupiego, przypadkowego i przez patologicznych urzędników wymyślonego zarządzenia, Nikołaj miał pomiędzy mieszkańcami kolonii przeprowadzić bezpośredni podział ruchomości i nieruchomości. Kolonie niemieckie były jedynymi wsiami w Rosji, które nie mogły pojąć tej tak prymitywnej i rosyjskiemu wieśniakowi tak łatwo zrozumiałej idei podziału dóbr. Nikołaj Brandeis sam nie miał własnego zdania co do pożyteczności tej idei. Lecz wierny swojemu postanowieniu, nie chciał być niczym więcej, jak żołnierzem, i używać wygod postuszeństwa; jak na przykład wakacji. Zaczął — ku rozgoryczeniu mieszkańców, nie mogą-

cych mu ponadto przebaczyć, że go tak dobrze znali — po prostu, jak mu polecono, zabierać ze stajen bogatych chłopów krowy stanowiące nadwyżkę i oddawać je uboższym. Zwołał mieszkańców i objaśnił im, że taki jest sens nowych czasów i taka wola rządu. Ludzie przysłuchiwali się milcząco. Wyjechał do następnej wsi, aby i tam zrealizować nowe przepisy. Potem do trzeciej. Gdy jednak wrócił z powrotem do pierwszej, okazało się, że ubodzy chłopci zwrócili bogatym dobrowolnie bydło. Znowu stajnie biednych stały próżne. Nie chcieli zatrzymać tego, co nazywali „obcym dobrem”.

Nikołaj Brandeis doniósł o tym fakcie, otrzymał naganę i rozkaz nawracania ludzi przemocą. Groził im więzieniem i zesłaniem. Lecz to nie pomogło. Jeden z komisarzy aresztował pastora, człowieka, którego Brandeis znał dobrze z dawnych lat. Brandeis prosił o zwolnienie starego. Skazali pastora na śmierć. Brandeis wykonał egzekucję. W obecności całej wsi dał rozkaz: „ognia!”.

Ledwie przebrzmiał huk wystrzałów, gdy po raz pierwszy do serca Brandeisa wkradł się niepokój. Dotychczas spełniał jeszcze swoje czynności z obojętnością zawodowego żołnierza. Teraz jednak, gdy martwe ciało pastora, który umarł klęcząc, zsunęło się na ziemię pod murem, pod murem pomalowanym niebieskim wapnem, gdzie Nikołaj tak często jako chłopak przesiadywał; gdy ciemnoczerwona kałuża krwi nieśmiało się powiększała, tworząc kilka strumyków na pochyłej powierzchni, w ściekach, pomiędzy kamieniami: w tej minucie zaszła w Brandeisie przemiana. Zdjął czapkę, na oczach całej ludności, i ukłonem oddał zmarłemu cześć. Następnie kazał zwłoki pogrzebać na cmentarzu. Po czym udał się do komisarza i zawiadomił go, że musi opuścić Armię Czerwoną. Ten wyśmiał go. Poradził mu sprawdzić po dwóch dniach, czy chłopci nie będą nawróceni. I jedynie w nadziei, że tego *nie* uczynią, Nikołaj Brandeis pozostał.

Został — i zobaczył, że komisarz miał rację. Nie było już mowy o „obcej własności”.

Zdawało się, że wszystkie pojęcia nagle runęły. Bogaci chłopci stali się unżeni, a biedni wyzywający. Pastorowie z pobliskich wsi kazali o konieczności podziału dóbr. Lecz te zmiany nie uspokoiły Brandeisa i jeszcze bardziej go zmieszaly. Pewnego dnia dostał obłądu. Opanowała go myśl, że niedaleko musi być brzeg świata, owo miejsce, skąd musi się spaść w przepaść wiecznych nocy. Wyraźnie widział ziemię, jak tarczę opartą na łodydze, coś jakby płaski grzyb z zębatym brzegiem. Chciał dotrzeć do tego brzegu. Dosiadł konia. Pogalopował na południe. W dziwny sposób — sam nie mógł sobie tych dni przypomnieć — znalazł się nad morzem. Dostał się do Konstantynopola. I tu dopiero wrócił do przytomności.

Lecz nie! Nie był to jego dawny rozsądek. Był to całkiem inny Brandeis, który z systematycznym zapalem zebrał po domach i na ulicy, który pijanemu sąsiadowi w małym, przepelnionym hotelu (dziesięciu gości spało w jednym pokoju) ukradł papiery, i jako niemy Macedończyk, nie rozumiejący słowa po grecku

czy po bułgarsku, wsiadł na okręt; który jako palacz odbył podróż i wśród różnych przygód, jadąc na gapę, poprzez Bałkany, Węgry i Austrię przybył do Niemiec, gdzie wspierały go komitety charytatywne. W komitetach uchodził, zależnie od kaprysu, za kupca, pułkownika lub generała. Był to zupełnie nowy Brandeis. „Wiele jesteś? Czy jesteś jednym?” — pytał. „Jestem dziesięciokrotny! Byłem nauczycielem, studentem, chłopem, sługą cara; mordercą; zdrajcą. Zaznałem sytości, pokoju, głodu; wojny; tyfusu; nędzy; nocy i dnia, mrozu i upału, niebezpieczeństwa i życia. Lecz to wszystko przeżywałem przed urodzeniem. Dzisiejszy Nikołaj Brandeis urodził się dopiero parę tygodni temu”.

Gdy stwierdził ten fakt, miał trzydzieści siedem lat. Wyznaczył sobie termin pięciu lat. Za pięć lat ma być wolnym człowiekiem. Z nieubłaganą systematyką, która pozostała mu po jego chorobie umysłowej, ułożył sobie następujący program:

„Jestem więc noworodkiem; dopiero co ujrzałem światło dzienne. Co mam począć na tym świecie? Czy opłaci się żyć? Jedyna wolność moja: to rzucić ten świat! Lecz świat ten ma, zdaje się, pewną siłę atrakcyjną. Jest ciekawy. Nie przypuszczam, że mogę pomnożyć jeszcze moje doświadczenia. Nie jest to jednak nieprzyjemne, przypatrywać się, jak inni doświadcniają życia, będąc już samemu wyposażonym w owe stare doświadczenia. Ludzie wydają mi się dziwni, bo w każdym z nich znajduję cząstkę starego, nieżyjącego Nikołaja Brandeisa. Żyją jeszcze ideałami, mają przekonania, domy, szkoły; urzędy; paszporty. Są patriotami i antypatriotami, pacyfistami i militarystami, nacjonalistami i wyznawcami kosmopolityzmu. I ja miałem ojczyzny, lecz one zginęły. Miałem przekonania, lecz ulotniły się. Umarł jeden pastor, a śmierć jego wszystko mi objawiła. Dziwne, że ludzie nie wierzą w cuda. We wszystko wierzą, tylko nie w cuda. Ja przeżywałem cuda. Kto jednak z tych wszystkich ludzi, którzy wierzą w idee, w tym stopniu idee przeżywał?

Ten rodzaj obserwacji i myślenia sprawia mi radość. Gdy powtarzam sobie, że to jest sens mego życia, to mi wystarcza, ażeby usprawiedliwić moje postanowienie: nieporzucania świata, na który właśnie przyszedłem. Ażeby cieszyć się zupełnie niezależnie, muszę być zupełnie niezależny. W takim świecie, jakim jest dzisiejszy — a świat ten zajmuje mnie, to znaczy: podoba mi się prawie — trzeba mieć pieniądze, ażeby być wolnym. Mam więc dwa wyjścia: umrzeć, albo wzbogacić się. Umrzec mogę również jako bogacz, zaś jako nieboszczyk nie mogę być bogaty. A zatem pieniądze!”

Tego rodzaju rozważania nigdy może nikomu nie przyniosły pieniędzy. Nikołaj Brandeis był wyjątkiem. Nic innego, jak te rozważania, były jego jedynym kapitałem. Któż może powiedzieć, co rządzi przypadkiem? Może owe rozważania kierowały przypadkiem, który przyniósł Brandeisowi pieniądze?

Każdy przypadek jest czymś codziennym i jedynie dla ścisłości należy zdać z niego sprawę.

Brandeis poznał w Gdańsku emigranta rosyjskiego, który w kasynie sopockim przegrał swoje pieniądze i właśnie miał zamiar sprzedać kolię perłową swojej żony. Prosił Brandeisa o poszukanie nabywcy. Brandeis poradził mu jednak zrobić jeszcze ostatnią próbę.

— Zastaw pan kolię — rzekł. — Daj mi pan połowę pieniędzy. Będę tymi pieniędzmi grać w Sopocie. Jeżeli przegram, będę je panu dłużny, i chociaż dziś niczego nie posiadam, postaram się je panu zwrócić. Jeżeli wygram, odda mi pan dziesięć procent z wygranej.

Wiedział, że wygra, gdy udał się do kasyna. W przystępie zabobonu zażądał tylko dziesięciu procent. Grał i wygrywał. Gdy trzy razy z rzędu wygrał, opuścił kasyno. Wygrane pieniądze były jego pierwszym kapitałem.

Niewzruszona obojętność była rękojmią jego powodzenia. A nawet niekiedy się zdawało, że nieobliczalne kaprysy jego wyobraźni przewidywały nieobliczalne drogi, jakie chętnie obierają pieniądze. Uważano go za niesamowitego człowieka. Jemu samemu wydawało się to

samo przez się zrozumiałym, że taki człowiek jak on, nieuznający żadnych więzów i który od urodzenia — tak nazywał swoją dezercję — postanowił zarabiać pieniądze, rzeczywiście je zarabiał. Było to dowodem, że nie tylko na trzeźwej kalkulacji można się wzbogacić, lecz również na natchnieniu. A on posłuszny był każdemu natchnieniu.

Obecnie z owych pięciu lat upłynęły trzy. Zaczynał się wzbogacać. Od kilku tygodni dostarczał materiały dla oddziałów policyjnych dwóch państw na Bałkanach.

X

Dzwony południowe przebrzmiały. Orszak z podkutymi butami zgubił się w lekkiej chmurze kurzu i wrzawy. Ulice opustoszały; ludzie siedzieli w domu i w restauracjach. Zapachy potraw unosiły się w wiosennym podmuchu.

Nikołaj Brandeis usiadł na terasie kawiarni. Dwaj panowie przeszli obok niego, o jego uszy uderzył dźwięk rosyjskich słów. Bran-

deis nie lubił swoich towarzyszy niedoli. Unikał każdej sposobności, która zmuszała go do przysłuchiwania się z grzecznym dowierzaniem przesadnym opowiadaniom emigrantów o ich wspaniałej przeszłości. Z tą samą grzecznością umiał nie dostrzegać ich obecnej nędzy, którą zdradzali mimo woli. Któż z nich po ucieczce na nowo się urodził, jak on? Rzekłbyś, wszyscy zostawili w Rosji swoje życie.

Bałałajkowy dźwięk ich tęsknoty nudził go, jak marsz wiatrówek²⁸, które się właśnie wtedy przewinęły. Mimo że sam był dezerterem, nie mógł pojąć patriotyzmu, który oplakuje istniejącą ojczyznę, jak gdyby ją ocean pochłonał. Ludzie ci płakali za swoim srebrnym samowarem.

Wszelako rosyjskie słowa, które właśnie usłyszał, zabłądziły do nieznanej komórki Brandeisa, do komórki, którą jakby otworzyła wiosna. Spadły na jego wspomnienia o ukraińskim lutym, jak dawno oczekiwany deszcz na spr-

²⁸*wiatrówka* — tu: prosta w kroju kurtka, używana przez radykałów, wyraźnie odróżniająca noszącego od osoby o umiarkowanych poglądach, wychodzącej na ulicę w eleganckim płaszczu. [przypis edytorski]

gnione pola. Wspomnienia zakwitły. Teraz różniał dokładnie delikatne odcienie i stopnie ojczystej wiosny. Przypominał sobie dni w lutym, kiedy to słońce około dwunastej godziny w południe rozwijało nagle na przeciąg pięciu minut pogodny żar. Nagle zaczęły topnieć sople lodu na dachach, co tak wyglądało, jak gdyby słońce robiło krótką próbę lata. Błękit nieba był jeszcze zimowy i kobaltowy. Tylko brzegi jego były jasne, prawie że białe, jak gdyby w tym miejscu był zlodowaciały, jak woda. A jednak oddychał już ciepłym, przymilnym oddechem, zapowiedzią pachnących, letnich deszczów. Posiadał już niewidoczny dla oka ludzkiego materiał na letnie chmurki. Potem powiał wiatr północno-zachodni. Roztopiające się sople znowu zamarzły. Wieczór we wsi zapadał szybciej niż w poprzednich dniach, mimo że przecież niewątpliwie tamte były krótsze. W bladym srebrze lśniły się w dalekim lasku brzoźki, które rozsiane były między innymi drzewami, jak młode dni pomiędzy starymi nocami. Na polach budziły się małe czerwone

ognie z zapalanych chrustów, dokoła których chłopie piekli kartofle, a wiatr niósł do wsi słodką woń płonących gałęzi. Przez rozległe bagno, na którym wierzby wskazywały bezpieczne ścieżki, a które leżało między ulicą a lasem, mógłby dziś jeszcze wędrować, nie trzymając się kierunku wskazanego przez wierzby. Wszystko było jeszcze zamarznięte i pękało jak kruche szkło pod podkutymi butami. Lecz jak długo można będzie jeszcze bezpiecznie przechodzić przez bagno? Nie więcej jak dwadzieścia razy. Potem pojawią się znowu niebieskie błędne ogniki, ziemskie gwiazdy. Jutro, gdy księżyc znowu się odmieni, może spaść tak obfity śnieg, jak w pierwszych dniach listopada. Płatki będą padały gęsto, ale będzie się wiedziało, że za dwa lub trzy tygodnie znikną. „Tak mniej więcej — pomyślał Brandeis — powinno tam dziś wyglądać. A ja siedzę tu, gdzie zwiastunami wiosny są marne miejskie drzewa, przyroda magistratu, głupcy maszerujący na ćwiczenia i zapach pieczeni z kuchen. Po co właściwie tu siedzę?”

Zdawało mu się, że rosyjska mowa, którą przed chwilą słyszał, należy do przedwiośnia, które zakwitło w jego wspomnieniach, tak jak gdyby język rosyjski nie służył jako środek porozumiewawczy dla pewnego odłamu ludzkości, lecz był językiem ojczystym owej rodzinnej przyrody, brzóz, pastwisk; bagna; sopli lodu; wiatru, słońca i ognisk na polu. Dlaczego znowu emigranci? Kto wie, w nich wszystkich odżyły może dziś podobne wspomnienia jak w nim. Dlatego było tak dobrze, dziś i w podobne dni, słuchać rosyjskiej mowy. Zapłacił i wyszedł.

Nie zważał, w jakim kierunku idzie. Chciał wejść do jakiejś restauracji, chociaż nie czuł głodu, raczej z poczucia obowiązku, na skutek przymusu, który na każdego nakłada duże, jedzące miasto oraz pod wpływem milczącej sugestii konwencjonalnej godziny obiadowej. Stwierdził, że wspomnień jego nie sposób nazwać inaczej, jak tęsknotą. Po raz pierwszy ją poznał. Przeraził się. Co z nim się dzieje? Czy powstaje może nowy Nikołaj Brandeis?

Bezwiednie zaszedł na Marburgerstrasse. Tęsknota udzieliła się wprzód jego nogom, narzędziom wędrówki. Szły samodzielnie. Znajdował się przed rosyjską restauracją, w której jadał w pierwszych miesiącach po przyjeździe i nigdy później. Urządzenie było zmienione, restaurację prowadził obecnie bogaty gospodarz, kelnerzy mieli sztywne koszule, panna sprzedająca papierosy nosiła niebieski mundur pazia, a numerki z garderoby były mosiężne. Rzucił okiem na specjały leżące na środkowym stole. Straciły swoją prawdziwość, z dawnych, biedniejszych czasów. Podobne już były do kompromisów, w jakie weszły z berlińskimi tradycjami. Dotrzymały kroku rozwojowi wszystkich emigrantów. Zamówiona wódka była słaba i śmieszna. Powiedział to kelnerowi po rosyjsku, z wyrazem obrażonej próżności. Podali mu inną wódkę.

Dwaj mężczyźni siedzący przy sąsiednim stole przysłuchiwali mu się, patrząc na niego z życzliwością, z jaką patrzymy na nieznaną towarzyszy wspólnej niedoli. Pozdrowił ich. Wy-

dawali mu się sympatyczni. Obaj mieli łysiny, na ich czaszkach leżały refleksy wczesnie zapalonych świateł. Lecz bardzo się różnili między sobą. Takie różnice możliwe są jedynie wśród Rosjan, członków wielkiego narodu, składającego się z wielu małych. Będąc w pogodnym nastroju, przyznawał wszystkim rację. Ten mały, czarny, z żółtawą skórą i czarnym wąsem, pochodzi z południowej Ukrainy. Wysoki blondyn z długą czaszką i oczyma bez brwi, z różową cerą, jakby wstydliwą, jest z Polski lub z krajów bałtyckich. A jednak obaj są doskonałymi Rosjanami. Mają ten sam smak, podobny sposób trawienia, ich organizmy w ten sam sposób reagują na alkohol. Zupełnie jak u mnie, Niemca i Żyda. Wszystkim jest wspólny ten sam rodzaj potrzeb cielesnych. Nikołaj Brandeis podniósł drugi kieliszek w kierunku sąsiada.

Słyszał, o czym mówili. Mówili o pewnym Józefie Daniłowiczu, który twierdził, że przeżyje obecnie w Paryżu jeszcze intratniejszą inflację. Milczącemu Brandeisowi zdawało się na-

gle, że jest rzeczą niezmierniej wagi, ostrzec swoich sąsiadów i tą drogą zupełnie mu nieznanego Daniłowicza. Wtrącił się do rozmowy. Chętnie go słuchali: „Z całej francuskiej inflacji zostanie tylko to jedno: o wiele mniejsza wartość złotego franka. Francja nie ma za wiele banknotów w obiegu, jak w swoim czasie Niemcy. Banque de France posiada dość złota, mianowicie 3654 milionów franków w złocie, a więc w danej chwili jakich 60 procent wydanych biletów²⁹. Społeczeństwo francuskie wierzy w wartość franka. Jest to psychologiczny fakt o największym znaczeniu dla stabilizacji. Albo nastąpi gwałtowna konsolidacja długów, albo obciążą kapitał, albo, a to jest najbardziej prawdopodobne, zaciągną pożyczkę zagraniczną. Jako gwarancja wystarczy Banque de France.

Co prawda Banque de France mógłby się zdecydować natychmiast na naruszenie swej złotej rezerwy, a zostałyby mu — według mego obliczenia — zawsze jeszcze 2500 milio-

²⁹bilet — tu: banknot, drukowane pieniądze. [przypis edytorski]

nów w złocie, jako gwarancja za bilety. Anglia z pewnością nie będzie należała do nieubłaganych wierzycieli Francji i zgodzi się na ustępstwa. Francja przestanie wierzyć, że z Niemiec można wycisnąć fantastyczne sumy. A to będzie już połowa ratunku”.

Sprawiało mu przyjemność objaśniać tych dwóch ludzi. Słuchali uważnie. Pojęli widocznie, że mają do czynienia z wielkim znawcą, śledzącym interesy giełdowe z biegłością doświadczonego polityka.

— My wybieramy się do Paryża w innych sprawach, nie za interesami.

— W takim razie — rzekł Brandeis — proszę liczyć się z grubo większymi wydatkami, niż panowie przypuszczacie.

Wstał. Poprosili go o jego adres. Przez chwilę żałował, że się z nimi wdawał. Dał im swój adres.

Chciał pójść do domu wolnym krokiem i okólną drogą. Określenie „do domu” sprawiło, że się uśmiechnął. Od dwóch lat mieszkał w pensjonacie. Nagle wydawało mu się niemożliwo-

ścią zostać tam dłużej. Niedziele były nieznośne, a z niedziel najbardziej nieznośne popołudnia. Ze wszystkich zamkniętych pokoiów dołatywały miłosne chichoty i gramofony. Właścicielka, wdowa po radcy dworu, miała dziś na sobie jedwabną suknię, czarną i szarą. W pokoju Nikołaja leżało jeszcze na szafie pudło ze skrzypcami, instrumentem hofrata. „W tych pokojach — opowiadała wdowa — koncertował zawsze kwartet”. Brandeis przypomniał sobie wapienną biel i błękit jego izby. Wciągał nozdrzami woń siana, gnoju, duszność kojców na kury, korzenną parność stajni i ciepły syjący strumień końskiego moczu. I przypomniał sobie mieszaninę karbolu i gotowanej ryby morskiej w jego pensjonacie. Postanowił wrócić dopiero wieczorem do domu.

Wieczór zapadł wcześniej niż przypuszczał. Niedziela przeszła, wytrzymał ją. Lecz na dworze niedziela była gorsza niż w domu. Uciekł.

Dwóch panów czekało na niego w „salonie”. Udał się do salonu. Byli to dwaj Rosjanie, z którymi mówił w restauracji.

Okazało się, że obaj odznaczyli się tą samą nieśmiałością. Obaj byli bezradni. Chcieli się wspólnie do czegoś zabrać, na zasadzie owego dziwnego prawa, które łączy słabeuszów, wysłała razem na spacer dwie brzydkie dziewczyny, dwóch głuchych wikła w długą konwersację i dwóch nieśmiałych kojarzy w nadziei, że dodani do siebie, zrodzą śmiałość. Wszelako blondyn, młodszy od ciemnego, zdawał się być zmuszony do pewnej odwagi ze względów grzecznościowych. Blondyn więc zaczął:

— Cieszymy się bardzo, żeśmy pana dzięki przypadkowi poznali. Gdyż zależy nam na pańskiej poradzie. Ów Daniłowicz, o którym wspominaliśmy dziś, naraził nas na niemiłą sytuację. Dlatego przyszliśmy do pana i dlatego, że przypuszczamy, iż pan interesuje się sztuką.

— Ja? Sztuką? — odrzekł Brandeis. — Nigdy w życiu!

Jego goście tak się zmieszali, że musiał dodać:

— Ale to nie szkodzi, może panom coś poradzę. O jaką sztukę chodzi? O obrazy?

— Nie, o lekką sztukę — zaczął starszy — mamy kabaret, o którym pan może już słyszał. Założyliśmy go pięć lat temu. Występowaliśmy tu i tam, mieliśmy dobre i złe czasy. Ale zawsze jako tako szło, właśnie dzięki pomocy Daniłowicza. Dopóki robił interesy. Od stabilizacji nic nie słyszeliśmy o nim. Przyszliśmy więc do pana. Na listy i depesze nie odpowiada. W międzyczasie teatr nasz zawinął do Belgradu. Tam kończy się nasz kontrakt. Na drugi tydzień musimy wyjechać do Paryża. Ale nasze dochody w Belgradzie są marne. Proszę pomyśleć, jaka konkurencja. W Belgradzie był „Niebieski Ptak”, „Złoty Kogut”, była „Bałałajka” i „Biała Chata”. A my dajemy dobrą sztukę. Lecz publiczność jest zepsuta. A my nie będziemy mieli pieniędzy na wyjazd do Paryża.

— Jak nazywa się wasz teatr?

— „Zielony Łabędź” — rzekli obaj równocześnie, z dumą, z jaką oficerowie wymieniają swój pułk.

Nikołaj Brandeis przypominał sobie niewyraźnie, że widział gdzieś afisze z tą nazwą. A że był dziś grzeczny, dodał:

— Wiele już o tym teatrze słyszałem dobrego.

Zapytali, czy mógłby im pomóc.

Zanim jeszcze zdawał sobie sprawę, co im odpowie, wyrwało mu się zdanie:

— Mam przypadkowo w tym tygodniu interes w Belgradzie. Odwiedzę tam panów.

Panowie poszli.

XI

Był więc w Belgradzie.

Po obiedzie siedział w „Zielonym Łabędziu”, na próbie.

Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio był w teatrze. W przybliżeniu dwa albo trzy lata temu. Wybrał się wówczas kilka razy do teatru, z tą radością, jaką odczuwał przed wielu laty jako student, gdy się wybierał na przedstawienie. Przyszedł i przekonał się, że sceny

są puste, nawet gdy na nich poruszają się akto-
rzy. Współczesna reżyseria — myślał — dlate-
go widocznie tak się wysila, że sami artyści od-
czuwają tę pustkę. Dlatego na przykład wznosi-
li stopnie. Gdy widział stopnie, miał wrażenie,
że siedzi w próżnym wnętrzu zburzone-
go domu. Przypomnił sobie trzęsienie ziemi,
które kiedyś przeżył na Kaukazie. Na kilku uli-
cach, na peryferii małego, starego miasta, ru-
nęły mury i dachy. Oczom przedstawiał się wi-
dok wnętrza domów: desek, belek i bezce-
lowych schodów. Wysoko wznosiło się skle-
pienie nieba. Schody, które niegdyś prowadzi-
ły przez piętra, zdawały się śmiesznie małe, na
tle niezmiernego odstępu dzielącego najwyż-
szy stopień od najniższej chmurki. Na tych,
prawie nienaruszonych, schodach, uwydatnia-
ła się potęga zniszczenia wyraźniej jeszcze niż
na gruzach rumowisk.

Silniejszą grozę odczuwał Brandeis na wi-
dok scen. Tu bowiem obraz upadku nie był na-
stępstwem katastrofy, lecz ludzkiego wysiłku
zwanego „reżyserią”. Czasami miał ochotę po-

znać „reżysera”. Jakie dzikie sny muszą dręczyć tych ludzi i jak tam w ich duszach wszystko wygląda? Gdyż przebudowują widocznie głuche przepaści, które chcą ich pochłonąć w czasie głuchych nocy, na scenerie. W młodości Brandeisa istniały jeszcze światła rampy.

Odwiedził ponownie teatr akurat w czasie, gdy reflektory nie tyle oświecały, ile przesiewały wydrążone noce scen. I wciąż jeszcze nie było dość ciemno, ażeby widz mógł zapomnieć, że noc ta składa się: z cieni rupieci, skrzyń i ruchomych podłóg, których zakonserwowana, na nowo zabalsamowana śmierć mechanicznym zimnem napełniała rozgrywające się sceny. I mimo że jasne jak słońce reflektory umieszczały bohaterów w środku kół ze światła, blask ich nie był tak silny, żeby widz mógł zapomnieć o prywatnym człowieczeństwie aktora. Było raczej tak, jak gdyby reflektor nam chciał przedstawić ciekawość widza, jedyną ciekawość, jaką widz tych czasów jeszcze posiadał, a która nie była skierowana na sens akcji, lecz na bezmyślność ruchów. Było tak, jak

gdyby reflektor uparcie szedł za aktorem, ażeby wreszcie dowiedzieć się, po co ten człowiek wszedł na trzeci stopień celem wypowiedzenia pewnego zdania i po co znowu zstąpił celem usłyszenia odpowiedzi. Brandeis miał wrażenie, że w jego młodości mniej od teatru wymagano. Dlatego więcej dawał. Dokładnie sobie przypominał, że nie po to wybierał się do teatru, żeby zobaczyć „ożywionego” Shakespeare’a, jak się to mówi — gdyż nigdy Shakespeare nie mógł być tak żywy, jak przy czytaniu — lecz ażeby poznać odstęp i różnicę między granym Shakespeare’em, a tym, który żył w wyobraźni widza. Wówczas mogło się zdarzyć, że wielki artysta brał na siebie urojony los bohatera i własną krew ofiarował za krew Shakespeare’a. Właśnie dlatego, że ani on, ani scena, na chwilę nawet nie wypierali się tego, iż są teatrem, z rampą, kulisami, drzewami, skałami i murami z tektury. Lecz dziś — pomyślał Brandeis — reżyser dyryguje ofiarą aktora, która — o ile ma dostąpić łaski — rozegrać się musi w zupełnej samotności. Reżyseria stwa-

rza przestrzenie. Lecz nie ma ludzi, którzy by je wypełnili. Dlatego pograżono scenę w ciemności, spodziewając się, że wąski stożek światła uwydatni lepiej człowieka. Co za pomyłka! Człowiek wpadł do dziury, i skrepowany próżnią, będącą obecnie jego ciałem, stąpa po omacku wśród nocy.

Brandeis nie byłby nikomu nigdy mówił o tych rzeczach. Nie uważał się za kompetentnego, nie znał się na tym. To nie była „jego rzecz”. Ze zgrozą myślał o tym, że w współczesnych teatrach krzyczą, jak na giełdach. Myślał, że to nie jest uczciwy interes, płacić za fikcję, która się nie chce do tego przyznać, że nią jest. Płacić za sztukę udającą, że zawiera spotęgowane życie, a która w porównaniu z jego własnym życiem, z przeżyciami Brandeisa z dawniejszych lat, albo nawet tylko z dostawą materiałów na Bałkany, wcale nie jest życiem spotęgowanym, lecz zwidem snu o życiu, śnionym przez bladego dramatopisarza. Nie! Wolał pójść do kina. Lubił bezwiedną ciemność widowni i migotliwy cień aktorów. Lubił prymitywne napię-

cia fikcji, przyznających się uczciwie do siebie. Lubił odosobnienie, w którym każdy siedział, reszta ludzi bowiem w rzeczywistości znajdowała się tuż przy ekranie. Tylko ciała ich zostały na miejscach, jak płaszcze w garderobie. Dwa razy na tydzień Brandeis chodził do kina. Wypoczywał. Nie mówił. Nie słuchał. Z niecierpliwością znosił krótkie oświetlone przerwy. Nienawidził przerw. Myślał nawet o urządzeniu kin, w których by nigdy nie było jasno.

Przyszedł na próbę „Zielonego Łabędzia”. Siedział sam na ciemnej widowni. Nie. Przekonał się, że sztuka go nie zajmuje, a lekka sztuka również nie. Właściwie kabaret rosyjski, znany mu jeszcze z dawnej Rosji, zawsze przez niego był znienawidzony. Nie odpowiadała mu sztuka, która ze strachu przed rozmiarami stała się zgrabna, miniaturowa. Nienawidził delikatności. Nienawidził tych fragmentarycznych, charakterystycznych obrazów, w których ludzie zamieniali się w liliputów, chłopki w baletnice, kozacy w cynowych żołnierzy. Nienawidził pustej świetności konferan-

sjera, tryskającego na jego cześć — traktowano go bowiem jako mecenasa — wybornym dowcipem. Dlaczego nie odchodził? Po raz trzeci już siedział na próbie. A nawet podszedł wieczorem do teatru, ażeby dowiedzieć się, ile kasa przyniosła. W jakim celu to robił?

Zespół znajdował się w nędzy. Od dawna już nie płacili za hotel. Nie chciano im już dawać jedzenia na kredyt. Bywały wieczory, że dochód starczył tylko na zapłacenie dla każdego herbaty lub kawy z ciastkiem. Siedzieli po przedstawieniu przy małych stolikach i przypominali gromadki strwożonych kur, czekających na zarznięcie. Lecz bezustannie coś mówili, bojąc się niemych przerw, jak gdyby cisza nieuchronnym była zwiastunem śmierci. Od założenia „Zielonego Łabędzia” nigdy jeszcze nie powodziło im się tak źle. W żółtym blasku wieczornych świateł błyszcząły ich twarze, z których pośpiesznie starli szminkę. A jednak nie chcieli się rozejść. Co nocy czekali, aż zamykano lokal. I wtedy jeszcze szli z jednego z trzech hoteli, w których byli zakwaterowa-

ni, do drugiego. Odprowadzali się nawzajem. A mała grupka, wchodząca wreszcie do swego hotelu, czuła się opuszczona i jakby zdradzona. Długo jeszcze wystawali w korytarzach i szepotali. Potem za każdym zamykały się drzwi, jak wieko trumny.

Pewnego wieczora Brandeis zapytał: „Dlaczego nie idziecie wszyscy na poszukiwanie własnego chleba?” Popatrzyli na niego przerażeni i lekceważąco, jak gdyby go uważali za człowieka niespełna rozumu i małowartościowego. „Co? — odparł kapelmistrz — mielibyśmy porzucić nasz kabaret? Nigdy!” I Brandeis pojął, że ci ludzie uważają za nakaz sztuki to, co było nakazem ojczyzny.

Nie wszyscy z nich byli aktorami. Kobiety były córkami z dobrych domów, mężczyźni oficerami i urzędnikami; między muzykami było dwóch właścicieli dóbr, a kapelmistrz był profesorem gimnazjalnym.

Brandeis po raz pierwszy miał sposobność wydać pieniądze na rzecz, która mu się nie podobiała. Od kiedy zaczął robić interesy, zwykł

był każdą kwotę pieniężną uważać za narzędzie. Dać jałmużnę zebrakowi byłoby mu się wydało czymś tak śmiesznym, jak zapalenie ognia jedynie w tym celu, ażeby go zgasić natychmiast wodą, albo rzucenie na bruk zegarka jedynie po to, by przestał chodzić. Teodorowi Bernheimowi dał dwa tysiące dolarów, nie tylko dlatego, że potrzebował pomocy Pawła, lecz także dlatego, że jego zdaniem, należy nie dopuścić do żadnej funkcji ziemskiej sprawiedliwości... Nie używał policji żadnego z wielu istniejących Teodorów i prawdopodobnie byłby im wszystkim pomógł. Nienawidził porządku ustrojów społecznych. Nie rozumiał go. Lecz jeszcze mniej miał zrozumienia dla sztuki wielkiej i małej, dojrzewającej w cieplarniach znie-nawidzonego porządku.

A jednak opłacił „Zielonemu Łabędziowi” rachunek hotelowy i podróż.

Było to ostatniego wieczora w Belgradzie. Siedzieli w swojej kawiarni grupami przy kilku stolikach. Byli w dobrych humorach ze względu na widoki w Paryżu, i hałasowali. Wszedł

Brandeis. Chciał dziś jeszcze wrócić do Berlina i szukał dyrektora, żeby się pożegnać. Wydawał się sobie samemu śmieszny. Śmiesznemu przedsiębiorstwu dał pieniądze, odbył bezcelową podróż, stracił czas. Chciał o wszystkim zapomnieć. „Byłoby może lepiej wyjechać bez słowa” — rozważał. — „Ale to robi się tylko, gdy się samemu dostaje pieniądze, a nie gdy się je pożycza innym”.

Spostrzegli go natychmiast, gdy wszedł, otoczyli go, obchodzili się z nim, jak wypadało, ze swawolną wdzięcznością. Spojrzał raz jeszcze obojętnie na ich obojętne twarze. Nagle wzrok jego utkwiał w próżni.

Jednej twarzy brakowało. Nie znał nazwiska należącego do tej twarzy. Lecz brakowało mu jej.

Za chwilę siedział przy stole i zamówił jakiś napój. Dopiero co zamierzał jak najszybciej i na stojąco się pożegnać. Teraz usiadł, ażeby poczekać. Twarz, na którą czekał, nie mogła mieć więcej jak piętnaście lat. Im dłużej

trwała próżnia, tym wyraźniej widział jej brunatną twarz, wąskie wargi, szerokie, czerwone, szminkowane usta, jak krzyk na tle spokojnej twarzy, i ciemne oczy, tak blisko obok siebie umieszczone, że jedna brew zdawała się przechodzić w drugą. Jakie nosi trzewiki? Nagle nic ważniejszego w tej chwili nie istniało! Byłby chętnie zapytał, jakie ona nosi trzewiki, chociaż wcale nie byłby zapytał o nią. Nie wiedział, jak się nazywa. „Oczywiście — mógłbym ją opisać. Lecz to jest przykre, bardzo przykre. Wolę zaczekać. Pojadę jutro”.

Jego pociąg odchodził o 11 godzinie wieczorem. Gdy Lidia Markowna weszła, duży zegar nad bufetem wskazywał dziesiątą godzinę. Miał zatem jeszcze godzinę czasu. Odczuwał to jako zdradę, że przyszła właśnie teraz, nabawiając go kłopotu odbycia podróży, którą już postanowił odwlec. Dlaczego przyszła teraz? Pół godziny — to za mało, żeby dowiedzieć się od niej wszystkiego, co mogło być godne przyjęcia do wiadomości. Lecz pół godziny wystarczy, żeby się z nią pożegnać. A czy zamierzał

właściwie coś innego? O ile mógł sobie przypomnieć, przyszedł tu tylko w tym celu. Przyszła, mógł się więc pożegnać. Byłoby jednak lepiej, gdyby jej przyście było nastąpiło równocześnie z odejściem pociągu. Wówczas zyskałby jeszcze trzy godziny, aż do zamknięcia lokalu. A potem istniały jeszcze inne. A pociąg, którym „Zielony Łabędź” miał odjechać do Paryża, odchodził dopiero o trzeciej po południu, jutro — —

W Brandeisie zrodziła się śmieszna nadzieja: może zegar nad bufetem w ogóle źle chodzi? Wystarczyło zrobić mały ruch, ażeby się przekonać. Wystarczyło sięgnąć po zegarek. Ale Brandeis zwlekał z tym, w obawie, że zegar chodzi dobrze. W końcu wyjął zegarek. Rzekłbyś: z wielkiego zimna wstąpił w jasne, promieniujące ciepło. Było grubo po jedenastej. Jego pociąg był w drodze.

— Jak właściwie nazywa się pani, która właśnie weszła? — zapytał sąsiada.

— To jest Lidia. Lidia Markowna!

— Lidia Markowna! — powtórzył Brandeis. Wstał i podszedł do niej. Weszła, poruszając się wolno i uśmiechając się. Zbliżając się do przyjaciół, wybrała jeden ze stołów. Blisko przy niej, i tak, by musiała odwrócić głowę, chcąc widzieć jego twarz, stanął Brandeis. Podała mu rękę. Pociągnął ją do stołu, niezajętego jeszcze, tuż obok.

— Pani jest Lidia Markowna! — rzekł, jak gdyby chciał się upewnić, że tak się nazywa, i jak gdyby każde inne nazwisko nie było mu równie obojętne.

— Tak jest. Pan mnie nie znał?

— Owszem. Znałem panią. Lecz nie pytałem o nazwisko pani. Pytam o to tylko w pewnych wypadkach. Pani jest na przykład takim wypadkiem.

Czekał. Rzekła tylko: — Dlaczego?

— Bo chciałbym — rzekł Brandeis — to znaczy, chciałbym panią prosić, aby pani nie wyjechała jutro ze wszystkimi, lecz ze mną, do mnie do domu.

— Co pan mówi? Miałabym porzucić teatr?

— Dlaczego nie?

— Ale — pan nie wie? Mam przyjaciela. Nie mogę przecież opuścić mego męża! I wcale pana nie znam.

— Kto jest pani przyjacielem?

— Grigori — tam siedzi.

Brandeis obejrzał się. Był to człowiek z basowym głosem. W scenie „Biali jeźdźcy” grał pierwszego kozaka.

Grigori był zajęty grą w karty.

— Proszę tu zaczekać! — rzekł Brandeis.

Posłał Grigoriemu kartkę przez kelnera. Napisał na niej:

„Przysiądź się pan natychmiast do nas. Chodzi o pieniądze”.

Grigori przyszedł. Patrzył na przemian na Lidie, której nie ukłonił się, i na Brandeisa, do którego wciąż się uśmiechał.

— Słuchaj pan! — rzekł Brandeis po cichu. — Czy pozwoli pan, by Lidia Markowna jutro została? Ze mną?

— Dlaczego pan mi przeszkadza, mój drogi? — odpowiedział Grigori. — Myślałem, że idzie o pieniądze!

— Otrzyma pan pieniądze. Odpowiedz pan. Grigori zmrużył oczy i patrzył na Lidię.

Potem rzekł:

— Oczywiście. Jeżeli ona chce!

— Grisza! — krzyknęła Lidia, tak głośno, że wszyscy odwrócili się. Oparła głowę o stół i płakała. Czołem przywarła do płyty marmurowej, jak gdyby nie знаła innych towarzyszy poza kamieniem i martwymi przedmiotami.

— Chodź pani! — rzekł Brandeis. Podniósł ją z krzesła. Dyrektor przyszedł. Brandeis rzekł:

— Lidia Markowna opuszcza was. Zapłać pan Griszy dwie miesięczne gąże, na mój rachunek. Dobranoc!

Nowy Nikołaj Brandeis wyszedł z kobietą na ulicę.

Poszli w stronę postoju taksówek.

XII

O Pawle Bernheimie nie można niczego innego powiedzieć, jak tylko tyle, że się nie zmienił.

Zaczął „redukować”. Była to czynność, która w ówczesnych Niemczech towarzyszyła „odbudowie”.

Paweł Bernheim redukował. Zwolnił obie stenotypistki, a w końcu sekretarza. Zwinął biuro nad swoim mieszkaniem, a następnie oddał mieszkanie. Wydawało mu się bowiem niemożliwością zostać przeciętnym lokatorem w mieszkaniu, w którym był lokatorem niezwykłym. Niektóre przyzwyczajenia same z niego spadły: liście z drzewa w jesieni. Ów prawie że tajemniczy mechanizm, który codziennie o pierwszej godzinie wciągał do mieszkania Pawła Bernheima fryzjera z pędzlem, mydłem i brzytwą, w ten sam tajemniczy sposób przestał funkcjonować. Prawo, na podstawie którego portier słyszał schodzącego z drugiego piętra Pawła Bernheima i równocześnie otwierał bramę — przestało działać. Pewnego dnia sprzedał Paweł

swoje auto i zwolnił szofera. Auto powędrowało do właściciela taksówek. Pawłowi zdawało się, że nigdy już nie siądzie do taksówki, w obawie, że mógłby to być jego własny wóz. Pożegnał szofera napiwkiem, który przekraczał jego możliwości, a odpowiadającym jedynie zobowiązaniu względem ostatniego gestu wytworności. Nagle, jak gdyby pochłonięci żywiołową katastrofą, zniknęli jego przyjaciele. Mógł szukać ich we wszystkich klubach — szczęśli.

Samotność zamierzała ustabilizować się, jak waluta. Wynajął sobie jeden pokój, w błędnej nadziei, że rozmiary samotności zależą od rozmiarów mieszkania. Wzbogacił się o doświadczenie, że samotność ma tę szczególną właściwość, iż w jednym pokoju jest większa niż w trzech. Jego wnioski były mylne, podobnie jak wnioski jego matki. Ona posiadała walizę z papierowymi pieniędzmi, a on akcje, z których nie można było żyć! Dlaczego nie zrobił interesu z materiałami Brandeisa? Byłby dziś bogatym człowiekiem. Tak bliski był bogactwa! Miał jeszcze dwa tysiące dolarów. Te dwa tysiące, któ-

re był winien Brandeisowi. Wystarczyło akurat do handlu papierosami. Jedynym zawodem, do którego byłby miał ochotę i zdolności, była dyplomacja. Mógł co prawda zaciągnąć jeszcze pożyczkę na dom. Ponieważ jednak część domu, należąca na podstawie testamentu do niego, obciążona była trzema hipotekami, nowa pożyczka nie była możliwa bez zgody matki. Matka zaś nie zgodziłaby się nigdy. Firma Bernheim i S-ka i tak wkrótce miała zostać zwinięta. Pani Bernheim nie wiedziała jeszcze o tym.

Niekiedy Bernheim liczył swoją gotówkę, mimo że ją znał. Ale przypuszczał możliwość pomyłki albo, że ponowne liczenie, dzięki jakiemuś cudowi, da inną sumę. Gdyby swoje akcje sprzedał według dzisiejszego kursu, nie miałby, wraz ze swoimi dolarami, ponad 25.000 marek. Tymi pieniędzmi mógłby ktoś inny, Nikołaj Brandeis, w ciągu dwóch lat zarobić milion marek... Paweł Bernheim należał jednak do owych ambitnych ludzi, którym mały ka-

pitał nie wydaje się nawet godny tego, by go skonsumować.

Były jasne dni wiosenne. Niebo było niebieskim tynkiem powleczone, ulica biała, zamieciona z podwójną starannością, a chmury ostatecznie z tego świata wygnane. „Gdybym posiadał jeszcze auto!” — myślał Paweł. Nie przypominał sobie, czy kiedykolwiek przeżywał tak piękne dni, w tym czasie, kiedy miał jeszcze wóz. Gdy wsiadał do autobusu czy kolejki podziemnej, czuł się zdegradowany. Spał codziennie do południa z przekory i w niewyraźnej nadziei, że nad głową śpiącego mogłyby się skłębić szczęśliwe przypadki, jak chmury. Spał do późna, chociaż mu rozum dyktował wstawać wcześniej. Gdy był ubrany i schodził na ulicę, dzień dobiegający kresu zdawał się udowadniać bezskuteczność jego trudów.

Kilkakrotnie postanowił składać przed południem wizyty. Odwiedzał dyrektorów wielkich wydawnictw. Ułożył sobie jakieś propozycje. Był zdecydowany przedstawić w przesadnym świetle swój majątek i możliwości kre-

dytu, chciał mówić o swoich stosunkach w Anglii, w które zaczął stopniowo sam wierzyć. Szedł od jednej dużej firmy do drugiej. Siedział w poczekalniach, gdzie leżały czasopisma i gazety wydawnictw, przeznaczone dla czekających, ażeby mogli zaznajomić się z poglądami firmy, zanim dojdzie do konferencji. Poczekalnie były wygodne, cokolwiek za silnie opalone i strzeżone przez dyżurnych w liberiach, siedzących na wysokich stołkach. Dyrektorzy znajdowali się stale na konferencjach. Nie były to już „ważne” konferencje, jak owe konferencje fingoane przez Pawła Bernheima podczas inflacji. Były to skromne konferencje bez szczególnych znamion, a więc o wiele ważniejsze... — Można je było porównać do wybitnych osobistości, posiadających wprawdzie tytuł, lecz nie robiących z niego użytku. Siedział i czekał. Podobnie czekano niegdyś na niego. Pojął teraz, że instytucja poczekalni jest czyścćcem kapitalistycznego nieba. Nie istnieje nic okrutniejszego, jak ta przymusowa cierpliwość, przerywana nieustannymi dzwonkami dla służby, no-

wymi gośćmi i roztargnionym wertowaniem pism, które zamierzają dostarczyć pocieszenia, wytwarzając jednak najgłębszą beznadziejność. Zdarzało się, że Bernheim opuszczał poczekalnię, zanim dochodziło do rozmowy. Ucieczka przed rozmową, która już w poczekalni straciła swój sens, sprawiała mu ulgę i uczucie odzyskanej wolności, jak gdyby opuścił mury domu obłąkanych. Ilekroć wychodził z bramy, odwracał głowę, jak to czynimy, gdy chcemy zobaczyć przeszkodę, o którą potknęliśmy się.

— Nigdy już moja noga nie stanie w tym domu!

Znowu wyjechał do matki.

Pani nadradczyni tak się tam zadomowiła, jak gdyby w domu Bernheimów przyszła na świat. Pawła pozdrawiała jak ciotka. Wciąż jeszcze pani Bernheim na palcach chodziła do pokoju lokatorki, by skontrolować, czy nie zostawiła niepotrzebnego światła, czy klucz jakiś nie tkwił nadto luźno w szafie, tak, że mógłby wypaść i zginąć; czy okno nie było otwarte, zapraszając wszystkie mole, by odżywiały się dy-

wanem, i wreszcie czy umywalka pani nadradczyni nie dostała jeszcze tego pęknięcia, którego pani Bernheim z drzeniem od kilku lat oczekiwała.

— Umówiliśmy się — opowiadała Pawłowi — że pani nadradczyni będzie odtąd opłacała abonament za gazetę. Akurat przed miesiącem naciekła do jej pokoju deszczówka, dach był uszkodzony. Twierdziła, że ja mam zapłacić za naprawę. Ale wyjaśniłam jej, że właścicielka nie może być odpowiedzialna za dziury w dachu. Przyznała mi rację, dach zastał uszczelniony, ale od tego czasu nie pada deszcz, nie wiem, czy nas blacharz nie oszukał. Czy chciałbyś to zbadać?

Paweł wygramolił się na dach, ażeby zobaczyć to miejsce.

Z góry widział ogród, który teraz, z początkiem wiosny, był jeszcze smutniejszy niż w jesieni... — jak ktoś ubogo ubrany smutniej wygląda w słońcu niż we mgle. Paweł widział szopę, w której nie było wozów, stajnie, w których rżały obce konie, i starego psa. Brudny

pies leżał leniwie przed budą, jak gdyby i on wiedział, że nie ma już niczego do pilnowania, poza walizą pani Bernheim z bezwartościowymi papierami.

Pewnego wieczora matka odłożyła gazetę — od kiedy lokatorka płaciła abonament, czuła się pani Bernheim zwolniona z obowiązku czytania wszystkich ogłoszeń — i rzekła:

— Wiesz, Pawle, czytam teraz w gazecie tyle matrymonialnych inseratów!

— Tak — odrzekł Paweł obojętnie — to następstwo wojny.

— Młodzi ludzie są mądrzy — ciągnęła pani Bernheim — zenią się wcześniej: to jest zdrowe i zapewnia długie życie.

Milczała i czekała na zdanie syna.

Lecz Paweł zdawał się myśleć nad czymś. Słyszał tykanie zegara, jedyne, który w tym domu chodził, i delikatny wietrzyk, szumiący w zeszłorocznym, powiędłym listowiu. Pani Bernheim sięgnęła po *lorgnon*. Dopiero przytknięcie szkieł strąciło go znowu na ziemię.

Pani Bernheim patrzyła na Pawła dłuższą chwilę przez szkła. Paweł wiedział, że to oznacza przygotowywanie się matki do „poważnego tematu”, i czekał.

— Masz teraz trzydzieści lat, Pawle! — rzekła pani Bernheim.

Wspomnienie jego trzydziestu lat boleśnie go dotknęło, jak gdyby to było ułomnością. Otóż i osiągnął trzydziestkę, niczego nie osiągnął. Rzekłbyś: tych trzydzieści lat piętrzyło się obok niego, rok przy roku, miesiąc przy miesiącu, dzień przy dniu; góra czasu, a on sam stał opodal beczynny, mały i bez wieku.

— Czy nigdy nie myślałeś o ożenku? — zapytała matka trochę energicznie, wciąż jeszcze trzymając przed oczyma szkła.

— Gdzie są kobiety? — odrzekł Paweł.

— Jest dość kobiet, moje dziecko — musisz się rozejrzeć!

Znowu opuściła szkła, które zawisły u boku, jak szabla włożona do pochwy.

Nie mówili więcej o małżeństwie. Bądź co bądź jednak Paweł w pociągu do Berlina roz-

ważał propozycję matki. Tak jest, był może już czas, ażeby się ożenić. A nawet było dość łatwo ożenić się. Głównymi warunkami były ostrożność i szybka decyzja. Ożenek był drogą do wielkości. Postanowił bywać w towarzystwach.

Znał z poprzednich lat, kiedy to był jeszcze protektorem artystów, młodego człowieka z Temesvaru, który podawał Budapeszt jako miejsce swego urodzenia. Nazywał się Sandor Tekely. Przybył do Berlina jako żurnalista i rysownik. Mógł równie dobrze zarekomendować się jako gentleman-jeździec, magik i agent polityczny: los, darzący pewną życzliwością niektórych młodych ludzi z Temesvaru, skierował Sandora Tekely wpierw do klubów gry, potem do kabaretów, następnie do teatrów, po dwóch latach do filmu i wreszcie z powrotem do gazety. Pewnego razu towarzyszył, jako członek oddziału prasowego i propagandowego, czerwonej armii dyktatora węgierskiego Beli Kuna³⁰ w wyprawie przeciw Rumunom. Dawno

³⁰*Béla Kun* a. *Béla Kohn* (1886–1939) — w 1919 r. przywódca komunistycznej Węgierskiej Republiki Rad. [przypis edytorski]

zapomniał te dni i tę działalność. Był w stanie zapomnieć o mordzie, długoletnim więzieniu i tyfusie. Tej zdolności zapominania odpowiadała wprawa w wyzyskaniu teraźniejszości. Zdawało się, że zwinność, z jaką potrafił z każdej sytuacji wyłowić każdą korzystną sposobność, bezpośredni miała związek z jego zapominalstwem, podobnie jak owa właściwość zdrowego organizmu, czerpiącego siłę z zimowych mrozów, jak i upałów letnich, w ścisłej stoi łączności z drugą właściwością, mianowicie, szybkim i gruntownym pokonywaniem chorób. Byłoby niesprawiedliwością zarzucać Sandorowi Tekely niestałość charakteru. Umiał zapominać — tak samo jak umiał być uważnym. I jak motyl z każdego kwiatu wysie trochę słodczy, tak Sandor Tekely z każdego towarzystwa, w które wpadał, zabierał ze sobą jakąś koneksję, jakiś stosunek, jakąś przyjaźń. Był to jeden z najpewniejszych dowodów przemian, jakim ulegały towarzystwa; niepewności dawnych klas i jej członków, płynności wartości towarzyskich i bezgranicznej bezrad-

ności nowych domów, w których architektura urządziła współczesne „pokoje do przyjęć”. Beztrosko i tylko o koneksjach myśląc, fruwał Tekely od jednej gospodyni domu do drugiej, nie dostrzegając różnicy, chodził na bale maskowe, które w owym roku przetrwały pokazanie karnawału, stale w tym samym kostiumie rokokowego księcia. Poza tym nosił wieczorami smoking i kamizelkę z klapami, zawsze z uśmiechem wykwitającym z ciemnoczerwonych warg i białych bez zarzutu zębów, zawsze z gotowością powiedzenia komuś za pierwszym razem grzeczności, a za drugim razem sekretu.

Nie bez racji myślał Paweł Bernheim o Sandorze Tekely. Wiedział, że Tekely dwa razy w tygodniu jadał w węgierskiej restauracji, żeby nie stracić kontaktu z ojczystą ziemią. Pewnego razu zastał go. Tekely ucieszył się. Chętnie na to patrzył, gdy go dobrze ubrani panowie odwiedzali w restauracji, gdzie długo jadał na kredyt. W tej restauracji zdwoił swoją zwykłą poufałość. Kojarzył ją z serdeczną radością, z któ-

rej można było wnosić o niezwykłym znaczeniu jego gościa.

Gdzież Paweł Bernheim („drogi, kochany przyjacielu”) tak długo się ukrywał?

A on sam?

O, to nie jest tajemnicą! Dużo zajęcia. Po pierwsze pracował w przedsiębiorstwie insertowym, które wprowadziło nową reklamę w formie pieczętki pocztowej na nagłówku gazety. Po drugie pomagał w dziale propagandowym wielkiego amerykańskiego towarzystwa filmowego, które od pół roku pracowało w Niemczech. Po trzecie zakłada wspólnie z przyjacielem pismo światowe we wszystkich europejskich językach, przynoszące nowości i felietonowe wiadomości. W końcu miał pomysły na aktualne komedie, które sprzedawał znanym dramatopisarzom. Poza tym uśmiechało się coś nowego, mianowicie założenie gazety; pisma dla domów towarowych, które planuje człowiek nazwiskiem Nikołaj Brandeis.

— Kto? — Rosjanin Brandeis? — powtórzył Paweł.

— Zna go pan? — zawołał Tekely i ujął Bernheima za ramię. — Zna pan Brandeisa osobiście?

— Tak jest — odrzekł Paweł. — Dlaczego to jest takie dziwne?

— O, wcale nie dziwne, ale doskonała konseksja!

I udawana ocena Tekely'ego zamieniła się w prawdziwy podziw. „Brandeis; Brandeis!” — powtarzał. Takim tonem biegacz w starożytnych czasach obwoływał zwycięstwo.

— Nie wie pan? Brandeis jest wielkim człowiekiem jutra. Jeden z owych mężczyzn, którzy przybywają ze Wschodu i tu zdobywają szczęście. Od pół roku jest właścicielem dwunastu kwartałów kamienic przy Kurfürstendammie. Zaczyna na całej prowincji zakładać sklepy bławatne i sklepy z towarem mieszanym. Mówią, że zamierza zalać Niemcy domami towarowymi. W każdym małym mieście — dom towarowy. Jego motto brzmi: dla klasy średniej. Rozsyła odezwy nawołujące do ratowania średniej klasy, założył bank i przywiózł pono ze sobą

z Serbii niezwykle bogatą i piękną kobietę. Mogłaby być jego córką. Chodzą oboje na wszystkie premiery. Jest pono rosyjską księżniczką, która uciekła do Belgradu z bajecznymi klejnotami. Miała je już sprzedać, gdy poznała Brandeisa. Od kiedy go pan nie widział? Zadzwoń pan do niego, skoro go pan zna. Albo czekaj pan: może będzie jutro u „Czarno-białych”.

— Kto to są „Czarno-biali”?

— Bal maskowy nowego klubu hokejowego, nie wie pan? Chce pan zaproszenie? Proszę, ma pan pióro? Wpiszę zaraz pańskie nazwisko. Doktor Paweł Bernheim, prawda?

Był świeży, pogodny wieczór, niebo jasne jak wczesnym porankiem, a księżyc tak bliski i ziemski, że wyglądał jak brat dużych, srebrnych lamp łukowych. Paweł błogosławił tego Tekely'ego. „Kilka razy w tygodniu powinno się spotykać takich ludzi. Chłopak ten wszystko wie i przynosi szczęście. Wszystko zależy od tego balu »Czarno-białych«. Tam przeżyję coś decydującego albo już nigdzie. A więc, w drogę

do »Czarno-białych«. Hockey jest sympatycznym sportem!”

XIII

Wielką salę kasyna, w którym miała odbyć się zabawa, zamieniono w labirynt. Nieoczekiwane kącki pomiędzy sztucznymi murami, lożami, schowkami miały na celu nie tylko ukrywać gości, chcących oddawać się tajnym rozkoszom, lecz także utrzymywać ich w ciągłej obawie przed niespodziankami. Nie było bowiem takiego kąta, który by pozornie i podstępnie nie wydawał się bezpiecznym, posiadając jednak przy tym niewidoczny dostęp. Była to architektura sadysty.

Paweł Bernheim stanął blisko wejścia, chciał widzieć wchodzących. Lecz Brandeis nie przyszedł. — Powinienem był to przewidzieć — rzekł Paweł.

— Czy jeden raz ten Sandor Tekely opowiadał mi kłamliwe historie? — Był smutny i pełen goryczy. W tym hockey-klubie jeden

drugiego poznawał i w przebraniu. Co więcej, można było przypuszczać, że wszyscy wiedzieli, w jakich kostiumach ich znajomi przyjdą na bal. Wszyscy obecni mieli tak silne poczucie przynależności do jednej rodziny, że dla kilku zabłąkanych obcych mieli zdziwione i trochę niezadowolone spojrzenie, jakie się ma dla intruzów. Na dwóch przeciwległych estradach muzycy wyładowywali swój temperament. Nie dopuszczali do żadnych pauz. Gdy po ukończeniu tanga przez jedną kapelę, zakwitła nieśmiała cisza, rzucała się na tę niemą chwilę druga kapela, miażdżąc ją pomiędzy bębnami a saksofonami jazzu. Pary tańczyły niezmordowanie. Paweł Bernheim nie widział możliwości spotkania decydującego przeznaczenia, w tym zamkniętym, aczkolwiek przebranym towarzystwie. A przez cały wieczór miał tę nadzieję. Miał na sobie ciemne domino. Kostium ten, nadawał się — tak mu się przynajmniej zdawało — do spotkania z decydującym przeznaczeniem. Lecz przeznaczenie nie zgłaszało się.

Powiedzmy raczej: pozornie przeznaczenie się nie zgłaszało. Gdyż pociągnęła za sobą Pawła Bernheima do kąta dziewczyna w kostiumie haremowym, z piersiami ze złotych łańcuchów, z turkusową szeroką wstążką dokoła czoła, białych, przewiewnych szarawarach i niebieskich sandałach. Pociągnęła go łagodną przemocą, stosowaną przez uczciwe kobiety, chcące jedynie wywołać wrażenie, że naśladują ruch lekkich kobiet z miast portowych. Było już około drugiej po północy i Bernheim nie mógł się spodziewać niczego wielkiego. Oddawał się więc niemej rozkoszy tulenia do siebie ciała dziewczęcia. Kobieta chciała się czegoś napić. Paweł wstał, ażeby jej przynieść szklankę szampana, sprzedawano bowiem przy bufecie szampana szklankami. Czuł, że usiłowała podsycić lekkie podniecenie, w którym się już znajdowała. W jakim celu istnieją bale kostiumowe? Nudzę się, pomyślała. Wszyscy mnie znają, a nie wazą się nawet na żart. Ten młody człowiek jest mi obcy. Nie jest może mądrzejszy od innych, lecz ma tę zaletę, że mnie nie zna.

Wyznała mu więc krótko i stanowczo, że się nudzi. Skarżyła się na trwożliwych mężczyzn, których znała nie tylko po imieniu, lecz także po przezwisku. Pobudziła ambicję Pawła i przypomniała mu szczęśliwe czasy jego pierwszej młodości, kiedy to beztrosko i z widokami na studia w Oxfordzie do tego tylko stopnia uwodził dziewczęta, że nie pomniejszało to ich zdolności do zamążpójścia. Były to jeszcze bądź co bądź niewinne czasy, pomyślał. Wtedy żadna z panien nie byłaby się odnosiła do mnie tak otwarcie. Po matce odziedziczył skłonność zaliczania każdego obcego, bez względu na płeć, do jednej z klas społecznych. Z zachowania dziewczęcia wysnuł wniosek, że nie należy do towarzystwa, które on zwykł był nazywać „pierwszorzędnym”. I na wzór mężczyzn, którzy zdolność stawiania oporu u kobiet oceniają według dochodów ich ojców, przedsięwziął sobie, posunąć się tak daleko, to znaczy, tak blisko, ile to będzie możliwe, przy uwzględnieniu ciemności i odosobnienia miejsca.

Otrzymał zapraszającą odprawę. Pancierz z łusek rozluźnił się. Próby jego były już tak śmiałe, że znajdował się w stadium, w którym zapomina się twarz, a więc indywidualność kobiety, czując tylko bliskość odmiennej płci. Wtem przeląkł się szmeru. Rokokowy książę przeszedł obok, i półszepcem wypowiedział jego nazwisko. Poprosił towarzyszkę, by na niego zaczekała, i poszedł za księciem. Był to Sandor Tekely.

— Winszuję panu pańskiej zdobyczy! — rzekł Tekely.

— Mnie się również zdaje, że jest przystojna — twierdził Bernheim. Był trochę niegrzeczny, dlatego że mu Tekely przeszkodził i dlatego, że mu wczoraj obiecał coś zupełnie innego i ważniejszego.

— Przystojna oczywiście także jest — rzekł Tekely. — Lecz to nie jest główna rzecz. Chyba pan wie, kto to jest?

— Nie mam pojęcia!

— Nie ma sensu tego ukrywać, drogi przyjacielu! Pan bardzo dobrze wie, że to jest panna Irma Enders.

— Enders — zakłady chemiczne.

— Tak jest, wracaj pan szybko.

Paweł Bernheim pośpiesznie wrócił.

Panna Enders oczekiwała go. Nie mogła jednak pojąć przemiany, która najwidoczniej w tym człowieku zaszła. Od kiedy bowiem Paweł znał jej nazwisko, nie był w stanie dotknąć jej ręki. I podczas gdy mu jej twarz przedtem była zupełnie obojętna, zdawało mu się teraz, że jest najważniejszą rzeczą — wiedzieć jak wygląda.

— Ach, stałeś się nudny — rzekła panna Enders nie bez racji. I chciała wstać.

Zatrzymał ją siłą. Jeszcze raz błogosławił Sandora Tekely. Zaczął jej opowiadać. To byłoby jeszcze najlepsze, poruszać językiem, skoro ręce były tknięte paralizem. Czuł, że jego życie zależy od tej panny, i że za żadną cenę — nie powinien wydawać się nudny. Z szacunkiem przed przemysłem chemicznym, któ-

ry u ludzi tego typu, co Paweł Bernheim, zastępuje wszystkie zdolności poważania i oceny oraz ustala wartości i miary; z szacunkiem przed chemią, czarującym jak jej formułki, ogromnym, jak wiara religijnych i przywiązanie wiernych monarchistów do cesarzy i królów lub jak część niektórych narodów dla zmarłych: z takim szacunkiem zaczął teraz Paweł Bernheim obserwować, bawić i zalecać się pannie Enders. Bał się wciąż, że wysiłek mu się nie uda. Nie mógł w żaden sposób odzyskać poprzedniej swobody. Tęsknił za nią. Podobała się pannie Enders. Lecz poruszał się, drżąc, pomiędzy obawą obrażenia majestatu chemii, który nosił w głębi serca, a życzeniem zlekceważenia go, żeby móc odnaleźć potrzebną niewymuszoność wobec córki wielkiego człowieka.

Rzucił się więc, jak to było jego zwyczajem, posiadał bowiem literacką zdolność kłamania — na opowiadanie. Mieszał swoje i obce przeżycia, własne i pożyczone dowcipy i anegdotki, i w ciągu jednego kwadransa zmartwych-

wstał dawny Paweł Bernheim, *causeur*³¹, dy-
letant, znawca historii sztuki. Błękit dawne-
go spojrzenia z lat młodości, który się
cośkolwiek zużył w czasie inflacji — ponownie
tak błyszczał, że panna Enders musiała go za-
uważyć, mimo mroku. Pointy swoich historii
ostrzył w ten sposób, że musiały, jak prawdzi-
we strzały miłosne z mitologii trafić, jeżeli nie
w serce, to do wyobraźni dziewczęcia. A tak
zręcznie umiał stawać się całkiem przypadko-
wo bohaterem swoich historii, że nawet jego
fanfaronady przybierały fizjonomię skromno-
ści.

Był w najlepszej formie. Nie zapominał, po
historiach, które świadczyły o jego odwadze,
opowiadać takie, w których ujawniało się jego
lękliwe człowieczeństwo tak, że panna Enders
wprawiona w podziw bezpośrednią odwagą je-
go czynów, zaczęła również cenić jego szcze-
rość. Dowiedziawszy się z jego opowiadań, że
wychowany został w Oxfordzie, wysnuła mo-
mentalnie i automatycznie wniosek, że musi

³¹*causeur* (fr.) — gawędziarz, dusza towarzystwa. [przypis edytorski]

być spokrewniony z angielską arystokracją — jedyną, która niekiedy imponowała rycerzom chemii. Gdy dowiedziała się, że nosi pospolite nazwisko Paweł Bernheim (uważał bowiem za stosowne podać jej nazwisko), młody człowiek stał się dla niej tajemniczy, co u młodych dziewcząt więcej znaczy, niż „angielski” lub „arystokratyczny”. Dobry przyjaciel ich domu miał ją odprowadzić, ale ona wolała towarzystwo Bernheima. Jej wóz czekający na rogu ulicy i szofer o zaostrzonym techniką profilu lokajów starej rasy wzbudził w Pawle taki zachwyty, jaki u kochanków ubiegłych stuleci mógł wzbudzić jedynie widok podwiązki. A oszołomiony był, gdy w wozie spostrzegł angielskiego charta, okutanego wełnianym pledem — psa o zapachu Oxfordu i angielskiego trawnika. Z wysiłkiem, który mu dech zapierał, stłumił w sobie w ostatniej niemal chwili pietyzm dla sfery towarzyskiej panny i znalazł jeszcze na szczęście tyle siły i przytomności umysłu, że zdążył objąć kibić dziewczęcia, na jakie trzy minuty przed hotelem Adlon.

Tak było istotnie. Paweł był pierwszym mężczyzną, który wywarł wrażenie na pannie Irmie Enders. Dwóch nauczycieli domowych, którzy pewnego razu — liczyła wówczas osiemnaście lat — w ogrodzie, podczas parnych i podniecających dni letnich, przyzwyczajili się przerywać lekcje i nawiązywać stosunki miłosne — w ogóle nie można było brać w rachubę. Byli sługami, których ruchy oderwane były od ich osobowości, i odbywały się niezależnie od nich, mając odległe podobieństwo do wynagradzanych usług. Poza tym istnieli tylko niewinni towarzysze, do tenisa, pływania, saneczko- wania i do tańca. Młody Paweł Bernheim natomiast widział świat, musiał mieć przeżycia, dziwny zawód, o który nie uważała za stosowne zapytać; musiał znać dziwnych ludzi i także z dobrego towarzystwa, mówił o koniach i o samochodach, a twarz jego była sympatyczna... — Irmie wydawała się sympatyczna.

Stała jeszcze raz w kostiumie przed lustrem. Podobała się sobie. Była przyzwyczajona podobać się sobie. Jej nogi wcale nie by-

ły brzydkie! Tego nie można było o nich powiedzieć! Kostki u nóg były za duże, w porównaniu z obwodem łydek i zdawały się delikatne, bo nosiła teraz spodnie. Poza tym wszystko bez zarzutu. Piersi cośkolwiek za wysoko osadzone. Lecz za to dobrze zbudowane plecy, białe i podniecające, tak, że w sukni wieczorowej, gdy plecy były odkryte, zapominało się prawie o piersiach. Ani śladu brzucha. Biodra trochę za szerokie — może z częstej jazdy konnej? Ręce mocno rozwinięte od trzymania rakietki tenisowej, ale długie, a palce proporcjonalne. Jasna twarz niepokąźna, usta, jak na jej smak, za drobne, zwłaszcza, że zęby były za wielkie. Zdradziecki fałd pod brodą — cóż to było? Przecież dwadzieścia jeden lat dopiero? Może następstwo jej wstrętnego przyzwyczajenia schylania głęboko głowy przy czytaniu. Zresztą nie trzeba tyle czytać.

Postanowiła pojutrze — gdy wuj Karol po nią przyjedzie — zrobić aluzję. Może zna to nazwisko? Rodziców, Bogu dzięki, już nie miała. Jej koleżanki Liza, Herta i Ingeborga miały

o wiele mniej wolności. Nie mogły tak rozporządzać autem, szoferem, psem i balami maskowymi. Nie były co prawda indywidualnościami. Podczas gdy Irma — nienawidziła tego imienia, było w smaku przedwojennej generacji — ona, Irma, mimo że Irma, była indywidualnością! Męża mogła sobie sama znaleźć. Miała doskonały smak. Mogła być twarda, pogardzała sentymentem, a jeżeli raziła ją trochę jej nienaruszona prawie dziewiczość, wiedziała, że błąd ten raczej świadczy o tchórzostwie mężczyzn, niż jej samej.

Zadowolona położyła się spać i śniła sen jej generacji: w szarym smukłym sportowym wozie dobrej marki i tak dalej. Tuż przed domostwami jakiejś wsi sen się urwał. Spała bez obrazów i przeszkód do jedenastej godziny.

XIV

Zamiast w czwartek, jak przewidywano, przybył wuj Irmy, pan Karol Enders, dopiero w niedzielę. Gdy żona jego wyrażała pewne zanie-

pokojenie co do bezpieczeństwa Armii w Berlinie, odpowiadał pan Enders: — Nie znasz Armii! W ogóle nie żyjesz w dzisiejszej epoce! Nie znasz dzisiejszych młodych ludzi!

Entuzjasmował się postępem, młodzieżą, nowymi wynalazkami, tempem i sportem. Czuł się w dzisiejszości jak u siebie w domu, i po to jedynie konserwował swoją młodość i swoje zdrowie, żeby dożyć jeszcze jednej, nowszej młodości. Gdy czytał w jednym z popularnonaukowych czasopism, które abonował, a czytał je z utajonym podnieceniem, jak gdyby to była pornografia — wiadomość o zupełnym zamienieniu słońca w Europie Środkowej z końcem trzeciego tysiąclecia, wstrząsnęła nim niemożliwość przeżycia tysiąca lat. A istotnie trudno było pojąć, dlaczego taki człowiek jak on nie miałby żyć wiecznie. Jego inżynierowie i urzędnicy, jego chemicy i pomocnicy, jego werkmistrze³², jego kasjerzy i sekretarze pracowali na niego, aczkolwiek on sam przez cały dzień był zajęty, aczkolwiek on sam chętnie działał-

³²*werkmistrz* — dziś: majster, kierownik działu produkcji. [przypis edytorski]

ności się oddawał i chętnie o niej mówił. Sta-
le był zajęty czymś nie przynoszącym żadne-
go pożytku. Filozofowie świata, poeci i myśli-
ciele, wynalazcy i odkrywcy myśleli za niego
i dostarczali jego mózgowi koniecznej stawy.
Lotnicy przelatywali ocean, kolekcjonerzy re-
kordów odbywali na rowerach podróże doko-
ła świata, to samo inni robili saneczkami lub
łodziami, badacze ginęli w lodowatym morzu,
akrobaci łamali sobie kark w trzykrotnym salto
mortale — ażeby jemu sprawić radość. Z koń-
cem każdego roku czytał z entuzjazmem bilans
nieszczęśliwych wypadków i uważał wszystkich
przejechanych ludzi, idących pieszo, za win-
nych. Poruszać się wolno i nie mieć przytom-
ności umysłu, znaczyło, według niego, popeł-
niać zbrodnię wobec tempa, które ubóstwiał.
On sam chętnie się spóźniał, plótł o błałych
sprawach, przewodniczył niezliczonym konfe-
rencjom, jeździł z miasta do miasta, chodził
do muzeów, zbierał minerały, bywał na kon-
certach, na których grano współczesną muzy-
kę, finansował współczesne domy mieszkalne,

budynki użytecznościowe i teatry, będące terenem niezwykłych eksperymentów reżyserskich. Przed wojną był jednym z najgorliwszych zwolenników cesarza Wilhelma II³³... Podczas wojny był aneksjonistą, mniej z przekonań politycznych, jak z zamiłowania do przewrotów. Po przewrocie³⁴ został jednym z owych demokratycznych konserwatystów, którzy istnieją wyłącznie w Niemczech: mogą być patriotami i kosmopolitami, mogą czuć się zaszczyconym towarzystwem księcia i mieć dla niego uśmiech politowania, mogą uznawać socjalizm i uważać go za utopię, zakładać kolonie robotnicze i usuwać robotników, mieć dobrych przyjaciół Żydów i piastować honorowe urzędy w stowarzyszeniach antysemitycznych; mogą głosować na partię konserwatywną, a nawet figurować jako członkowie na ich liście, a cieszyć się zwycięstwem lewicowców, nie uznawać bolszewików a sympatyzować z Sowietami.

³³*Wilhelm II Hohenzollern* (1859–1941) — ostatni cesarz Niemiec i król Prus. [przypis edytorski]

³⁴*przewrót* — rewolucja listopadowa w 1918 r., w czasie której zdeponowano cesarza Wilhelma II Hohenzollerna. [przypis edytorski]

Znając swego wuja, Irma powinna była wiedzieć, że człowiek o tak różnych zainteresowaniach i zajęciach nie może przybyć punktualnie. Wierzyła w konieczność jego działalności, jego podróży i jego zamiłowań. Ilekroć się spóźniał, uważała to za następstwo nieprzewidzianych przeszkód. W tym podobna była do ciotki. Gdy pan Enders przyjechał w niedzielę, zastał już, na swój sposób, zakochaną Irmę. W międzyczasie widziała się z Pawłem Bernheimem trzy razy. Raz na fajfie³⁵, raz zrobili wycieczkę autem bez określonego celu, a po raz trzeci wybrali się na spacer, wolno, uszczęśliwieni — zamiast zagrać w tenisa, jak się umówili. Nazajutrz mieli zrobić przejażdżkę konną.

Ażeby udowodnić, że jest znawcą młodzieży i że spostrzega u bratanicy najdrobniejsze symptomy zmiany, rzekł pan Enders:

— Jesteśmy zakochani, prawda?

Irma uważała swego wuja za staromodnego, w tym stopniu, w jakim on sam uważał

³⁵*fajf* (daw., z ang. *five o'clock*) — spotkanie towarzyskie, herbatka o piątej po południu. [przypis edytorski]

się za modnego. Raził ją wyraz „zakochana”. Określał stan nieodpowiadający ściśle temu, co odczuwa dzisiejszy młody człowiek. Powtórzyła:

— Zakochana?! — A po chwili: — Może tylko skłonna do zamążpójścia!

— No, więc — rzekł pan Enders — cie-
szy mnie, że jesteś na tyle współczesna, że nie
mieszasz małżeństwa z miłością. Wiesz chyba,
że nie możesz wyjść za byle kogo. Możesz się
jednak w byle kim zakochać.

— Jestem samodzielna, wuju!

— Ale nie w tej kwestii!

Myślał o tych wszystkich ludziach, którzy
ubiegali się przez niego o Irmę. Byli to ludzie
różnych kategorii. Artyści, których on popie-
rał i których z góry uważał za nieodpowied-
nich, łączył bowiem wyobrażenie o artyście z im-
potencją płciową. Nie uświadamiał sobie swych
przesądów, gdyż ciągle się powtarzał i udowad-
niał, czy raczej mniemał udowadniać, iż nie ma
przesądów. „Nie mam nic przeciw ubogim —
zwykł był mawiać — Bóg mi świadkiem, sta-

ram się z biednymi w tej samej mierze obco-
wać, co z bogatymi, lecz ostatecznie, nie moż-
na ich przecież tak ni stąd, ni zowąd przyjąć do
rodziny. Oczywiście, gdyby to był geniusz, ktoś
nieprzeciętny! Eckener, lub Einstein, lub na-
wet, jak dla mnie, Lenin! Ale ktoś! Ponieważ
jednak między niezamożnymi, których znał, nie
widział „kogoś”, stosunek jego do nich był chłod-
ny.

Przez dłuższy czas myślał o tym, ażeby zwią-
zać Irmę z którymś z potomków wysokiej ary-
stokracji, którą niezmordowanie zapraszał, po-
pierał, ugaszczał i utrzymywał. Popierał czaso-
pisma propagujące zjednoczenie Europy, i in-
ne, przygotowujące nową wojnę. I sam te cza-
sopisma abonował. Lecz instynkt, silniejszy niż
gotowość do śpieszenia z pomocą i życzliwość,
gdyż był to instynkt zabezpieczenia swego sta-
nu posiadania — chronił go przed myślą wej-
ścia w związki rodzinne z którymś z jego nie-
zamożnych przyjaciół. Irma musiała wyjść za
bardzo bogatego człowieka. Bogatego właściciela dóbr ze starej rodziny albo młodego prze-

mysłowca. Pan Enders nie wiedział, że pomiędzy bogactwem a ubóstwem istnieje stan, który bądź co bądź wyklucza materialną nędzę. Ludzi zarabiających mniej niż pół miliona rocznie zaliczał do biednych. A gdy znajdował się czasami w takim położeniu, że miał sobie wyobrazić „ubóstwo”; widział wówczas straszne obrazy: syfilityczne dzieci, suchotniczą żonę, materace bez powleczenia, zastawione srebro. „Tak dziś żyje stan średni” — zwykł był dodawać. Do stanu średniego zaliczał również dyrektorów swoich fabryk. Proletariat był, jego zdaniem, zaopatrzony. Po pierwsze, miał socjalizm, po drugie, nie miał żadnych potrzeb, po trzecie, korzystał z opieki społecznej.

— Tylko nie kogoś z klasy średniej! — mówił do Irmy. — Bo nigdy z nędzy nie wybrniesz.

Szczerze był o nią zatroskany. Jego czerwony kark, muskularne policzki, jego cała krępa, zdrowa, kanciasta postać służyła tej trosce. Irma uważała, że wygląda komicznie, gdy się martwi. Śmiała się.

Dobrze wiedziała, że jej wuj będzie robić trudności, i jej sympatia zamieniła się w pogardę, którą przeniosła również na jego fizyczne właściwości. Jego doskonałe zdrowie wydawało jej się niesmaczne, jego ustawiczny entuzjazm dla postępu nazwała hipokryzją. Przez parę sekund patrzyła na niego milcząco, po czym nasunęło jej się słowo: „wór pieniędzy”.

W owo popołudnie, kiedy w towarzystwie wuja i Pawła siedziała w hallu hotelowym przy herbacie, była na przemian podrażniona, czuła, złośliwa i obłudna. Na przeciąg kilku chwil straciła nawet sympatię dla Bernheima, jedynie dlatego, że grzecznie się odnosił do wuja. Gdyby jeszcze była przeczuwała, że Paweł w tej chwili miał tylko tę ambicję: podobać się wujowi! Lecz nie знаła mężczyzn.

O czym mówią dwaj mężczyźni, z których jeden fabrykuje produkty chemiczne, a drugi ma wyłącznie zainteresowanie dla „kariery”? O sztuce. Paweł Bernheim błyszczał jak zwykle. Można było przypuszczać, że sam zbiera obrazy. Któż byłby to przed tygodniem powiedział:

że będzie dziś pić herbatę w towarzystwie Karola Endersa? Świat stał się nagle zupełnie inny. Dlaczego rzucił swoje wygodne mieszkanie? Miałby teraz sposobność do zaproszenia ich na małe przyjęcie. To robi zupełnie inne wrażenie.

— Pan chyba sam zbiera? — zapytał pan Enders, nie bez ubocznej myśli, zorientowania się tą drogą w stosunkach materialnych młodego człowieka.

— Mój ojciec wiele zbierał — kłamał Paweł.

A syn musiał obrazy sprzedać — myślał pan Enders. Ale powiedział coś innego:

— Czy ojciec pański już dawno nie żyje?

— Umarł przed wojną.

— Pan był oczywiście na wojnie.

— Przy jedenastym pułku dragonów! — triumfował Paweł.

A więc zubożała rodzina — kalkulował w myślach wuj. A głośno rzekł:

— Inflacja i wojna zrujnowały wiele rodzin. Niejeden został nagle zepchnięty do trzeciego stanu. Często mieliśmy sposobność patrzeć na smutną walkę inteligencji.

— Inni się znowu wzbogacili — odrzekł Paweł.

— Tak, nowobogaccy — wuj wymówił to słowo raczej kącikami ust niż językiem. Wystarczyło wspomnieć nowych bogaczy, a natychmiast pan Enders popadał w zły humor.

Na wzór wszystkich ludzi, których dziado-
wie byli już dorobkiewiczami, nisko cenił wszyst-
kich, którzy się teraz wzbogacili. O swoim dziad-
ku, który położył podwaliny pod dynastię che-
miczną Endersów, wyrażał się jako o „mężu,
który zaczął dziesięcioma palcami”. Tych, któ-
rzy dziś czegoś podobnego dokonywali, nazy-
wał Karol Enders „ludźmi z łokciami”. Jak gdy-
by łokieć był wzgardzoną częścią ciała, a pa-
lec arystokratyczną. Żeby okazać się godnym
poglądów przemysłowca, jał Paweł opowiadać
anegdotki, których bohaterem był popularny
wówczas Raffke, a które zaczynały się od zda-

nia: pan Raffke przyszedł na *Dziewiątą Symfonię* albo na *Wallensteina*³⁶ do teatru lub na jakąś inną kulturalną imprezę, na których dawni bogacze tak dobrze się znali. Pan Enders lubił anegdoty, jak prawie wszyscy zdrowi ludzie. Umiał szczerze śmiać się przy każdym dowcipie, bo miał złą pamięć i nie szkodziło mu to słuchać dowcipu po raz dziesiąty.

Irma była obrażona i milczała. Żeby nie stracić dla Pawła sympatii, która stała się teraz częścią jej egoizmu, zamieniła lekceważenie, jakie miała dla jego tanich dowcipów, w podziw dla jego zdolności gawędzenia z wujem.

Pod koniec spotkania pan Enders żywił już podejrzenie, że Paweł Bernheim należy do ubogiej inteligencji. Niemniej jednak zaprosił miłego młodego człowieka do D., miasta w Nadrenii, gdzie stał dom rodzinny Endersów.

Paweł miał za tydzień przyjechać do D. Zdawał sobie sprawę, że w ciągu tego tygodnia mu-

³⁶*Wallenstein* — potoczna nazwa trylogii dramatycznej Friedricha Schillera z 1799 r.: *Obóz Wallensteina* (*Wallensteins Lager*), *Piccolomini* i *Śmierć Wallensteina* (*Wallensteins Tod*). [przypis edytorski]

si znaleźć posadę, i to nie byle jaką. Dlaczego nie trzymał się Brandeisa?

Paweł Bernheim zdawał sobie jasno sprawę, że stał przed celem. Mógłby oczywiście udać się do Brandeisa. Do Brandeisa, a co potem? Zwrócić dwa tysiące dolarów i spodziewać się wszystkiego z rozmowy z nim. Może mu Brandeis coś zaproponuje.

Po raz pierwszy od długiego czasu Paweł Bernheim znowu wczesnie wstał. Był czwartek, „dobry dzień”. Przypominał sobie, że ponoć czwartek przynosił mu zawsze szczęście. Już w szkole. Przedmioty, które mu najbardziej odpowiadały, przypadały na czwartek. Maturę zdał we czwartek i do Oxfordu wyjechał w czwartek. I dziś był czwartek.

I słońce świeciło. Na niebie żadnej chmurki. Nie było kurzu. Ani wiatru. Na stanowiskach stały tylko otwarte taksówki. Chciał pojechać taksówką, żeby nie stracić potrzebnej energii w ścisku kolejki podziemnej. Wsiadł, jakby do podróży w szczęście.

Lecz przy Köpenickerstrasse, przed masywnym blokiem, w którym od kilku miesięcy mieściły się biura Brandeisa, ogarnął Bernheima lęk. Lęk, jakiego nigdy jeszcze nie doznał. Jeżeli tu niczego nie osiągnie, to nawet nie pojedzie do D. Zastanawiał się nad wymówką, której użyje wobec Irmy. Stylizowanie listu do niej, teraz już, sprawiało mu ulgę. Rozpraszało jego myśli o najbliższym kwadransie. Pogрузzył się w wyobrażeniach zupełnej porażki, ażeby móc znieść nieznośniejszy o wiele strach przed porażką.

Nie chciał wsiąść do windy, do której go zapraszał portier. Szedł wolno po schodach i liczył je. Jeżeli liczba będzie parzysta, wszystko ułoży się dobrze. Na pierwszym piętrze liczba była nieparzysta. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Na szczęście zawiadamiała tablica, że dyrekcja znajduje się na drugim piętrze. Z obawy, że liczba znowu mogłaby być nieparzysta, zrezygnował z liczenia.

Musiał minąć dużą, niesamowicie słoneczną salę, w której pracowano przy około stu sto-

łach. Biuro na wzór amerykański. Na wszystkich czterech ścianach — olbrzymie, elektryczne zegary; jak na dworcach. Regularny szelest papieru. Stłumiony stukot modnych, cichych maszyn do pisania. Szept rachujących młodych ludzi, którzy zgarbieni nad stołem bezustannie notowali jakieś liczby i manipulowali liniami. Ściany nagie, okna duże, nagie; bez firanek. Brandeis kazał swoich klientów prowadzić przez tę salę.

Paweł był przygotowany na jedną „z najważniejszych konferencji”. „Tu trzeba będzie godzinę lub dwie poczekać. Tym lepiej. Mam dość czasu, by się uspokoić”.

Ale już po paru minutach zawezwano go do Brandeisa.

Brandeis siedział w małym, przyciemnionym pokoju. Goście, wchodzący z bolesnej jasności, w pierwszej chwili niczego nie widzieli. Sięgnął ręką do ściennej szafki, po koniak, kieliszki, cygara, papierosy i zapalki. Ustawił wszystko ostrożnie przed Bernheimem; bez-

szelestnie, jak gdyby jego silne, owłosione dłonie, stół, flaszka, kieliszki i pudełka były z akсамitu.

Napełnił dwa kieliszki.

Bernheim wypił koniak jednym haustem. Zły był, że Brandeis tylko nadpił.

— Piję bardzo pomалу — rzekł Brandeis.

— Mam stary dług — zaczął Paweł.

— Suma jest tak nieznaczna — przerwał Brandeis — że byłoby utratą czasu mówić o niej. Muszę pana przeprosić. Powiniennem był pana odwiedzić. Pan mógł przypuszczać, że celowo unikam spotkania z panem. Wcale nie! Zaszła w międzyczasie konieczność uregulowania i rozszerzenia moich interesów. Byłem zajęty. Cieszę się pańską wizytą. Lecz spodziewam się, że nie odwiedził mnie pan z powodu owej sumy.

— Nie, panie Brandeis. Powiem otwarcie: przyszedłem z prośbą.

— To mnie zaszczyca.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Żaden z nich nie ruszył się. Z daleka dolatywał świegot ptaka.

Oczy Pawła przyzwyczały się do mroku panującego w pokoju. Rozróżnił ciemnoczerwony kolor dywanów i rdzawobrunatne obicie drzwi po lewej stronie. To nie były drzwi, którymi on wszedł. Mrok pochodził z ciemnych okiennic za oknami, które jednak były otwarte. Delikatny wietrzyk hasał po pokoju.

Zdawało się, że już nigdy nie uda się rozpocząć rozmowy na nowo. Brandeis sięgnął po butelkę.

— Straciłem większą część mego, naszego majątku — zaczął Paweł. — Muszę obejrzeć się za zajęciem. Nie posiadam więcej niż 25000 marek.

— Suma nie jest mała — rzekł Brandeis. — Zresztą, jak kto na to patrzy. Może być mała i duża. Dla pana jest pewnie mała. Mógłbym panu może dać radę, dać radę... —

— Nie, panie Brandeis; jest za późno. Muszę w tym tygodniu liczyć na stanowisko, na nazwisko, na pozycję.

Brandeis znowu wziął łyk koniaku. Potem patrzył do kieliszka. I jak gdyby tam wyczytał przyszłość, rzekł wolno:

— Pan chce się zapewne ożenić? — wymówił to słowo bardzo miękko.

Paweł skinął głową.

— Dobrze, panie Bernheim, rozejrzę się.

Paweł wstał. Brandeis podprowadził go do drzwi. Podał mu rękę.

— Czy mógłby mi pan podać nazwisko tej pani?

— Nie jestem jeszcze zaręczony — rzekł Paweł, wahając się. Obawiał się zwolnić rękę z miękkiego, ciepłego uścisku Brandeisa. — Ale proszę pana o dyskrecję. Ubiegam się o pannę Enders.

— Enders, chemikalia?

— Ten sam.

— Napiszę do pana.

Paweł odszedł. Brandeis zanotował sobie na jednej ze schludnych, czworokątnych, lśniących kartek, leżących na biurku i przypominających opłatki, co następuje:

„Enders — Bernheim”.

XV

Paweł wstąpił do restauracji. Nie mógł jeść. Stan, w którym znajdował się przed wizytą u Brandeisa, miał więc teraz być stały. Kto wie, jak długo trzeba będzie czekać na odpowiedź! Następne dni i noce będą zatrute. Przydałby mu się na ten czas dobry przyjaciel, brat, matka. Absolutnie nie mógł pójść do domu. Wałęsać się po ulicach — to byłoby najlepsze. Jak bezdomny.

Po raz pierwszy widział Paweł granice swego majątku. Widział się bez przytułku i gnany ku brzegom nędzy. Dotychczas otaczał go ocean bogactwa. Wystarczało mu znać dokładnie rozmiary swego majątku, ażeby już widzieć jego kres. Na przeciąg kilku minut widział jasno, że jego nadzieje, jego niezwykle zdolności, jego wdzięk i pewność, że to wszystko było następstwem jego materialnego zabezpieczenia, owocem bogactwa, jak rośliny w ogrodzie jego

ojca. Zdawało się, że Paweł Bernheim, dzięki spotkaniu z Irmą i jej wujem oraz dzięki widokom wejścia w związki małżeńskie z przemysłem chemicznym, poznał dopiero całą głębię goryczy, jaką na tym świecie daje posiadanie małej sumy. Jego dwadzieścia pięć tysięcy marek zdawało się istotnie tracić na wartości, gdy nagle uczuły w pobliżu olbrzymie sumy Enderesa. Wizyta u Brandeisa upokorzyła go. Paweł Bernheim należał bowiem do tych ludzi, którym się zdaje, że nic na tym nie tracą, gdy proszą o miłość lub przyjaźń, którzy jednak ponoszą wyraźną stratę na godności, gdy zmuszeni są prosić o materialną pomoc. Pomiedzy wartościami, które w młodości raz na zawsze poklasyfikowali, pieniądze mają wyższą rangę niż serce i życie. Łatwiej przyjęliby krew, którą by im ktoś darował dla uratowania życia, niż pożyczoną lub darowaną kwotę. Paweł zaczął nawet stopniowo nienawidzić Brandeisa, nienawiścią zastępującą wdzięczność i przybierającą jej nazwisko i jej oblicze.

Paweł Bernheim widział swoją własną twarz między twarzami bezimiennych zmarłych w witrynie na policji. Przypomniawszy sobie ów wieczór, kiedy to z kaprysu dał się aresztować i załadować do ciężarowego auta. Było to jedyne spotkanie z drugim światem, bez praw, bezdomnym, nocnym światem. Jego własna przyszłość przybierała zniszczoną powierzchowność nieznanych zmarłych w witrynie. Jako chłopiec igrał niekiedy z dobrowolną śmiercią, trzymając przy piersi ostry koniec noża. Czynił to z próżności i w nadziei, że jego śmierć wywoła przewrót w domu, w mieście; a może i w świecie. Słyszał już lamentujących rodziców, mowę wygłaszaną na jego grobie przez nauczyciela, trwożliwe i pełne czci rozmowy towarzyszy.

Niezmierne współczucie, które wówczas dla siebie odczuwał, opanowało go dziś ponownie. Chciał nad sobą płakać i chciał, aby nad nim płakano. Czułe uczucie koleżeństwa gnało go w pobliże żebraków na rogach ulic, i w pobliże ludzi, na których twarzach wryte były głód, bezdomność, zniszczenie. Ani na chwi-

lę nie przyszło mu na myśl, że mógłby swoich nowych i tak nagle pozyskanych przyjaciół uczynić bogatymi i pozbawić trosk jedną dziesiątą swego majątku. Paweł Bernheim nie widział różnicy między żebrakiem wyciągającym rękę po jałmużnę, a człowiekiem szukającym u Brandeisa „towarzyskiej pozycji”, celem ożenienia się z milionerką.

Postanowił pójść do domu z niewyraźnym postanowieniem poczynienia jakichś przygotowań do ewentualnego zakończenia ze wszystkim. Wyobrażał sobie, że byłoby przyjemnie wyjąć z szuflady rewolwer, uporządkować korespondencję, może list napisać i wykonać wszystkie tradycyjne czynności i kroki kandydatów na samobójców. Cieszył się widokiem na tajemniczość godziny, w której według ogólnie uznanego wzoru siedzi się przy biurku, zegnając się ze światem. Godzina, której subtelny zmierzch i rzewny blask podobny jest jedynie do wieczorów zimowych przy kominku, zanim zapala się inne światło.

Stał znowu przed swoim domem i widział przez kratki swej skrzynki na listy jasny list.

Odwlekał wyjęcie listu. Zdawało mu się, że nie spłacił jeszcze całego haraczu rozrzewnienia. Nie wykosztował jeszcze do dna rozkoszy dobrowolnej agonii. Nie wierzył wprawdzie szczerze w ostateczną śmierć, lecz ludzie jego typu czują przez kilka godzin konieczność przesadzania swego nieszczęścia. Nie chcą, by im przeszkadzano, ani by ich pocieszano. Rzekłbyś: jakaś sprawiedliwość zmusza ich do pokuty za beztroskie życie, jakie dane im jest wieść. Jak gdyby los zsyłał im „kryzys”, ażeby przynajmniej mogli poznać nędzę, zdarzającą się jedynie w ich wyobraźni. Paweł Bernheim byłby sobie życzył cierpieć jeszcze dłużej, zbliżyć się na taką odległość do ostatecznej śmierci, ażeby ratunek musiał być dziełem nieba, lub przynajmniej, ażeby robił wrażenie dzieła niebios. List ten, obawiał się, mógł być ratunkiem; a przyszedł za wcześnie. Był za tani i za prosty. List ten za szybko zażegnał kryzys. To było jasne: ubliżył sobie, udając się do Brandeisa. Swo-

je małżeństwo, swoje życie i całą przyszłość, o której nie wątpił, że będzie wielka i świetna, miałby do zawdzięczenia Brandeisowi. I może dlatego tylko, to znaczy: ze wstydu i podrażnionej próżności, uciekł się do myśli o śmierci. Wszelako, jak wielka była jego duma i jego próżność, znamiona te nie były wystarczające, żeby Paweł Bernheim przekładał dobrowolną śmierć ponad niezależne życie! Wystarczały akurat jeszcze na rzewność nastroju samobójczego.

Zdaje się jednak, że ludzie tego pokroju nie mogą nawet znieść wyimaginowanego nieszczęścia. Zdaje się, że duchy opiekuńcze, które o każdej porze otaczają Bernheimów, czuwają nad tym, ażeby wielka nędza i wielkie nieszczęście omijały ich wychowanków. Ażeby życie ich rozgrywało się w umiarkowanej sferze, w której zimy są łagodne a lata chłodne i w której katastrofy mają oblicze lekkich zaburzeń. Nigdy Pawła Bernheima nie miało opuścić uśmiechnięte błogosławieństwo, czuwające nad jego ojcem, jego domem, jego dzieciństwem, jego mło-

dością, jego Oxfordem i jego talentami. Spokojne szczęście trzymało go w niewoli. Było mu przeznaczone nie opuszczać nigdy tej sfery, gdzie zamiast korzystać z życia, ma się przyjemności, gdzie zamiast cieszyć się, przeżywa się uciechy, gdzie zamiast być nieszczęśliwym, ma się pecha i gdzie lekko się bardzo żyje, bo się jest bardzo próżnym.

Otworzył skrzynkę na listy. Otrzymał list od Brandeisa. Zawiadomienie, że Brandeis byłby rad, gdyby mógł Pawła Bernheima zaliczyć do swoich dyrektorów. Potrzebuje mnie, kombinował Paweł, bo spodziewa się nawiązać stosunki z Endersem. Nie ceni wcale ani mnie, ani mojej energii, którą w liście nazywa ceną. Mam po prostu być jego narzędziem. Nie chcę!

Nie wszedł już do swego pokoju. Z listem w rękę zawrócił. Lecz gdy znowu stał na ulicy, list zaczął tajemniczo działać. List przepędził cienie śmierci, które od kilku dni leżały na Pawle Bernheimie. Obojętnie jak dotąd mijał Paweł żebraków i zrozpaczonych. Nie byli już

towarzyszami jego niedoli. Poszedł, jak to lubił, do hallu dużego hotelu. Wmawiał sobie, że to jest jedyne miejsce, gdzie z godnością można być nieszczęśliwym. Nawet gdy zapadł się w szeroki trzeszczący fotel skórzany, był przekonany o tym, iż należałoby odmówić Brandeisowi i poszukać innego wyjścia. Ale gdy kelner tylko przy nim stanął, wierzył Bernheim, że zaczyna ujarzmić swój los. Ba, podczas zamawiania — zamówił szklanekę whisky, napój pewności siebie, światowej sztuki życia, anglosaskiej przedsiębiorczości — miał Paweł Bernheim uczucie, że zwyciężył, jak gdyby usłużność kelnera była równoznaczna z uległością świata. W tej hali, gdzie przechadzali się bogaci, zaabsorbowani podróżnicy, z kieszeniami napełnionymi niewyczerpaną zda się ilością banknotów, zdawał się Paweł poznawać swoją prawowitą ojczyznę. Jeszcze nie upłynęło pół godziny od jego przygotowań do samobójstwa, a już nie rozumiał swojej rozpacz. Tak jest, przewyciężył Brandeisa. Podziwiał swoją własną przebiegłość. Nikt inny nie byłby przeko-

nał Brandeisa, jednego z najmądrzejszych ludzi na świecie. Chodziło o to, żeby podziwiać własną mądrość, i dlatego nie zawahał się Paweł uznać rozumu Brandeisa. Zapomniał o strachu, z jakim wchodził do Brandeisa. Zapomniał o tym, że liczył stopnie. Nie myślał już o tym, że Brandeis mógłby go użyć jako narzędzia. I gdy zanurzył w szklance pierwszą słomkę, miał Bernheim znowu swoją dawną, zarozumiałą i znużoną minę, kokieteryjną, o modnym profilu, miękkie włosy zamasyżacie nad czołem uczesane, piękne, zielone oczy utkwione w powietrze i zwycięską przyszłość.

Bez słów zniósł swój fikcyjny wyrok śmierci. Nie mógł jednak samotnie znieść fikcyjnego zwycięstwa. Brakowało doktora Königa. Doktor König był szarmanckim słuchaczem, ideałem przeciwnika. Znikł jednak od wielu tygodni, znikł w tym Berlinie, którego z pewnością nie opuścił, w którym człowiek mógł utonąć jak w piasku pustyni. Paweł Bernheim postanowił odwiedzić znowu Sandora Tekely. Poszedł do węgierskiej restauracji.

Tekely miał stałe miejsce za parawanem, lecz naprzeciw lustra, w którym odbijał się bufet i wejście. Uważne lustro. Tekely wybrał to miejsce z obawy przed wierzycielami, szukającymi go również w restauracji. Zatrzymał to miejsce z wdzięczności, chociaż obecnie nikt go się nie obawiał, oraz z pietyzmu, jaki odczuwa niekiedy amerykański miliarder dla starych miejsc, gdzie jako kolporter rozpoczął swoją drogę. Tak mógł więc momentalnie zauważyć wchodzącego Pawła Bernheima. Tekely wstał i podszedł do gościa. Poruszał się w tej restauracji ze swobodą właściciela. — Czy można gratulować? — Jak gdyby od kilku dni czekał na zjawienie się Bernheima, ażeby zadać mu to pytanie.

— Jeszcze nie dziś!

— Ach, wiem, pan czeka na odpowiedź Brandeisa.

— Otrzymałem ją wprawdzie już — rzekł Paweł Bernheim i żałował, że przyszedł do Tekely'ego. Tak jest, to była bezczelność ze strony tego Tekely'ego — wiedzieć o wszystkim.

Nie użyczył Bernheimowi tej przyjemności, by mógł wszystko pomału opowiedzieć. Doktor König byłby się inaczej zachował. I żeby móc szybko zapomnieć o tym, że nie można było temu Tekely'emu odmówić pewnej zasługi w szczęśliwym zrządzeniu losu, dodał Bernheim natychmiast: — Gdybym nie był pana wówczas przypadkowo spotkał... — jestem panu właściwie wdzięczny!

— O, to nie był przypadek — odpowiedział Tekely, przewidując niewdzięczność — pan odwiedził mnie przecież celowo! Chciałbym pana prosić, ażeby pan wspomniał moje nazwisko, gdyby pan przypadkiem mówił z panem Brandeisem o owej gazecie dla domów towarowych, o której panu ostatnio opowiadałem.

— Tak, tak — przyrzekł Bernheim szybko i popatrzył na zegarek, ażeby przygotować wczesne odejście.

— Musi pan odejść — rzekł Tekely, który wiedział, że nie należy zatrzymywać śpieszącego się człowieka, gdy zabiegamy o jego przyjaźń. — Ale niech pan nie zapomni!

— Nie! — rzekł Bernheim zmieszany i poszedł. Znowu miał to przykre uczucie, że uległ silniejszemu; zaczął obawiać się zależności od tego Tekely'ego. Był niezadowolony, jak zawsze, gdy bezsilny, zmuszony był odegrać poniżającą, nieprzyjemną rolę. Jak często to się zdarzało! Na szczęście zapominał o tym szybko. W wiernej pamięci zachowywał tylko sceny, w których odgrywał świetną rolę. Posiadał zdolność rozmyślenia nad przykrymi sytuacjami w tak czarujący sposób, że po kilku dniach przybierały trochę niepodobną, lecz wesołą fizjonomię. Jedyne okropne przeżycie, którego nie mógł zapomnieć było owo spotkanie z kozakiem podczas wojny. Gdy dostarczał nowego dowodu słabości, wyłaniało się, jak stara rana wciąż się odnawia, gdy ją zadraśniemy. I teraz, gdy pożegnał Węgry, myślał o Nikicie. Przez chwilę zatopił się w bolesnej wizji, że ów Nikita wiecznie trwa, że przybiera różne kształty, że jest identyczny z Węgrem, identyczny z Brandeisem, a nawet z panem Endersem, wujem Irmy.

Paweł szukał lekarstwa przeciw tej wizji. Znał z doświadczenia różne środki na przygnębiające myśli, jak chory, który wypróbował już wszelakich leków przeciw napadom bóleści. Wsiadł do auta, pojechał do domu, spakował pośpiesznie ręczną walizkę i udał się na dworzec. Sam sobie gratulował tego pomysłu, ratującego go przed bezsenną nocą. Wyjechał do matki.

Pani Bernheim złąka się, gdy ujrzala Pawła o tak wczesnej porze. Stała w kuchni, doglądając, jak dziewczyna przygotowuje śniadanie. Paweł przypomniał sobie, że dawniej, za życia ojca, dostawała śniadanie do łóżka. Siedziała wtedy wyprostowana, oparta o cztery poduszki pod bladoniebieskim baldachimem i przybierała swoją „królewską postawę”. Szeroka taca sięgająca aż do piersi, ukrytej za chmurą koronek. W na wpół ciemnym pokoju, do którego słońce poranne wpadało przez kraty żaluzji wąskimi jaskrawymi pasmami, unosiła się delikatna woń wody kolońskiej i cytryny. Wspomnienie tych poranków było bolesne, jak wspomnienie straconego szczęścia. Obecnie matka

stała w szlafroku z brunatnego aksamitu. Szlafrok był w górze rozpięty i matka musiała przytrzymywać brzegi rękami. Od wybuchu wojny, od kiedy zaczęła oszczędzać, uważała codziennie rano, żeby dziewczyna nie zużywała za wiele kawy.

— Anna weźmie jeszcze jedną łyżkę kawy, ale nie stołową łyżkę! — zawołała, gdy Paweł nadszedł. Mimo że złąkała się nieoczekiwanego przyjazdu, cieszyła się, że syn nie przyjechał o pół godziny później. Trzeba by było jeszcze raz zapalić gaz.

Na jej skroniach leżały dwa pasma siwych włosów, jak dwa strumienie trosk i dwa trakty starości. W białym świetle kuchni, bijącej bezlitosnym, twardym i zimnym blaskiem kafli, twarz pani Bernheim była blada i zniszczona, jak gdyby można było rozebrać ją na poszczególne części — mocny, kwadratowy podbródek oderwać od warg, nos od policzków, czoło od głowy. Siwiejące brwi zdawały się starsze od włosów, jak gdyby pochodziły z dawniejszych czasów niż oczy, w których dawne jesz-

cze mieszkało piękno, bezcelowe, jak tolerowany ledwie lokator, leżały pomiędzy woreczkami nabrzmiętymi od łez i snów. Głos matki wydawał się Pawłowi o parę stopni zbyt przenikliwy, w pamięci miał łagodniejszy. Jak gdyby wczesny ranek był powodem tej ostrej jasności i jak gdyby wynikała z twardego połysku kafli. Pod garnkiem na kuchni płonął gazowy, zimny, niebieskawy ogień, jak za szklaną szybą. Paweł nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek o tej godzinie był w kuchni. Było to małe odkrycie. Miał wrażenie, że odkrył ślad zatroskania tego domu, źródło wszystkich zmartwień — kuchnię.

Pani nadradczyni przyszła później, o wiele później. Rano szła o lasce, stopniowo przyzwyczajając się do chodzenia, do ruchów, których domagał się dzień, po bezruchu nocy. Cały ciężar jej starego ciała opierał się na lasce; nogi tylko szły za ciałem. Była dla Pawła uosobieniem smutku, który spadł na ich dom. Bał się jej.

Pośpiesznie zjadł śniadanie i poszedł do miasta. Miał wrócić dopiero po południu. Wydawało mu się niemożliwością brać udział w przedpołudniowej krzątaninie domowej. Podczas gdy bezmyślnie, zmęczony, niewyspany posuwał się pustymi ulicami, wpadło mu na myśl, że matka mogłaby w tym dniu umrzeć. Wyobrażał sobie zmarłą matkę i nie czuł smutku. Usiłował wytłumaczyć sobie tę obojętność i przyłapał się na tym, że życzył sobie śmierci matki. Wykluczone, by mogła żyć razem z Irmą. Wykluczone, by Irma zamieszkała w tym domu.

Wrócił do domu przed wieczorem. Zawiadomił matkę o swoich zaręczynach, o mających się odbyć zaręczynach z Irmą Enders. „Enders” — rzekła matka i podniosła lorgnon, jak gdyby mogła z twarzy Pawła wyczytać pochodzenie rodziny Endersów. Nie, nie była zachwycona. Nie знаła tego nazwiska.

— To są najbogatsi ludzie w kraju — objaśniał Paweł. Myślał przy tym o skąpstwie jego matki. Mylił się. Syn jej należał do innego działu, poruszał inną namiętność. Po raz

pierwszy od wielu lat mogła pani Bernheim wygłosić zdanie:

— Pieniądze to nie wszystko, Pawle!

Był zaskoczony.

— To jest wielkie szczęście, matko! — rzekł Paweł.

— To można powiedzieć dopiero po dziesięciu latach — odpowiedziała z mądrością, która nie od niej pochodziła, a która zdawała się wypływać z uczuć matczynych w ogóle.

Paweł przyrzekł przyjechać z narzeczoną. — Przywieź ją! Przywieź ją! — rzekła pani Bernheim.

Lecz nie przywiózł jej. Ani teraz, ani później.

W międzyczasie zaszło coś nowego.

XVI

Amnestia umożliwiła Teodorowi Bernheimowi i jego przyjacielowi Gustawowi powrót.

Przyjechali do Niemiec w ponure przedpołudnie, ze słonecznych i jasnych Węgier, gdzie

wiosna już była zadomowiona i z otoczeniem oswojona. Sama przyroda czuwała nad tym, ażeby w powracających do kraju odżyła tęsknota za przyjemnym wygnaniem. Gustaw miał czerwoną, opaloną twarz i zdrowe, szybkie, pewne siebie ruchy. Był tylko posłuszny nakazowi dobrej formy, skoro wrócił do Niemiec. Teodor był blady i roztargniony, ręce miał niepewne, a okulary stłuczone. Odczuwał je jako uszkodzony organ, a nie jako popsuty instrument. Na jego słabych barkach spoczywał okrutny ciężar zmiany: powrót do straconej ojczyzny. W takim położeniu mężczyzna i Niemiec powinien być być rozrzewniony i wesoły, zgorzkniały, ale w pełni sił i nadziei. Jaka moc zobowiązań! Od czasu do czasu spoglądał Teodor na towarzyszy podróży, ażeby zobaczyć, czy wywiera na nich wrażenie. „Ze wszystkich tych ziomków — rzekł do Gustawa — nikt tyle nie przeszedł, co my. Idą za swoimi interesami, jak gdyby nic się nie stało, każdy z nich myśli o swoich zasługach, nikt o Niemczech”.

— Nie pleć! — odpowiedział Gustaw.

Teodor milczał. Od dawna już, od dnia, w którym opuścili kraj, nienawidził swego towarzysza Gustawa. Gustaw właściwie spowodował tę ucieczkę. Gustaw pchnął go do zbrodni i na wygnanie; Gustaw dobrze się czuł na obczyźnie. Gustaw był obojętny; Gustaw nie miał żadnej myśli, Gustaw nie czytał książek, Gustaw nie lubił rozmowy, Gustaw wyśmiewał Teodora; Gustaw nie miał wobec Teodora respektu. Gdyby Teodor miał możliwość odrwania swoich uczuć od swego światopoglądu, byłby musiał przyznać, że bardziej nienawidził swego towarzysza partyjnego niż swoich politycznych przeciwników. Musiał jednak spotkania, uczucia, wydarzenia pogodzić ze swoim przekonaniem, z Niemcami, Żydami, ze światem, z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami; z Europą. Z tych to względów trzymał się Gustawa. Z tych to powodów wciąż podejmował dyskusję, na którą Gustaw miał wieczną odpowiedź: „Nie bredź!”. Gdyby Gustaw nie był „chłopem z kośćcami” — myślał Teodor —

wzgardziłbym nim. A że Gustaw był „chłopem z kośćcami”, musiał go uznać.

Na dworcu pożegnali się. Tu kończyło się wygnanie. Wspólnota przekonań i życie na obczyźnie nie było jednak tak silne, jak myśl o domu rodzinnym, która ich opanowała w chwili, gdy oddali bilety kolejowe. Miasto rodzinne płynęło na ich spotkanie. Składało się z tysiąca nienazwanych prywatnych zapachów, niemających nic wspólnego z polityką ani z narodem, który tu mieszkał; ani z rasą jego obywateli. Składało się z tysiąca nienazwanych, lecz określonych szmerów, które w pamięci ich żyły zmieszane z dzieciństwem aż do tej godziny. Utajone dotychczas, odpowiedziały nagle i z siłą, siostrom swoim, szmerom miejskim. Miasto wysyłało im naprzeciw jedną znaną ulicę po drugiej, a na tych ulicach nie było niczego publicznego, żadnego ideału, poglądu, namiętności, niczego poza prywatnym wspomnieniem. Zdrowszy Gustaw poddał się im, zapomniał, dlaczego ojczyznę porzucił i dlaczego obecnie wraca. Teodor jednak uważał, że nie odpowia-

da jego godności zajmować się teraz prywatą. Stawiał opór wspomnieniom, szmerom, zapachom. I teraz nawet udało mu się uważać siebie za reprezentanta życia publicznego, swój powrót za obowiązek narodowy, miasto rodzinne za ziemię zroszoną krwią niewolników. A gdy wreszcie skręcił w ulicę, skąd widoczny był ich dom, był tylko ciekaw zobaczyć matkę i poznać troskę, spowodowaną jego długą nieobecnością; tylko ciekaw.

Stała na progu, oczekując go. Zapomniała wszystkie sceny i wszystkie godziny, w których jej matczyna troska z powodu nieudanego syna zamieniła się we wrogię, a mimo to troskliwe szyderstwo. Widziała powracające dziecko, nic więcej. Godzina jego powrotu uderzała lekko o godzinę jego urodzin, dotykała dawno przebrzmiałych bólów w łonie i sercu.

Trzymała go w objęciach, nie całując go. Głowa Teodora wisiała nad plecami matki. Do jego oczu napłynęły łzy, serce biło i z zaciśniętymi zębami, z szeroko otwartymi oczyma za pękniętymi szklami, usiłował trzymać się „po

męsku”. Rozczulenie ani miłość matki nie były po jego myśli. Byłoby mu przyjemniej, gdyby go matka była przyjęła tak chłodno, jak go niegdyś chłodno pożegnała.

— Schudłeś — rzekła matka.

— Jasne — odrzekł, nie bez ukrytego wyrzutu w głosie.

— Posyłałiśmy ci za mało pieniędzy! — biadała matka.

— Otóż właśnie! — potwierdził.

— Biedne dziecko! — zawołała.

— Tylko bez frazesów, matko! Zamów dla mnie kąpiel!

— Powiedz parę słów, Teodorze; jak tam żyłeś?

— Jak pies, w głupim kraju, a pluskwy — coś obrzydliwego!

— Pluskwy?! — zawołała pani Bernheim.

— I wszy! — uzupełnił Teodor z satysfakcją.

— Na miłość Boga! Teodorze, musisz natychmiast przebrać się.

Poszła do kuchni. „Anno, zrób kąpiel; dzie-
sięć polan wystarczy; ale przynieś jeszcze węgla
z piwnicy, masz klucz”. Od wojny pani Bern-
heim nie oddawała nigdy służącej kluczy do
piwnicy.

Poszła z synem do łazienki, nie chciała zo-
stawić go samego. Czekwała, póki się nie roz-
bierze, czyhała na sposobność, ażeby mu po-
móc. Była szczęśliwa, gdy spostrzegła, że ode-
rwał mu się rękaw od koszuli. „Natychmiast
ci to przyszyję — rzekła. — A gdzie reszta
koszul?” Z rozkoszą czekała na nagość syna.
Zdawało jej się, spodziewała się, że odkryje ja-
kiś defekt cielesny, który równie dobrze moż-
na by wytłumaczyć nieobecnością w domu, jak
odpruty rękaw. Widziała nagiego syna, po raz
pierwszy od dzieciństwa leżał przed nią nago
w wannie. Miał tylko okulary na nosie, któ-
rych nie chciał zdjąć, jak gdyby były ostatnią
zasłoną.

— Ależ schudłeś! — rzekła pani Bernhe-
im.

— I chory jestem! — dodał syn.

— Co ci dolega?

— Płuca i serce!

— Czy miałeś przynajmniej wygodną podróż?

— Wielu Żydów w pociągach. Człowiek nigdzie nie jest sam w Niemczech!

— Bądź rozsądny, Teodorze, zostaw Żydów w spokoju. Twoi przyjaciele wmówili ci takie rzeczy!

Po kąpieli udał się Teodor do swego pokoju. Otworzył drzwi. Nie miał pojęcia, że jego pokój jest odnajęty. Będąc krótkowzrocznym, nie spostrzegł natychmiast pani nadradczyni. Leżała na kanapie, mała, chuda, owinięta szalem i wydała cichy okrzyk. Jak puszczyk.

— Kto pani jest? — zapytał Teodor.

— Proszę opuścić mój pokój! — zawołała pani nadradczyni.

Teodor cofnął się. Chciał tylko zobaczyć pistolet, który przez zapomnienie zostawił w domu.

Zwrócił się do pani Bernheim: — Muszę mieć mój pokój!

— Nie mamy pieniędzy, Teodorze. Odnajęty jest na rok.

— Muszę mieć mój pokój! — powtórzył.

— Uspokój się, Teodorze! — błagała matka.

Nagle upadła na krzesło, nakryła twarz rękami i zaczęła cicho szlochać. Teodor widział, jak drżała. Nieznana siła ciągnęła go do matki. Zrobił krok naprzód i zatrzymał się.

„Mógłbyś okazać się słabym! — powiedział sobie. — Wszystkie kobiety płaczą, gdy są stare!” — Zawrócił znowu, podszedł do okna i wpatrywał się w ogród.

Nagle odwrócił się i zapytał:

— Gdzie będę spał?

— Anna będzie spała w kuchni, a ty w pokoju, w którym mieszkał stangret.

— A, tak! — rzekł Teodor. — Pawła nigdy nie zakwaterowałabyś w pokoju stangreta. Załuję, że wróciłem do domu. Ale czekaj! czekaj!

Po południu poszedł do Gustawa.

Gustaw siedział w gronie rodziny, w gronie swoich zamężnych sióstr i braci, którzy wszyscy byli listonoszami. Unosił się zapach kwaśnej kapusty i świeżo palonej kawy. Właściciel sklepu z papierami gotów był Gustawa przyjąć. Za tydzień Gustaw obejmie posadę, będzie miał zawód. „On nie chce więcej znać polityki” — rzekł jeden z trzech listonoszy. Siedzieli wszyscy w rozpiętych mundurach. Czapki wisiały na wieszaku przy drzwiach, jak trojaczki.

— Po roku będzie mógł pójść na uniwersytet. Będzie oszczędzać. Będziemy wszyscy oszczędzać! — rzekł drugi listonosz.

— Nasz ojciec też nie zajmował się nigdy polityką — dodał trzeci.

— Nie chcemy nic wiedzieć o polityce! — oświadczyła matka Gustawa, surowo patrząc na Teodora.

Teodor zrozumiał, że nie cieszy się sympatią rodziny przyjaciela. Każde słowo skierowane do niego miało jeszcze ukryty, złośliwy sens, którego nie mógł odgadnąć; którego się jednak obawiał. Ci mali ludzie tak się do nie-

go odnosili, jak gdyby uważali Teodora za odpowiedzialnego politycznego doradcę Gustawa. Ten zaś siedział między braćmi i siostrami, zupełnie apolityczny i podobny do nich. Świąteczny zapach z kuchni otaczał ich wszystkich w równej mierze i przysparzał im wszystkim taniej, ograniczonej i oczywistej przyjemności. Teodor pojął, że stracił wszystkich towarzyszy. Gustaw nie miał już żadnych poglądów politycznych. Chciał prowadzić pocziwy, drobno-mieszczański żywot.

„Zła rasa!” — pomyślał Teodor, wciągając cienkim, perkatym nosem powietrze, jak gdyby coś węszył. Pożegnał się szybko. Gdy był na dworze, zdawało mu się nagle, że samotność, którą zawsze tak lekko znosił, ciężka była jak przytłaczający głaz.

„Będę pilny, będę uczyć się, zdobywać wiedzę — postanowił. — Gustaw może zostać listonoszem, jeśli o mnie chodzi”.

W domu podała mu matka krótki list Pawła. W kilku zdaniach, brzmiących jak urzędo-

we zawiadomienie, donosił Paweł o swoich zaręczynach z Irmą Enders.

— Ten człowiek ma szczęście! — zauważył Teodor.

— Miejmy nadzieję! — rzekła matka.

— Karierowicz! — mruczał Teodor.

Pani Bernheim wyszła z pokoju. Za ledwie osiem godzin minęło od przyjazdu Teodora. A już cierpiała z powodu jego obecności. Był jak stary ból. Teodor wrócił jak ból reumatyczny, który się straciło i zapomniało na parę miesięcy. Ach, poznała dobrze swego syna. Takim był zawsze, takim zawsze pozostanie.

Dała mu klucz od bramy i powiedziała mu, że może odchodzić i wracać, kiedy mu się podoba. Jeść będzie w swoim pokoju. Obiad może mu zostawić i odgrzać. Na chwilę podniosła jeszcze lorgnon. Oczy jej zapieczętowały i uchwałyły, co ona poleciła. A odtąd widywała Teodora jedynie, gdy przypadkowo się spotykali.

Dopiero po kilku tygodniach, na kilka dni przed ślubem Pawła, który miał się odbyć w Ber-

linie, zwrócił się Teodor znowu do matki. Zapytał ją, kiedy wyjeżdża.

— Nie jadę. Uboga matka nie prezentuje się dobrze.

— Ale ja pojedę — oświadczył Teodor.

— Sądziłam, że nie lubisz swego brata?

— Ale to jest dobra sposobność do nawiązania różnych stosunków.

Pani Bernheim zastanawiała się przez parę sekund. Potem rzekła niezwykle ostrym głosem, jakiego używała tylko wobec dozorca:

— Napiszę do Pawła. Pośle ci pieniądze, pojedziesz do Berlina i zostaniesz tam. Nie mogę cię dłużej utrzymywać. Tobie rzeczywiście przydałyby się stosunki. Najwyższy czas, ażebyś zarabiał na chleb. Spakuj swoje walizy!

Po raz pierwszy Teodor miał respekt przed matką. Stała przed nim. Błada, stara, wyższa od niego; lewą rękę opierając o biodro, prawą wskazując w powietrze, w kierunku korytarza, gdzie stały walizy Teodora. Rzekłabyś: ręka chce uwiecznić jej rozkaz. Wyrzucała go z domu. Nie było żadnych wątpliwości.

Teodor wyjechał do Berlina. Poszedł do hotelu Pawła i kazał się zameldować. Paweł prosił, ażeby zaczekał w hallu. Teodor czuł się obrażony i chciał odejść. „Dobrze — rzekł do siebie — dobrze tak. Będę głodować, mieszkać pod gołym niebem, zginę. Wszystko mi jedno!” Ale nie miał na tyle sił, ażeby opuścić hotel. Był to bogaty hotel. „Ten jegomość nie dopuszcza mnie do siebie, ażebym nie mógł wiedzieć, ile zamieszkuje pokojów — pomyślał. — No, dobrze!” Każde „no dobrze”, wypowiedziane do siebie, sprawiało mu ulgę, jak gdyby to miało jakiś sens lub wyrażało jakąś kontrakcję.

Wreszcie nadszedł Paweł.

— Elegant, pierwsza klasa! — rzekł Teodor zamiast pozdrowienia.

Podali sobie końce palców! Potem usiedli, milcząc.

— Czego się napijesz? — zapytał zakłopotany Paweł.

— W każdym razie nie rumianku!

— Whisky?

— Może być!

— Słuchaj, Teodorze! — zaczął Paweł. — Możesz mnie, po powrocie z podróży poślubnej, odwiedzać raz w miesiącu, o ile masz ochotę. Wybierzesz sobie określony dzień. Masz tu zresztą adres mego adwokata. W ciągu sześciu miesięcy będziesz dostawał po pięćset marek miesięcznie. Od jutra za sześć tygodni masz znaleźć pracę. Oto adres mego krawca. Możesz sobie zamówić trzy ubrania. Możesz przyjść na mój ślub. Odbędzie się tu, nie w kościele.

Nastąpiła długa przerwa. Obaj popijali whisky.

Potem Teodor wstał, podał bratu luźną wiązankę palców i poszedł.

Poszedł natychmiast do adwokata.

— Pański brat pana prosi — powiedziano mu — żeby pan pojutrze przed południem odwiedził pana Brandeisa. Pan Brandeis pana oczekuje. — Wręczono mu pięćset marek.

Następnego dnia odbył się ślub Pawła. Przebieg był szybki, przyciszony i namaszczony. Teodor ledwie miał czas spojrzeć na żonę Pawła.

Widział Brandeisa w towarzystwie pięciu męskich gości.

„Ten gość kupuje teraz całe Niemcy”.

Teodor widział w hallu, jak Brandeis natychmiast z grupą się pożegnał, oddalając się szybkim krokiem, o który nie byłby posądził tej wysokiej, masywnej postaci.

— Nie chciałbym się z nim poufalić — odezwał się jeden z gości, w pobliżu Teodora.

— Właśnie — taki inflacyjny dorobkiewicz! — odrzekł zagadnięty.

Jednego z nich Teodor znał. Był to pan Enders. Drugi podobny był do pana Endersa jak brat. Obaj byli z gładkiej, toczonej, twardej substancji i przypominali drewniane, okrągłe, nie dbale pomalowane kule. Rozmawiali tak głośno, że głosy ich słyszeć było w całym hallu.

— Ci ludzie — rzekł Enders i oparł się o kolumnę, jak gdyby musiał mieć punkt oparcia dla dłuższego i męczącego przemówienia — ci ludzie, tak się od nas różnią, jak korsarze od prawdziwych marynarzy. To są piraci!

— Zupełna racja, panie Enders. Podczas gdy nasi ojcowie zdobyli majątki uczciwym potem, ci ludzie doszli do pieniędzy dzięki niesumienności i pomyślnym przypadkom. Taka jest różnica. A to przeważnie Wschód obdarza nas tymi piratami życia handlowego, jak pan się wyraził. *Moral insanity*³⁷.

— Jestem zadowolony, że pan Bernheim przynajmniej jest jego dyrektorem. To jest rękojmia, pewna rękojmia.

— Mimo to nie zrobiłbym z nim interesu — rzekł do pana Endersa jego sobowtór.

— Słuchaj pan — oświadczył pan Enders, rozważający zawsze wszystkie możliwości — robić interesy to jest coś innego. Jeżeli ludziom à la Brandeis pokażemy, co to znaczy porządny kupiec, uczciwy przemysłowiec, to nauczymy ich uczciwości, a to jest dobry uczynek!

Obaj oddalili się. Teodor został pod kolumną. Rozmowa napełniła go pewnością sie-

³⁷*moral insanity* (ang.: szaleństwo, wypaczenie moralności) — w XIX w. pojęcie medyczne, opisujące rozstrój psychiczny polegający na wypaczeniu odczuć moralnych, poczucia sprawiedliwości itp.; tu przen. lub pogard.: upadek obyczajów. [przypis edytorski]

bie; był panu Endersowi wdzięczny. Tak mu ciężko było złożyć panu Brandeisowi dziękczynną wizytę! Teraz, gdy wiedział, co lepsze sfery o tym Mongole myślą, spotkanie z Brandeistem wydawało mu się prostsze.

„Wcale nie jest moim dobroczyńcą — pomyślał — to Niemcy jemu wyświadczyły dobrodziejstwo”.

Tak uzbrojony, udał się Teodor następnego dnia do Brandeisa. Nie szedł pieszo, jak niegdyś jego brat. Wsiadł do windy. Podczas gdy jednak Brandeis natychmiast Pawła do siebie poprosił, Teodor musiał długo czekać. Poczekalnia była biała i naga. Na stole leżały fachowe pisma, które Teodora nie interesowały. Teodor jął pędzić tam i z powrotem i zmęczył się. „Gość chce mnie upokorzyć; ale mu się odwdzięczę” — pomyślał Teodor. Wciąż jeszcze chodził po próżnym pokoju, kroki stawały się coraz wolniejsze, jego słabe oczy niczego już nie widziały, prócz płynnej, tłustej bieli ścian. Wyciągnął z kieszeni lusterko. Obejrzał swoją bladą, zapadniętą twarz i był z niej zadowolony.

ny. Wyglądał, jego zdaniem, wytwornie, stanowczo i mądrze. Wysunął trochę dolną wargę, żeby nadać twarzy energiczniejszego wyrazu. Wyciągał swoją cienką szyję. Końcami palców pogłaskał swoją jasnoblond fryzurę. W tej chwili zawezwano go do Brandeisa.

Brandeis podniósł się tak pomału, że stał dopiero, gdy Teodor był tuż przy biurku. Ten nieco zbyt gwałtownie zapadł się w miękki fotel, bo nie ocenił dobrze jego głębi. Brandeis równie pomału usiadł, jak się przedtem podniósł. Czekał. Teodor nie mógł wydobyć słowa. Była cisza. Niewidzialny zegar tykał. Brandeis trzymał swoje ciężkie, owłosione dłonie na stole.

Wreszcie Teodor wstał: — Muszę panu podziękować! — Pan nic nie musi — rzekł Brandeis nie podnosząc się. — Pański brat doniósł mi o tym, że mnie pan chce odwiedzić. Pojmuję, że pan może w ogóle tego nie chciał. Ale jemu na tym zależało. Chciałby, żeby pan u mnie pracował!

— U pana? — zapytał Teodor.

— Nie jestem za tym, nie uważam, ażeby się pan do tego nadawał. Poza tym, zdaje mi się, że pańskie polityczne zapatrywania stoją temu na przeszkodzie, i to bardzo.

— Jestem konserwatystą i nacjonalistą.

— Jak to kto pojmuje — rzekł Brandeis bardzo cicho — moim zdaniem, ja jestem konserwatywny, a pan wysoce radykalny. To nie jest konserwatyzm, tak mi się przynajmniej zdaje, krzyczeć, demonstrować, nosić wiatrówki³⁸. To jest, powiedzmy, nie bardzo salonowe.

— Pan nie ma prawa do krytyki.

— Mam tylko obowiązek panu pomóc — rzekł Brandeis cicho.

Teodor usiadł z powrotem. Widział teraz Brandeisa z bliska; jego wzrok gubił się w szerokich zaroślach tej żółtej twarzy. Musiał przyznać, że był tego samego zdania o demonstracjach i wiatrówkach. Przypomniawszy sobie rodzinę Gustawa. Strzeliło mu nagle do głowy, że mogłoby być lepiej spoufalić się z Brandeisem.

³⁸*wiatrówka* — tu: prosta w kroju kurtka, używana przez radykałów, wyraźnie odróżniająca noszącego od osoby o umiarkowanych poglądach, wychodzącej na ulicę w eleganckim płaszczu. [przypis edytorski]

— Spokojnie to można zrobić! — pomyślał. Nachylił się do Brandeisa i rzekł: — Słyszałem wczoraj przypadkowo rozmowę o panu, panie Brandeis!

— I chce mi ją pan donieść?

— Tak jest!

— Rozczaruję pana. To mnie nie interesuje. Wiem, że ludzie, którzy wzbogacili się dwadzieścia lat temu, mnie uważają za korsarza, dlatego że dopiero od roku jestem bogaty. A może nawet — Brandeis uśmiechnął się — uważają, że jestem niebezpieczny... — boją się mnie — zakończył nagle głośno.

Potem ciągnął ze swoją zwykłą łagodnością: — Zdaje mi się, że pan dostatecznie zajmuje się gazetami, żeby zostać dziennikarzem. Mogę pana wprawdzie polecić prawnicowemu pismu, lecz tam jest więcej takich jak pan. Natomiast byłby pan nabytkiem dla pisma demokratycznego, dużego, to znany od lat tytuł, którego redaktorzy są mi zobowiązani. Demokratyczne pismo bardzo chętnie przyjmie młodego człowieka o pańskiej radykalno-prawico-

wej przeszłości. Będę szczery: u Żydów może pan zrobić karierę. Chce pan?

Teodor chciał powiedzieć: „Tak jest” — ale Brandeis nie czekał.

— Pan do mnie napisze!

Wstał. Teodor pożegnał się bez słowa z ukłonem, którego natychmiast żałował, gdyż, jego zdaniem, wypadł za nisko.

CZEŚĆ TRZECIA

XVII

O siódmej godzinie wieczorem, o dwie godziny później niż jego personel, opuścił Nikołaj Brandeis masywny dom, w którym znajdowały się jego biura. O tej porze zamykano trzy domy towarowe, które były jego własnością; sklepy w trzydziestu trzech domach, które były jego własnością. Jego urzędnicy i pracownicy w liczbie sześciuset pięćdziesięciu wkładali czarne ubrania, wyciągali swoje karnety abonamentowe, zabierali swoje dziewczyny lub skwaszone żony i udawali się do teatrów, kin i na koncerty po cenach zniżonych. Służba biurowa i woźnice wybierali się do knajp na piwo, przykładając wąskie szklanki napełnione złotym musującym płynem do długich wąsów. O tej porze pięć tysięcy robotników opuszczało fabryki, których akcje były w posiadaniu Brandeisa. Udawali się do wilgotnych sal pełnych

zimnego fajkowego dymu, stęchłego zapachu beczek z piwa i kwaśnego ludzkiego potu, ażeby posłuchać polityki. O tej porze szli panowie sekretarze i wyżsi urzędnicy do kasyna na partijkę, na posiedzenia Stahlhelmu³⁹, do komitetu Białego Krzyża⁴⁰, do powiatowych organizacji Reichsbanneru⁴¹ lub do kas okręgowych po wypłatę. O tej porze zdejmowali swoje liberie szoferzy stu dwudziestu samochodów ciężarowych i towarowych, którzy jeździli dla Brandeisa po ulicach i miastach. Zawieszali liberie na wieszakach w numerowanych szafach, zakładali tanie i praktyczne ubrania cywilne i używali wolności, wynoszącej niespełna dwanaście godzin długości i szerokości. Była to pora, kiedy redaktorzy demokratycznych pism, których tajne akcje tajnie należały do Brandeisa, rozpoczęli służbę nocną. Wkładali wąskie, błysz-

³⁹*Stahlhelm* — organizacja paramilitarna, powstała po zakończeniu I wojny światowej. [przypis edytorski]

⁴⁰*Biały Krzyż* (niem. *Weißes Kreuz*) — organizacja założona w 1890 r. w Berlinie, szerząca edukację w zakresie zdrowia i etyki seksualnej. [przypis edytorski]

⁴¹*Reichsbanner Schwarz-Rot-Gold* — organizacja weteranów I wojny światowej, popierająca demokratyczne wartości związane z Republiką Weimarską. [przypis edytorski]

czące wystrzępione lustrynowe⁴² surduciki i naciskali kauczukowe guziki dzwonków. Posłańcy na rowerach przyjeżdżali ze sprawozdaniami z parlamentów i sądów; z codziennymi wiadomościami kopiowanymi liliowo na tanim papierze, z polityczną korespondencją. W obitych skórą i dusznych celach telefonicznych zaczęły dzwonić aparaty z Amsterdamu i Rotterdamu, z Bukaresztu i Budapesztu, z Kalkuty i Leningradu. Fachowiec od artykułów wstępnych znalazł temat, spacerował tam i z powrotem i wygłaszał zdania, którym maszyna do pisania odpowiadała stukającym echem. Wszyscy ci ludzie uważali się za wolnych. Ledwie znali człowieka dającego im chleb z margaryną, z masłem sztucznym lub delikatesowym. Trzymali się prosto i drżeli przed wypowiedzeniem. W niedzielę brali udział w demonstracjach i ukrywali przed żonami pornograficzne widokówki, rządząli swoimi dziećmi i tę-

⁴²*lustrynowy* (daw.) — wykonany z lustryny, tj. lśniącej, cienkiej tkaniny z wełny lub z bawełny. [przypis edytorski]

sknili za podwyżką pensji, recytowali artykuły wstępne i kłaniali się szefowi biura.

Brandeisa nie znali. Nie znali Nikołaja Brandeisa organizatora, ba, twórcę nowego średniego stanu⁴³, użyczającego organizacjom średniego mieszczaństwa kredytów, wzbogaconego na taniości towarów, ubierającego i żywiącego ludzi, dającego im małe pożyczki i małe domki na peryferiach miasta, obdarzającego ich kwiatami doniczkowymi i śpiewającymi kanarkami, i wolnością, wolnością wynoszącą dwanaście godzin wzdłuż i wszerz.

O siódmej godzinie wieczorem opuścił Nikołaj Brandeis, ze swoim pierwszym sekretarzem, pułkownikiem Meistrem, biuro. Wieczorem, przed odejściem zaczął Brandeis nagle mówić. Pułkownik z początku bardzo mało zrozumiał. Podobne chwile przeżywał, gdy przypadkowo jakaś książka dostawała się w jego ręce. Z początku słowa się rozplywały. Potem starał się pułkownik wyłuskać poszczególne słowa i przyjrzeć im się raz jeszcze. Dziwiło

⁴³*średni stan* — dziś raczej: klasa średnia. [przypis edytorski]

go bowiem, że to jest możliwe rozumieć słowa a nie rozumieć ich związku. Teraz, gdy Brandeis do niego mówił, ogarnęło go niepewne podejrzenie, że chodzi tu o to, co on zwykł był nazywać „filozofią”. I o wiele później dopiero zaczął pojmować, o co idzie; nie swoim codziennym rozumem, lecz przy pomocy nerwów, których istnienia przedtem nigdy nie przeczuwał.

— Jestem obecnie — ciągnął Brandeis — przed celem niejako. Każdy inny człowiek na moim miejscu tak by utrzymywał. Lecz ja nie mam za sobą jednego życia, ale dwa a może więcej. I czuję od pewnego czasu, że muszę zacząć nowe.

— Czy uwierzy mi pan, że jestem zmęczony? Zmęczony, nie dlatego, że za wiele pracowałem, lecz dlatego, że pracuję bez przekonania, bez ambicji, bez celu. Dziś jestem jeszcze samodzielnym zawiadowcą władzy, która nagromadziła się w moim domu, lecz jutro będę jej więźniem. Czy pan się zastanawiał kiedyś nad tym, dlaczego ja się tak wzbogaciłem?

Pan uważa mnie za wielkiego kupca? Prawda? Pan się myli, panie pułkowniku! Zawdzięczam wszystko słabości i ustępliwości ludzi i urzędów. Nic w tych czasach nie broni się przed naciskiem. Próbuj pan osiągnąć koronę, a znajdzie się kraj, który obwoła pana królem. Spróbuj pan zrobić rewolucję, a znajdzie pan proletariatus, który pozwoli się zastrzelić. Postaraj się pan wywołać wojnę, a ujrzy pan narody, które rzucą się na siebie. Po tygodniu, po kilku miesiącach, po roku może, udałoby mi się podbić przemysł tego kraju. Odkryłem, że to nazwiska tylko mają dawny dźwięk, strasząc tego lub owego. Słyszysz pan o jakimś generalnym dyrektorze, idzie pan do niego — — — i nagle żałuje pan, że się pan do tego przygotowywał i wydaje się pan sobie śmiesznym. Jego tytuł umieszczony jest tylko na tablicy. Niech pan tylko raz będzie w jego biurze, a zobaczy pan, że cała potęga generalnego dyrektora polega na czterech gwoździach i szklanej tablicy na drzwiach — — a drzwi i gwoździe, i tablica wydadzą się panu wspaniałe w porówna-

niu z osobistością, do której należą. Wierz mi pan, generalny dyrektor jest własnością tablicy, wizytówki, swojej roli, swego stanowiska, strachu, który rozsiewa, pensji, które przyznaje, zwolnień, o których zawiadamia — a nie na odwrót! To niebezpieczeństwo już mi dziś grozi. Odznaki mojej potęgi stają się bardziej imponujące niż ja. Nie będę mógł już folgować kaprysom, będącym moją jedyną radością. Mogę przyjąć pana Bernheima, jeżeli mi to sprawia przyjemność, przypatrywać się, jak rośnie, jak się żeni z chemią, jak zyskuje nazwisko i wielką firmę. Cieszę się, gdy jego brat nacjonalista pisze artykuły do żydowskiej gazety. Lecz już jutro pismo mogłoby być potężniejsze, niżby mi to było miłe i powiedzmy, ujawnić moją anonimowość. W tej chwili, w której wymówiono by moje nazwisko, jak się wymawia nazwiska popularnych potentatów, stałbym się bezsilny. Gdyż nazwisko pęcznieje i wysysa ze mnie siły. Nazwisko potrzebuje moich sił, ażeby brzmieć — — — li tylko po to, by brzmieć...

A jednak — i dlatego z panem mówię — kusi mnie chemia. To jest jedyna niesamowitość wśród jasności, w której żyję. Zachodzi niebezpieczeństwo, że stanę się jej łupem. I po raz pierwszy oddałbym się w ręce przemocy. Wszystko inne było mniejsze ode mnie: ten śmieszny średni stan, który jest moją dewizą i napełnia moje domy towarowe, organizacje urzędnicze, którym dostarczam chleba i odzieży, te domy, ten bank, z małymi zabezpieczonymi kredytami, moi dyrektorzy z pensjami po 150.000 marek. Lecz chemia jest żywiołem. Mógłby mnie tak samo ubezwładnić, jak swoich akcjonariuszy, chemików i generalnych dyrektorów. Od kiedy mam kontakt z Imperial Chemical Industry, przerażają mnie cudowne zjawiska w świecie chemii. Wszystko tu jest cudowne. Nie mam poza tym respektu przed liczbami. Tu po raz pierwszy przeraża mnie tych 10.000 robotników Höchsta nad Menem, 11.000

Badeńskiej Aniliny⁴⁴, tych 95 fabryk I.G.⁴⁵, 108.000 personelu, 143.000 zjednoczonych fabryk i tych 600 ton fosgenu⁴⁶ rocznie. Pomyśl pan, że sztuczny jedwab, z którego są pończochy pańskiej córki, spokrewniony jest z gazem trującym, używanym na wojnie. Jedno i drugie jest nitrogliceryną! Co za nazwa! Nitrogliceryna!

— Czy uważa mnie pan za marzyciela, panie pułkowniku? Ma pan rację! Po raz pierwszy mógłbym uchodzić za marzyciela. Coś się zmieniło. Coś zaszło w Nikołaju Brandeisie — Nie wiem, ile razy wyjdziemy jeszcze razem z tego biura. Dobranoc.

Nie rozumiał mnie, pomyślał Brandeis. Ja mu też wszystkiego nie powiedziałem. Mógłbym mówić całymi dniami, a nie powiedział-

⁴⁴*Badeńska Anilina* — Badische Anilin und Soda Fabrik, BASF, jeden z największych koncernów chemicznych na świecie, funkcjonujący od 1865 r. [przypis edytorski]

⁴⁵*I.G. a. IG Farben* — Interessen-Gemeinschaft Farbenindustrie Aktiengesellschaft, koncern chemiczny, założony w 1904 r., w 1926 r. zatrudniający 150 tys. pracowników. [przypis edytorski]

⁴⁶*fosgen* — silnie trujący gaz, powstający z reakcji tlenku węgla z chlorem, wykorzystywany w produkcji barwników i tworzyw sztucznych; w czasie I wojny najczęściej używany gaz bojowy. [przypis edytorski]

bym najważniejszego. Obce moce mnie opowują. Od kiedy — — —

Nie myślał dalej. Często dochodził tylko do tej granicy. Potem rozciągała się kraina, daleka, bezkresna, nieznana, niedostępna dla żadnej myśli ani żadnego wyobrażenia. Była jak granica świata, ku której Brandeis raz już wędrował.

Im bardziej zbliżał się do swego domu, tym bardziej zwalniał kroku.

Tak jest. Im bardziej zbliżał się do swego domu, tym szedł wolniej. Ile razy w ciągu dnia zapominał o nim. Był to jeden z wielu domów, które zakupił. Niekiedy szedł do hotelu spać. Lubił obce pokoje hotelowe i ich meble, należące do całego świata, i tapety, które przypadek przykleił do ścian. Potrzebny mu był tylko dach nad głową. W jego domu otaczało go bogactwo jak choroba. Ogrodnik, dwa psy, garaż, służba, skrzypiące drzwiczki i skrzypiący piasek! A fundament głęboko na obcej ziemi oparty, zakorzeniony beton. Chętnie byłby mieszkał w namiocie. Wiele rzeczy do nie-

go należało, lecz niczego nie posiadał. Wielu ludzi go słuchało, lecz nikomu nie rozkazywał. Wiele rzeczy mu się poddawało, lecz nic nie stawało się jego własnością. Miał wrażenie, że jego domy — to tylko papierowe plany jego architektów. Towary, które kupował i które sprzedawał, to tylko pokwitowania odbioru i książki handlowe. Ludzie, którzy dla niego pracowali, to tylko listy z nazwiskami. Kiedyś posiadał trzy kawałki pola, mały, biało-niebieski domek, parę krów i dwa konie, dziesięć książek i strzelbę oraz laskę z metalową główką. Wszystko to stracił! Brandeis żył jak wywłaszczony, zadowolony ze swego ubóstwa i natchniony nim — jak gdyby od owego czasu niczego innego nie zyskał. Zdawało mu się, że to jest przeznaczenie: jak cień przejść przez ten świat, składający się z własności i betonu; zbierać skarby, dzięki niesamowitym zdolnościom umysłu, nieuważnie liczyć banknoty, jak gdy nogami się szeleści wśród jesiennych liści i w ogóle wszystko, rzeczy, towary, ludzi zamieniać w papier. Nie trzymać

niczego i nie być przez nikogo trzymanym! Inni po to istnieli, ażeby wygrywać i pokochać, odziedziczyć i zatrzymywać, oceniać i używać, kupować i posiadać. A może i własność innych nie była rzeczywista? A oni jedynie nie zdawali sobie z tego sprawy? Sądzili, że zatrzymują, co się rozplywało? Sądzili, że używają, co się ulatniało? Ich uczucie posiadania było funkcją wyobraźni? — Jest prawdą — co mówiłem do pułkownika — wszystko jest bezwolne i rozpada się; mogę wszystko według mojej woli kształtować, jak piasek i popiół. Jedynie nazwiska jeszcze zostały. Istnieje jedyna realna potęga, rosnąca, przynosząca życie i śmierć: chemia. Czy mam się jej oddać na pastwę?

W domu czekała Lidia. Od roku czekała na niego daremnie. Brał ją wprawdzie do swego łóżka, obejmował swoimi ramionami, zapachem i spojrzeniem, błyszczącym w ciemności, podczas gdy ona otwierała oczy w ciągłej, ustawicznie zawiedzionej nadziei, że będzie miał przymknięte powieki a twarz zatopioną w rozkoszy. Twarz jego nigdy nie była

inna, jak za dnia. W ciemności zdawała się jeszcze jaśniejsza. Może kiedyś w ciemności odgadnie tajemnicę tego człowieka, tak jak się poznaje istotę duchów jedynie o północy. Czekwała daremnie. Jego oczy zdawały się patrzeć w dal, w której miał zginąć. Potężne było jego ciało, mocny jego krok, którego nawet dywany nie mogły stłumić. Przysłuchiwała się, jak nim miażdżył zwir. A jednak Nikołaj Brandeis był dla niej obcy i daleki. Był tak silny, że mógł jej lekkie ciało unieść na jednej, szerokiej ręce. Siedziała na jego ręce. Czasami nakrywał ją olbrzymią ręką jej piersi. Silne, wielkie ciepło spływało z jego palców do ciała. Nie mówił. — Nie milcz tak — prosiła, w nadziei, że mogłaby go skłonić do innego rodzaju milczenia. Gdyż nigdy nie mogła się spodziewać, że będzie kiedyś mówić, rozmawiać jak każdy inny człowiek. Uszczęśliwiał i unieszczęśliwiał ją zarazem. Jak gdyby szczęście i nieszczęście, błogostan i rozpacz były bliźniętami.

Nie wiedziała w końcu, czy był okrutny, czy czuły i czy jej własna miłość była lękiem,

czy ciekawością. Niekiedy nienawidziła jego obcość, tęskniła za prostą, zrozumiałą, ludzką rubasznością Griszy. Postanawiała wciąż porzucić Brandeisa i wrócić do „Zielonego Łabędzia” i wciąż pobyt swój prolongowała. — Jeżeli nie zmieni się za dwa tygodnie — myślała — zostawię go. — Nie zmieniał się, a ona zostawała. Skromna wyobraźnia, szkolona na skąpej znajomości pisarzy o duszy dziwnych ludzi, podsuwała jej niekiedy jeden z tych małych środków, opisywanych w powieściach. Zaczęła roztrząsać śmieszne możliwości. Może by uczynić go zazdrosnym? Na podstawie skromnych doświadczeń własnych przeżyć miłosnych próbowała mieszać recepty, komponować sytuacje, przypominać sobie małe triki sędziwej tradycji literackiej, która tak cudownie fałszuje życie. Lecz spojrzała na jego oblicze i pojęła, jak śmieszne były jej usiłowania. Wszystkie prawa traciły w pobliżu Brandeisa ważność. Nawet nie krzyczał. Nigdy nie podnosił głosu na tyle, ażeby go można było słyszeć z drugiego pokoju przez zamknięte drzwi. Niekiedy nie czuło

się jego obecności, mimo że się go widziało. Jego duże, ciężkie ciało przytłaczało ją, jej zęby kęsały jego potężną szyję, jej palce wodziły po kamiennych konturach jego łopatek, w jej włosach gubił się oddech jego ust. Tak leżała otulona jego rozmachem i zapominała na parę chwil, że nie był mężczyzną jak inni. Lecz nagle zmuszała ją tęsknota otworzyć oczy i spojrzeć ukradkiem do góry. I przerażony jej wzrok kradł biel jego otwartych oczu. Dokąd patrzył Brandeis? Czego szukał na nocnej ścianie ponad jej włosami? Czy wzrok jego mógł przebić ścianę? Czy widział horyzont swej ojczyzny? Wtedy zapalała się w niej mała, ale śmiertelna nienawiść. Byłaby go kłuła, ażeby się przekonać, czy był śmiertelny.

Żyła w domu jak niewolnica. Posyłał jej krawców i kupców, ale ani jednego gościa. Nie chciał widzieć ludzi. Ludzie byli jak domy i towary. Handlował nimi w ciągu dnia w swoim kantorze. Była młoda, liczyła swoje lata. Dwadzieścia i dwa lata. Zarzucała mu swój wiek, jak gdyby jej młodość była jego winą. Raz płakała.

Zrozumiał to. Siedział jednak niezręczny i potężny, przed małą rozpaczłą małą kobietą. Bał się swej własnej litości. Nienawidził czułości, mającej być pocieszeniem. Nie mógł zmierzyć nieszczęścia człowieka, odczuwającego je w danej chwili. Nie mógł nigdy pojąć, że drobne przyczyny powodujące ból nie decydują o rozmiarach i głębi tego bólu. Mierzył nieszczęście Lidii absolutnym nieszczęściem świata. Obojętnie patrzył na to, jak płakała. Po raz pierwszy płakała przed obojętnym człowiekiem. Wmawiała sobie, że przeżywa pierwsze upokorzenie. Jej drobny mózg rozważał zemstę. Zaczęła kaprysić. Próbowwała uprawiać małostkowy despotyzm. Zaskakiwała Brandeisa zniechęcającymi życzeniami. Chciała widywać ludzi. Poszedł z nią pewnego wieczora do teatru. Milcząco, nie bez goryczy. Już na wstępie zniechęcił foyer. Bał się pierwszego aktu, oczekiwał przedstawienia jak katastrofy. Eksperymenty reżyserów z pierwszych powojennych lat stały się bardziej umiarkowane. Radykalizm dramaturgii począł robić koncesje na rzecz nerwów publiczności. Bran-

deis wymienił strach na skromniejszą o wiele nudę. Parę razy pokazał się z Lidią w loży teatru, na balu, na koncercie. Potem przestał zajmować się tradycyjnymi imprezami towarzyskimi, które nowa epoka kontynuowała bez towarzystwa. Wydawało mu się jedynie konieczne, w odstępach kilkumiesięcznych, przekonywać się, że stracił wszelkie zainteresowanie dla podium i sceny. Tego wieczora jego obojętność była tak duża, że jął przypatrywać się publiczności. Stwierdził, że więcej osób go znało, niż przypuszczał. Jego anonimowość była narażona. — Ludzie nie mogą wytrzymać bez świętych i diabłów — pomyślał. Zdaje im się, że jestem „niesamowity”. Mam dość tego, by mnie uważali za jakiegoś demona ze Wschodu. Taka rola podoba się bogatym Żydom z Kiszyniowa, Odessy i Rygi, którzy niczego tak nie pragną, jak pochodzić z Berlina. — Patrząc na ludzi, twarz przy twarzy, fizjonomie, które zdawały się wyrastać z łysin, modelowanych przez fryzjerów, jak gdyby ci ostatni byli nie tylko panami włosów, bród i golizny, lecz także no-

sów, czaszek i ust — — po raz pierwszy zaczął rozumieć, że do robienia pieniędzy popychała go jedyna namiętność — jedyna namiętność silniejsza niż wszystkie jej siostry: pogarda. Może opanować człowieka jak miłość, hazard i nienawiść. Można czuć „śmiertelną pogardę”. Potrzebne mu były te oświetlane rzędy, gęsto zaludnione, ażeby uświadomić sobie ową namiętność, tak samo jak można sobie uświadomić na widok człowieka miłość do niego. Kłaniało mu się wielu nieznajomych. Wiedzieli, że ich nie zna. A jednak uśmiechali się do niego, sugerując mu odpowiedź na ukłon. Odznaczali się natrętną unізonością ludzi zbierających na dobroczynne i publiczne cele. Wyciągają rękę i obawiają się, że mogliby być uważani za żebraków. Przerwa. Przechadzają się wkoło po gładkim, froterowanym parkiecie i boją się, by się nie pośliznąć. Pomiedzy niepewnością ich nóg, tkwiących w nowych trzewiakach z nadto gładkimi podeszwami, a uczuciem wytworności, którą łączyli z godnością teatru miejskiego, liberiami bileterów i wła-

snymi smokingami, istniała jeszcze próżna przestrzeń, którą ich ciała bezskutecznie starały się wypełnić. Ciała znikły między uroczytymi twarzami i ślizgającymi się trzewikami. Jak kołująca rama kołysali się dokoła próżnego, lustrzanego owalu, na który nikt nie ośmielił się wejść z obawy, że zostanie sam. Brandeis przypomniał sobie ową niedzielę, kiedy to przypatrywał się politycznemu pochodowi na Kurfürstendamme. Wtedy również środek był próżny. Z tymi samymi twarzami krążyli dokoła przerwy w teatrze. Wiatrówki⁴⁷ wisiały w garderobie. Zmieniły się jedynie ramiona. Nie kołysały się bezwładnie. Wisiały przy smokingach, jak protezy. Z damskich sukien wieczorowych, wysmakowanych i efektownych, padały pstre światła na blade twarze mężczyzn: gra kolorów sublimowanego stosunku płciowego. Każdy czuł, że jest na premierze. Każdy był zadowolony, że i inni są na niej obecni. Gdyż razem

⁴⁷*wiatrówka* — tu: prosta w kroju kurtka, używana przez radykałów, wyraźnie odróżniająca noszącego od osoby o umiarkowanych poglądach, wychodzącej na ulicę w eleganckim płaszczu. [przypis edytorski]

dopiero tworzyli kolorowy obraz dla wstępnej notatki recenzenta teatralnego.

Brandeis odczuwał nieobecność swego najmłodszego dyrektora Pawła Bernheima i jego brata Teodora. Kolorowy obraz — tak mniemał Brandeis, byłby jeszcze bardziej ożywiony. Z innych znajomych był obecny jedynie krytyk demokratycznego pisma zależnego od Brandeisa. Lecz krytyk ledwie znał swego chlebodawcę. W tym orientują się tylko redaktorzy działu handlowego. Zajmowanie się sztuką czyni ludzi nieszkodliwymi. Bernheim może w ogóle nie chodził na premiery; stanowisko towarzyskie Bernheima nie pozwalało mu może na to. Zaproszę go, pomyślał Brandeis. Przedstawię go Lidii. Spodziewam się, że się zakocha.

Młoda pani Bernheim wyjechała na dwa tygodnie do swego wuja Endersa. Mała uroczystość rodzinna, nic ważnego. Paweł Bernheim zadowolili się jednodniową wizytą. Po raz pierwszy był w domu Brandeisa. Po raz pierwszy widział kobietę, z którą żył Brandeis. Przyszedł, objuczony pogłoskami, jakie rozsiewa-

no o kaukaskiej księżniczce. A Paweł wierzył tym pogłoskom. W czasach bowiem, w których prawdy są rzadkie, nic nie jest tak wiarygodne, jak pogłoska. A im bardziej płytko i awanturniczo brzmi, tym łapczywiej podchwytuje je wyobraźnia ludzi nastawionych na romanse.

Paweł Bernheim należał do najbardziej łatwowiernych odbiorców romansowych pogłoszek. Zbierał je, jak zbierał anegdoty, w książeczce oprawnej w skórę ze złoceniami, do której zaglądał, zanim zaczynał opowiadać. Przyzwyczajony odgrodzone, ułożone były w jego mózgu tak zwane historie z tak zwanego prawdziwego świata. A był szczęśliwy, gdy taka historia wplatała się w rzeczywistość jego otoczenia. Na modłę Europejczyków, oceniających pojęcia geograficzne po literacku, uważał, że Wschód jest zagadkowy, a Zachód pospolity. A Wschód zaczynał się tuż za Katowicami i sięgał aż do Rabindranatha Tagore⁴⁸. W tej sferze umiej-

⁴⁸*Rabindranath Tagore (1861–1941)* — indyjski pisarz i filozof. [przypis edytorski]

scowił Brandeisa. Cośkolwiek bardziej na zachód leżała Lidia. Była bowiem kobietą i według słów Tekely'ego pochodziła z Kaukazu, prawdopodobnie z książęcego rodu. Kaukaz sam byłby też wystarczył.

Nie kocha się kobiet. Kocha się światy, które one reprezentują. Mimo że Lidia miała europejską twarz i równie dobrze mogła się urodzić w Kolonii, jak i w Paryżu lub w Londynie — w rzeczywistości pochodziła z Kijowa — Paweł Bernheim rozpoznał w niej „kaukaski typ”, a że nie miał jeszcze pojęcia o jej przeszłości w „Zielonym Łabędziu”, przyklepił jej w mig markę: prawdziwej, dystyngowanej, uroczo obcej kobiety. Przyjemność, z jaką sam sobie poświadczał swoje znanstwo świata i kobiet, skłaniała go do przedwczesnych i szybkich definicji. Charakteryzując Lidię dla własnego użytku, słyszał już siebie opowiadającego o niej i do podziwu, jaki miał dla Kaukazu i jego dzieci, dodawał jeszcze podziw, który zbierał od swoich fikcyjnych słuchaczy. Taki był szczęśliwy z powodu wkroczenia historii do

jego rzeczywistości, że pierwszą jeszcze rozszerzył, a drugą zaniedbał. Należał, rozumie się, do mężczyzn, którzy momentalnie się zmieniają, gdy znajdą się w pobliżu kobiety, na której zdobyciu im w przyszłości mogłoby zależeć. A że był rasowym egzemplarzem gatunku mężczyzn towarzyskich, wydobył na wierzch swoje dawne cnoty salonowe i zaczął opowiadać o tym swoim Oxfordzie. Historie te były niezawodne w wywieraniu wrażenia na mężczyzn i na kobiety. Od wielu lat był to pierwszy obcy mężczyzna, z którym Lidia rozmawiała. Porównywała masywnego, milczącego Nikołaja Brandeisa z rozmownym i nieustannie poruszonym Pawłem Bernheimem. Było nawet w ciągu wieczora parę takich chwil, kiedy między nią a Pawłem zdawało się nawiązywać niedostrzegalne porozumienie przeciwko Brandeisowi. Gdy Paweł zapytał: — „U państwa rzadko bywają goście?” — odpowiedziała szybko: „Nigdy!”; tak jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że oczekiwała tego pytania. Brandeis powiedział na to po cichu: „Nie lubię obcych”. „A pani?” — za-

pytał Bernheim. Nie odpowiedziała. Oczy Nikołaja Brandeisa były niewzruszone, z rozwartymi powiekami skierowanymi na stół; lecz obejmowały również ściany stojące w cieniu i oboje ludzi obok niego, a ich twarde, warujące światło nasycalo cały pokój. Jak zwykle trzymał swoimi silnymi rękami obydwie rogi stołu, jak gdyby chciał się oprzeć, ażeby móc wstać. Lecz niekiedy zdawało się Pawłowi, że Brandeis ma zamiar przewrócić stół. Nagle uczuł wyraźną nienawiść do Brandeisa; jak gdyby trzeba było dopiero tej kobiety, ażeby stosunek między tymi dwoma mężczyznami stał się jasny i określony. Pierwsze jego uczucie było zazdrością. Ten obcy Mongoł — mówił Paweł do siebie, używając przy tym bezwiednie terminologii swego brata Teodora — posiada co nocy to młode ciało. Uważał bowiem stosunek cielesny za potwierdzenie tego, że mężczyzna posiadał a kobieta jest posiadana. Człowiek ten, myślał dalej, którego nic innego nie wypełnia, jak żądza zarabiania pieniędzy, stosuje do tej kobiety wschodnie zwyczaje i zamyka ją w haremie.

Jest z pewnością zazdrosny. Jakże ma nie być zazdrosny w mojej obecności? Dotychczas udawało się Pawłowi Bernheimowi zawsze spłóścić uparcie nawiedzającą go myśl, że zawdzięcza swoją karierę Brandeisowi. Dostawał sto pięćdziesiąt tysięcy marek rocznej pensji; za to pracował trzy godziny dziennie i reprezentował. Swoje konferencje z kasą chorych, towarzystwami ubezpieczeń i radami wykonawczymi i tak uważał za niegodne siebie zajęcia. Miał pewne podejrzenia, że Brandeis celowo go trzyma z daleka od tak zwanej służby „zewnątrznej”, a szczególnie od stosunków z bankami. Podczas gdy właśnie banki były niejako właściwym fachem Pawła. Gryzł się, że Brandeis tak szybko i pewnie pomógł Teodorowi. Zazdrościł prawie bratu posady w redakcji. Gdyż on sam, czuł się przecież powołany do publicznej działalności. I co by to było Brandeisowi szkodziło, zamianować Pawła Bernheima jednym z trzech potężnych dyrektorów wydawnictwa? On się mnie boi! — pocieszał się Paweł, podczas gdy w nim samym obudził się strach przed

Brandeisem, jak stary ból. W dali gdzieś i niewyraźnie wyłoniło się ponure wspomnienie o Nikicie Bezborodce. Jeszcze nie przyznawał się do tego. Lecz już szukał słabego punktu w życiu swego wroga. Mniemał, że to zaproszenie, które sam nazywał włamaniem, zawdzięcza swojej przebiegłości. Brandeis miał oczywiście „słaby punkt”. Tę kobietę właśnie. Psychologiczne zdolności Bernheima rozwinęły się pod wpływem powieści, w których wielki finansista bezskutecznie ubiega się o miłość małej kobiety. Zdawał się już przewidywać cały przebieg spraw. Jeżeli nie na innym polu, to na tym, dorównywał Brandeisowi. Tu chciał się mścić. Ponieważ jednak był na tyle sentymentalny, że nie mógł mścić się bez moralnego pokrycia, uważał, że jest konieczne kochać Lidię. A więc kochał ją.

Już następnego dnia chciał zaprosić ich na przejażdżkę autem. Przypuszczał, że Brandeis odmówi. Lecz Brandeis przyrzekł.

Co prawda następnego dnia przeprosił Bernheima i prosił go, by pojechał z Lidią. Pędzi-

li z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jest to szybkość, którą w podobnych wypadkach zapisują wszyscy współcześni pisarze, którzy studiowali stosunek pomiędzy ludzkim sercem a motorami. Paweł zaczął po ślubie znowu interesować się współczesną literaturą, a nawet obcować z pisarzami i znał się znakomicie na eksploatacji piękności przyrody przy pomocy przyśpieszonego tempa. „Co drugi dzień pędzę tak przez świat” — mówił do Lidii. — „Dopiero auto nauczyło nas patrzeć należycie na przyrodę. Cudownie jest pochłaniać ulice, drzewa, domy. Mój szofer jest tchórzem. Boi się przekroczyć pięćdziesiąt pięć lub sześćdziesiąt kilometrów. Lecz ja myślę: kto szybko pracuje, musi szybko używać. W niebezpieczeństwie znajdujemy się przez cały dzień, nawet gdy siedzimy spokojnie w biurze. Lecz niech mi pani wierzy: nie chciałbym żyć bez tego niebezpieczeństwa”. — „Pan z pewnością był na wojnie?” — „Cztery lata. Kawaleria”. — „Jeździ pan chętnie konno?” — „Raz albo dwa razy na tydzień. Chciałaby się pani wy-

brać na spacer?” — „Boję się czegoś”. — „Chyba nie w moim towarzystwie? Damy pani łagodne zwierzę!” W Lidii Markownej obudziły się wspomnienia serii fotograficznej „Dama na koniu”, która ukazała się na błyszczącym, niebieskozielonym papierze w pierwszorzędnym czasopiśmie mód, obok innej serii „Matka i dziecko” i trzeciej „Małżeństwa z towarzystwa”. Widziała dyskretny tekst pod zdjęciami: „Pani generalna dyrektorowa Blumenstein” i „Hrabina von Hanau-Lichtenstern jako amazonka” albo „Ranna przejażdżka”, albo „Na męskim siodle”. Wszystkie te wyobrażenia o wytworności, które z braku żywego materiału zdawały się ukrywać na kliszach fotografii, w pokojach redakcyjnych ilustrowanych pism i w pracowniach fotograficznych towarzystw filmowych, odżyły w mózgu Lidii Markownej i roznieciły w niej towarzyską ambicję. Czy istnieje gdzieś córka zegarmistrza z Kijowa, która nie uległaby takim pokusom? Ojciec jej był bowiem zegarmistrzem. Ona zaś już w młodych latach czuła się powołana do wstąpienia do wyższej klasy

społecznej, a wiersze Puszkina oraz przeciętny talent aktorski miały jej w tym pomóc. Ojciec jej umarł w tym lecie, w którym Nikołaj Brandeis zdezerterował. Ona uciekła. Dostała się jako kelnerka do rosyjskiej restauracji, gdzie zdobyła sobie famę księżniczki, mianowicie dlatego, że nie przyjmowała napiwków i ponieważ wyobraźnia gości domagała się jaskrawych przykładów okrutności rewolucji. Była to restauracja, w której kilku emigrantów, dawnych aktorów, założyło „Zielonego Łabędzia”.

Tak zatem określonymi drogami spełniło się jej życzenie. Nie był to wprawdzie moskiewski teatr akademicki, do którego wstąpiła, w każdym razie jednak teatr. Ponieważ wszyscy towarzysze żyli parami, a ona jedna i Gregori, kozak, spali oddzielnie, położyła się, po pewnym wahaniu, do niego. Zespół oszczędzał sobie czynsz za pokój hotelowy. Gdy poszła za Brandeisem, przeczuwała fantastyczną karierę. Lecz zamiast przy pomocy bogatego i zakochanego mężczyzny dostać się wreszcie do wymarzonych sfer „wielkiego świata” — jak się

spodziewała — została sama zakochaną dziewczynką milczącego, a więc niebezpiecznego, niezrozumiałego i wiecznie dalekiego władcy. Zazdrosna była o te długie dni, które Brandeis gdzieś spędzał, nie wiadomo gdzie. Zabronił jej bowiem odwiedzać siebie w ciągu dnia. Rozważała, czy powinna by zapytać o to Pawła. Czy Brandeis miał jeszcze inne kobiety? Śniło jej się czasami, że w kilku domach więzi więcej kobiet, podobnie jak ją. Czy nie będzie zazdrosny?

— Pan Brandeis nie będzie chyba zazdrosny? — zapytał nagle Paweł, z owym cichym, ostrożnie próbującym szyderstwem, z jakim zawodowi uwodziciele mówią o nieobecnych rywalach.

— Nie! — odrzekła.

— Ja na jego miejscu byłbym!

Lidia była mu wdzięczna. Kobiety wierzą zapewnieniu, które w danej chwili im jest potrzebne. Od wieków uwodzi się je kłamstwami.

mi, a nie prawdami. Nigdy od Brandeisa nie słyszała komplementu. Szybko zapytała:

— A pana żona? — i żałowała natychmiast pytania.

— Moja żona? — powtórzył zdumiony Paweł, jak gdyby o niej zupełnie zapomniał. — Musi ją pani poznać! — rzekł.

Postanowiła zapytać potem pana Brandeisa, czy pani Bernheim jest przystojna, mała, subtelna czy duża; blondynka czy brunetka. Jak wszystkie kobiety, wówczas dopiero była uspokojona, gdy prócz mężczyzny, którego znała, wiedziała również coś o żonie do niego należącej lub chociażby pozornie do niego należącej.

Wracali wolno do miasta, gdyż wieczór był chłodny.

— Czy pani tańczy? — zapytał Paweł, myśląc o najbardziej dyskretnej możliwości zbliżenia się do ciała tej kobiety.

— O — odrzekła niewinnie i nie oceniając następstw — od „Zielonego Łabędzia” nie tańczyłam!

— Co znaczy Zielony Łabędź?

— To jest kabaret.

— No i?

— Ja tam występowałam!

Jego rozczarowanie było bezgraniczne. Nie byłoby większe, gdyby mu ktoś powiedział, że jego żona nie pochodzi z Endersów. Takiego człowieka jak Bernheim nic nie może tak zmartwić, jak wiadomość, że nie siedzi w aucie z księżniczką, lecz z aktorką.

— Oo! — rzekł. I jak niegdyś na balu maskowym stracił nagle zdolność kontynuowania poufałych zbliżeń wobec panny Enders, tak tu na odwrót, stracił zdolność utrzymania dystansu. Mechanicznie przysunął nogę do kolana towarzyszki. Przestał mówić. Zatrzymał wóz i nie powiedziawszy słowa, spróbował objąć Li-dię ramieniem.

Pojeła sens jego ruchu, a po chwili również przyczyny, które ten ruch spowodowały. Czuła ten sam niemy, zrozpaczony wstyd, gdy ją Grisza sprzedał Brandeisowi. Lecz dziś nawet okrzyk jej się nie udał. Było to jak gdyby serce jej przyzwyczało się już do cierpliwego

znoszenia wstydu. Nie była to nowa, pierwsza obelga, której właśnie doznała, lecz wtórna, wspomnienie o tamtej. Nie z rozpaczy, lecz z instynktownej potrzeby bronienia się, wybuchła cichym szlochem. Łzy są jedyną bronią bezbronnych.

Trwało parę minut, zanim Paweł Bernheim pojął, że obraził Lidię. Tak jak jego matka mogła przypisywać urzędnikowi państwowemu inną jakość poczucia honoru, niż nauczycielowi domowemu, tak syn jej Paweł nie pozwalał aktorce czuć się obrażoną w ten sposób, jak księżniczce z Kaukazu lub urodzonej Enders z Nadrenii. Wszelako, gdy przypadek mógł matce tu i ówdzie odmówić racji, jego pogląd o odmiennym klasowym poczuciu honoru u kobiet świadczył o ignorancji, którą dzielił ze wszystkimi swoimi kolegami, uwodzicielami. Gdyż nic nie jest tak bardzo niezależne od stanu, klasy, rodziny, zajęcia i wychowania, jak pojęcie czci u kobiety. Przy tej samej okazji obrażają się księżniczki, co i prostytutki. Te same słowa schlebiają księżniczkom, co i prosty-

tutkom. W tej chwili, w której pojął, dlaczego jego towarzyszka płacze, żałował swego postępowania, gdyż był dobroduszny i zły z powodu „popsutej okazji” — jak brzmi żargon mężczyzn z wyższej sfery — towarzyskiej. Zatrzymał wóz. Lidia opuściła auto, nie patrząc na niego, ze spuszczoną głową. Szła przed siebie, nie patrząc na drogę. On mówił coś, lecz ona nie słuchała. Wstyd nappełnił ją ogłuszającym szumem. W końcu zorientował się, że niczego już nie naprawi. I skierował znowu uwagę na swego Packarda, którego zostawił na środku gościńca. Zawrócił, wjechał w boczną ulicę i poddał się wstrząsającemu uczuciu, że poniósł klęskę.

Sentymentalność jest siostrą brutalności. I nic nie jest bardziej zrozumiałe, jak fakt, że Paweł Bernheim przez całą drogę powrotną myślał o Lidii z żalem i zakochany. Wydawała mu się bardziej godna pożądania niż pierwej, i w tym stopniu cenniejsza, w jakim miał pewność, że ją ostatecznie stracił.

W domu spoczęło jego pierwsze spojrzenie na dużej fotografii jego żony. Uważał, że Irma jest nudna, ociążała i że ma za grube kości. Sport uczynił jej mięśnie bardziej męskimi — sądził — jej barki o dwa centymetry za szerokie. Jej ręce były duże, mocne i suche. Lidia była subtelna, gibka; a skóra jej miała prawdopodobnie żółtawy ton i gładką powierzchnię. Piersi ciemnobrunatne księżyce. Dreszcz spłynął po jego plecach.

Lidia długo czekała na Brandeisa. Przyszedł późno, około północy. Widział jej zaczerwienione oczy, nie pytał o nic i znowu poszedł.

Była to jedna z nocy, które miał zamiar przespać w obojętnym pokoju hotelowym.

XVIII

Wszystkie gościńce świata są do siebie podobne. Wszyscy mieszkańcy całego świata są do siebie podobni. Synowie są podobni do ojców. A kto posiadał tę prawdę, mógłby rozpaczać z powodu zupełnego braku widoków, ażeby prze-

żyć kiedykolwiek jakąś zmianę. Co więcej. Im bardziej się zmieniają mody, formy rządu, styl i smak, tym bardziej wyraźnie we wszystkich formach występują wieczne prawa; prawa, na podstawie których bogaci budują domy, a ubodzy chaty, bogaci noszą ubrania, a biedni gałgany. Oraz owe prawa, według których bogaci i nędzarze kochają, rodzą się, chorują i umierają, modlą się i nie tracą nadziei, rozpaczają i usychają.

Przechodzimy do zaznajomienia się z domem wzbogaconego Pawła Bernheima. Jest przy tym rzeczą ważną przypomnieć sobie dom jego ojca. Stary Bernheim kazał ściąć drzewa i usunąć mur, a młody wzniósł mur i zasadził w dziewiczej ziemi stare, rozłożyste drzewa. W jego ogrodzie nie było już karłów. Bo też firma Grutzer i Sp. nie wyrabiała więcej karłów, lecz kobiece figurki o pewnym kolczastym charakterze, z cienkiej, mlecznobiałej, pustej wewnątrz porcelany. Członki tych figur przypominały kształt igieł świerkowych. Piersi były niby małe piramidy, brzuszki podobne do równoległoboków,

łokcie niby ostrza lanc, a we troje zgięte kolana przypominały modele medyczne, mające unacznić następstwa krzywicy.

Pół tuzina takich figur można było oglądać w przedpokoju Bernheima. Były to podarki pana Karola Endersa i świadczyły o jego modnym smaku, albo dokładniej: o trudzie, jaki sobie zadawał, ażeby udowodnić swój nowoczesny smak. Niewątpliwie owe karzełki, co stały w starym domu Bernheimów, podobałyby mu się lepiej. Ale on byłby gotów litościwie nimi wzgardzić. Gdy Karol Enders kupował obraz, zważał na to, ażeby obraz nie odpowiadał jego rozumowi i jego zmysłom. Wówczas był pewien, że kupił nowoczesne i wartościowe dzieło sztuki. Długie ćwiczenie doprowadziło go do tego, że jego ocena zaczynała się automatycznie wtedy, gdy jakiś przedmiot pobudzał jego niechęć. Oraz do tego, że odnosił się z podrażnioną nieufnością do wszystkiego, co mu się podobało. Tej to metodzie zawdzięczał sławę posiadania „nieomylnego smaku”, jał zatem przeciwdziałać swojemu wrodzo-

nemu smakowi. Jemu zawdzięczał Paweł styl willi, urządzenie i dzieła sztuki. Dom wyglądał jak okręt bez tramu. Tylko okna, wysokie i sięgające aż do strychu, tak że mogły być użyte jako drzwi, przypominały, że to jest dom mieszkalny. Zresztą był otynkowany na biało i stojąco żeglował w dal. Półkolisty wykusz, gdzie w lecie można było spożyć śniadanie — a nawet należało to czynić — z zewnątrz tak wyglądał, jak gdyby mieścił w sobie kabiny luksusowe. Dach nad wykuszem przypominał kapitański mostek. Na pierwszym piętrze ściany były głębsze, a okna zgrabniejsze. Były ocienione szerokimi, kamiennymi, płytkimi brzegami dachu. Powyżej był tylko jeszcze strych, niski łuk z wielu szerokimi i wąskimi oknami, służącymi chyba jedynie do tego celu, ażeby w razie potrzeby wywiesić tam chorągwie. Park był duży. Parę transplantowanych drzew trzymało się w pobliżu domu, jakby w obawie przed nagą rozległością ogrodu. Dom ten zdawał się zawierać więcej „światła, powietrza i słońca” (trzy elementy nowoczesnej architek-

tury, święte dla pana Endersa) niż cały świat. Odnosiło się często wrażenie, że pokoje te były napełnione prywatnym słońcem, gdy niebo było zachmurzone, a powietrze jak gęsta mgła. Najchętniej przesiadywał Paweł przy komin-ku. Miejsce to, ongiś naturalna część wszystkich ludzkich mieszkań, jaskiń i chat, jest dziś tylko symbolem w domach bogatych i jakby rumowiskiem wszystkich w ciągu dnia nagromadzonych sentymentalności. Kominiek Pawła Bernheima był przykryty daszkiem, na którym stała szklanka z wodą, papierośnica, zapal-ki z kolorowymi główkami oraz niebieski fla-kon z geraniami⁴⁹. Błyszczące, mosiężne kra-ty otaczały płomień, wbudowana szachownica z białych i czarnych płyt ciągnęła się od komin-ka prawie do środka pokoju. Po prawej stro-nie spoczywał kwiatami zdobny fotel, po le-wej miękki stołek bez oparcia. Stalowy stojak, na którym równie dobrze można było umie-ścić aparat fotograficzny, jak kapelusze, para-sole i części garderoby, przechodził niespodzia-

⁴⁹*geranie* — dziś popr.: *geranium* (ndm). [przypis edytorski]

nie w abażur lampy, w której dobrze wyścielonym wnętrzu kwitła elektryczna gruszka. Paweł otworzył drzwi do jadalni. Lubił odwracać się od płomieni do łagodnego światła jadalni, gdzie białe, szerokie krzesła z lekko sprężynującymi siedzeniami z plecionej słomy otaczały brunatny, niby narzeczona zasłonięty stół, na którym w środku stała biała miska pełna żółtych kwiatków. Gong w nikłowej ramie mógł każdy nieuprzedzony uważać za lustro do golenia. Rzut oka na pałeczkę z grubą główką z szarej gumy strzegł przed nieporozumieniem. Cały dom był niesamowicie nowy i czysty. Paweł Bernheim badał każde krzesło, zanim usiadł, jak gdyby wciąż jeszcze obawiał się niewyschniętej politory. Czuć było zapach laku, oleju i terpentyny — zapach, który Irma codziennie kazała zwalczać ekstraktem sosnowym. Lecz wprzód nakrywano obrazy, żeby ich rozpylacz nie zrosił. Jedynie w sypialni Irmy pachniało kremem, pomadką do ust i rurką do włosów. Naprzeciw jej szerokiego łóżka, za teatralną kotarą, wisiał ekskluzywny obraz ekskluzywnego ma-

larza Hartmanna, który pan Enders kupił za pięćdziesiąt tysięcy marek. Pan Enders, który niechętnie płacił malarzom, krawcom i fryzjerom, uważając ich za społeczne instytucje, za które się płaci podatki gminne, dał malarzowi Hartmannowi na razie czek na dziesięć tysięcy, w niepewnej nadziei, że czas resztę długu zmniejszy. Nic, jego zdaniem, nie mogło ostać się przed czasem. Czas zjadał ludzi, rzeczy i długi. Najbardziej był niebezpieczny dla malarza Hartmanna. Gdyż im starszy, tym łatwiej stawał się łupem kobiet, które prowadziły go nad brzeg grobu, ażeby go tam opuścić. Pan Enders ciągle malarzowi przepowiadał samobójstwo, szczególnie od kiedy mu był winien czterdzieści tysięcy marek. Widoki na samobójstwo czyniły obraz jeszcze droższym. Irma mogła z łóżka patrzeć na obraz. W ciągu dnia wisiał jak się należy naprzeciw okna. Na noc obmyślił pan Enders specjalny przyrząd. Wąska, świecąca się ramka z matowego szkła zapalała się, gdy naciskano guzik, umieszczony nad

lustrem. Tak więc mogła Irma zabrać ze sobą do snu obraz, ten wyśniony sen.

Paweł Bernheim usiadł przy kominku. Lecz dzisiaj płomień go nie uspokajał. Był sam w swoim trzeszczącym, nowo lakierowanym domu, w którym nie mógł się zadomowić, gdyż wciąż czuł przemoc pana Endersa i przemysłu chemicznego. Gdzie czuł się dobrze? W domu groził mu Enders, w biurze Brandeis. Ach, za lekko sobie wszystko wyobrażał. Mniemał, że w ciągu pięciu miesięcy zostanie poważanym członkiem wielkiego przemysłu. Lecz przemysłowiec Enders był jeszcze ostrożniejszy i bardziej podstępny niż finansista Brandeis. Paweł miał niewzruszone uczucie, że jest oszczędzanym na razie narzędziem ich obu. Niczego mu nie mówili. Zostawili go w szufladzie, jak młotek, którym może kiedyś przybiją parę gwoździ. Gorzkie przeżycie z Lidią nie było jedynym powodem jego zdenerwowania. On, dyrektor kantoru Brandeisa, okreśną drogą dopiero dowiedział się, że Brandeis po kryjomu zaczął sku-

pywać akcje Zalitawskiego⁵⁰ Towarzystwa Akcyjnego. Poza tym donieśli mu, że w Albanii organizuje się towarzystwo dla przemysłu drzewnego pod egidą Brandeisa. Czego Brandeis szukał w Albanii? Mówiono o tym, że zamierza wspólnie z rządem włoskim rozbudować tamtejszą sieć kolejową i że odmawia zakupu materiałów w Rzymie. Rząd włoski jednak tylko pod tym warunkiem chce pośredniczyć w uzyskaniu koncesji na tę budowę. Stopniowo zrozumiał Paweł Bernheim sens podróży, które Brandeis podejmował co drugi miesiąc. Jeździł wciąż na Bałkany, lecz pocztę posyłało mu do Wiednia. Pomału stał się niebezpieczny, myślał Bernheim. Gdy rozpoczął swoje ciche zakupy, nikt go nie znał. Nikt nie wchodził mu w drogę. Przyciszonym głosem i z satysfakcją rzucił w cudowne płomienie kominka: „Ale nie przebrnie, nie pozwolą mu na to”. W tej chwili zawarczał telefon. Irma telefonowała jak co wieczora: „Jak się masz?” —

⁵⁰zalitawski (niem. *transleithanischen*) — znajdujący się za rzeką Litawą, tj. w węgierskiej części Austro-Węgier. [przypis edytorski]

„Jak się masz!” — „Czy wszystko w porządku?” — „Wszystko w porządku!” — „Powiedz mi-
łe słowo!” — „Irmuś!” — wydobył z trudem. Absolutnie nie mógł mówić czułości przez te-
lefon. Irma domagała się ich regularnie, lecz tak samo, jak lubiła wypytywać się o służbę,
szoferów i bieliznę. „Czy wiesz?” — „Proszę!” — „Wuj kupuje mi konia”. „Brawo!” — zawo-
łał Paweł z dławiającą radością. — „Chce z tobą pomówić”. — Pan Enders się zgłosił. Głos jego
brzmiał bardzo daleko, nie mówił bowiem ni-
gdy do muszli⁵¹, lecz w powietrze. Ktoś ze służ-
by mógł bowiem telefonować i zostawić w musz-
li bakterie. Co miesiąc zmieniał w całym domu
aparaty. „Drogi chłopcze — pytał daleki głos
— czy masz coś nowego od Brandeisa?” „Cóż
to ma być takiego?” — „Trans i Cis. A. G. to
po części nasz dział. Sztuczny jedwab w pań-
stwach sukcesyjnych”. „Możliwe!” odrzekł Pa-
weł. „Dowiedz się! Irma wraca pojutrze! Moje
oczko!”

⁵¹*muszla* — tu: słuchawka; mikrofon. [przypis edytorski]

Było to słowo, które Enders doczepiał do poufanych rozmów; pewnego rodzaju pieczęć telefoniczna.

Paweł wrócił do kominka. Wiedział dokładnie, co Enders teraz powie do Irmy: „Nie gniewaj się! Ale twój mąż jest wielkim głupcem!” Te domniemane słowa słyszał Paweł wyraźniej niż przedtem telefonowane. Czy ma poszukać Brandeisa? W jakim celu? Czego dowiedziałby się? A gdyby Lidia opowiedziała? Co za kompromitacja! Renoma gentlemana!

Słowo to wywołało łańcuch nowych asocjacji. Wspomnienia marzeń przed ślubem. Samodzielność, chemia, opanowanie rynku, giełdy, interesy z Ameryką, podróże samolotem, w ciągu dwóch dni Londyn, Paryż, a na trzeci dzień Nowy Jork, sieć potęgi obejmującej cały świat, wszystkie akcje wszystkich niemieckich pism. W domu towarzystwo, tenis, jazda konna, boks. A nie ci nudni ludzie, odwiedzający go obecnie. Nie ta gimnastyka ranna według wskazówek radia, które Irma tak lubiła. Nie, nie miał potęgi. Nikt nie miał przed nim re-

spektu. Już bardziej wytworne i wolniejsze było jego kawalerskie życie. Teodor urósł względnie szybciej.

Paweł podszedł do gramofonu — również prezent pana Endersa — i wybrał płytę pięciu braci King z Wilmington. Śpiew miękkich i głębokich głosów pogłębił smutek Bernheima, aż do tego pożądanego stopnia, w którym zamieniał się w pocieszenie. Usiadł blisko aparatu, ażeby wciąż na nowo go nakręcać. Nie mógł znieść ciszy tego domu. Murzyni musieli śpiewać. Śpiewali niedolę całej rasy i wciągali obcego, bezdomnego człowieka w swoją dziką, gorącą i bolesną przeszłość. Paweł obejmował gramofon wdzięcznym i wiernym spojrzeniem. Jedyny podarek Endersa, który był mu miły. Dwadzieścia lat temu trzeba było sięść do fortepianu. Teraz wystarczyło kręcić korbą. Środki pocieszenia również robiły postępy, a technika wcale nie wygnała sentymentalności.

Kazał sobie przynieść gazety i wertował w nich, czytając „mieszane wiadomości”. Nie bez po-

czucia winy. Powiedział sobie, że nie jest godne kupca nie zajrzeć wpierw do komunikatów z giełdy, lecz było coś silniejszego od niego, co zmuszało go do szukania sprawozdań ze sztuki, z teatrów oraz tragedii rodzinnych. Dzień ten obfitował w nieszczęścia, był więc w gazecie również artykuł brata Teodora, o wystawie okładek do książek, ale i o Niemczech, Europie, żółtym niebezpieczeństwie i Indiach. Teodor nie mógł bowiem opuścić żadnej okazji. Zawsze musiał wypowiedzieć swoje zdanie, a miał do dyspozycji szereg pustych, lecz efektownych formułek. Podśluchał je, skojarzył ich akustyczne części składowe, rozbijał je, nicował, karmił tendencjami czerpanymi z myśli nacjonalistycznej, z Marksa i Stirnera. Paweł zadał sobie trud wstania. Podszedł do kominka i spalił gazety. Należał do wrażliwych ludzi, którzy uważają, że niszczą rzecz, gdy usuwają ją ze swego pola widzenia.

Wciąż jeszcze śpiewali Murzyni. Ogień w kominku powoli przygasał. Paweł Bernheim nie zapalał światła. Usnął w kolorowym fotelu, na-

kłuwającym ciemność jadem wielkich żółtych kwiatów.

XIX

Teodor założył smoking. Z lustra uśmiechała się do niego promienna, uroczyście bladość jego twarzy. Małymi nożyczkami starał się usunąć kilka włosków, rosnących w różnych miejscach małżowiny usznej. Gdy chodziło o jego wygląd zewnętrzny, mógł zdobyć się na wszystką cierpliwość i łagodność, jaką dysponował. Jeszcze raz rzucił okiem na swoje długie ręce, z których był dumny, wywodząc stąd swój arystokratyzm. Wślizgnął się w surdut, pociągnął za klapy i zapalił wszystkie światła. Szuukał odbicia swego profilu, obracając na wszystkie strony lustrzane drzwi szafy i ustawiając je w ten sposób, ażeby z dużym lustrem ściennym utworzyły ostry kąt. Następnie zdjął okulary i przez chwilę nie myślał o niczym, jak gdyby myśli jego umarły z braku wizualnej strawy. Przez zamknięte drzwi dochodził stukot

maszyny do pisania z sąsiedniego pokoju. Sekretarka była zajęta przepisywaniem artykułu Teodora. Przysłuchiwał się pośpiesznemu rytmowi klawiszy jak przyjemnej muzyce. „Teraz jest na trzeciej stronicy, gdzie mówię o bezsilności nocy w niemieckich miastach. Bezsilność nocy, to jest dobre, bez zarzutu, doskonale”. Z kolei sekretarka miała listy do załatwienia. „Korespondencja” — rzekł Teodor. Gdy mu poczta przynosiła dużo listów, czuł się bliższym centrum świata. Gdy otrzymywał list, nawiązujący do jego artykułu, oddawał go natychmiast redakcji, ażeby mogła należycie ocenić skuteczność jego pracy. Poza tym pokazywał list swoim przyjaciołom, a szczególnie tym, którzy się z tego powodu irytowali. Zawsze odpowiadał. Ubiegał się o zaproszenia na uroczystości, wystawy, konferencje, do salonów dyrektorów banków, generałów, ministrów. Następnego dnia opowiadał o swoich dyskusjach. Postanowił „gościom” zademonstrować nowy typ „młodego Niemca”, typ trzeźwy i mimo to patriotyczny, arystokratycznie wycho-

wany, a mimo to rewolucyjny, myślący dyplomatycznie, a jednak wypowiadający się swobodnie. Przy tym drżał ciągle z obawy, czy aby nie powiedział za wiele. Z niektórymi „gośćmi” nie chciał zadzierać, mimo że mu się nie podobali. Do nich należeli jego wydawcy, odpowiedzialni redaktorzy pism i redaktor kontrolujący artykuły Teodora. Gdy ów redaktor sam zamieszczał jakiś artykuł, Teodor natychmiast telefonował: „Winszuję! Doskonały!” — Do przyjaciół mówił: „Czy czytaliście ten artykuł? Nieźle pisze ten chłop, ale naiwnie, naiwnie. Nie umie po prostu patrzeć na świat!”

Stukanie zgasło. Sekretarka zapukała. Teodor był tego zdania, że utrzymywanie prywatnych stosunków z sekretarką nie należy do dobrego tonu. Widział w niej jedynie personel, a nie kobietę. Mimo to poprawił sobie dwoma palcami gładką fryzurę, zanim zawołał: „Wejść!”. Usiadł przy stole, żeby przeczytać skrypt⁵². Sekretarka stała obok niego. Czytał miejsce o „bezsilności nocy”, odwrócił do niej szybko głowę

⁵²skrypt (tu daw.) — maszynopis, oficjalne pismo. [przypis edytorski]

i rzekł: „Dobre! Co?”. Momentalnie tego żałował. Nie mógł nigdy utrzymać należytej równowagi pomiędzy potrzebą usłyszenia słów uznania, a koniecznością utrzymania personelu w przyzwoitym dystansie. Niekiedy tak dalece się zapominał, że odczytywał sekretarce bardzo aktualny artykuł, którego już nie miał czasu przepisywać na maszynie. Biedna panienka, pisząca codziennie od ósmej do czwartej listy, odczuwała swoje zajęcie u Teodora jak kąpiel w dowcipie i błyskotliwości. Podziwiała go. Czytywała książki recenzyjne, które dostawał w nagrodę za to, że zwracał na nie uwagę w swoich sprawozdaniach. Gdy widział jej podziw, pomniejszał o parę centymetrów dystans uszanowania za pomocą pytania: „Czy pani jest już zmęczona? Dobrze! W takim razie będziemy dziś mniej pracować!”

Włożył skrypt do koperty i napisał na niej „Pilne”, chociaż to wcale nie było pilne. Lubił popchnąć powolne sprawy, żeby się pośpieszyły. Czego nie załatwiało się pośpiesznie, nie było ważne. Tempo, tempo. Lekceważąc nor-

malny bieg godzin, przesuwiał naprzód wskazówki swego zegara. Rzucił okiem na zegarek. I aczkolwiek miał jeszcze godzinę czasu, rzekł: „Tak, teraz jestem zajęty. Pani może odejść!” Sekretarka odeszła. On siadł, nakręcił gramofon i rozkoszował się śpiewem płyty „Bracia King z Wilmington”. Muzyka Murzynów wprawiała go w nastrój. Wybierał się dziś z wizytą i postanowił „gościom” pokazać. A nie wybierał się dziś do nikogo innego, lecz do swego brata Pawła.

Tak jest, w domu Pawła Bernheima oczekiwano dziś gościa z Francji. Był to jeden z pisarzy, którzy po wojnie zaczęli nawiązywać stosunki pomiędzy narodami, literacki gołąb pokoju. Podatki, które płacili ojczyźnie ze swych artykułów, obracał minister wojny na przygotowanie przyszłej wojny. Równocześnie minister oświaty zaopatrywał pisarzy w polecenia do poselstwa niemieckiego w Paryżu. Różne stowarzyszenia kulturalne, służące porozumieniu i pojednaniu, zapraszały autorów tłumaczonych książek, celem wygłaszania odczytów.

Pisarze przyjeżdżali, wygłaszali odczyty, odwiedzali różne domy, dostawali trufle i studiowali z życzliwością zwyczaje i obyczaje dawnych wrogów. Robili notatki dla późniejszych artykułów o niemieckich poetach, niemieckich generalnych dyrektorach, niemieckich rewolucjonistach. W towarzystwie niemieckich profesorów romanistyki, niby w towarzystwie aniołów stróżów, odwiedzali domy zamożnych i bogatych, wykształconych i po europejsku myślących oraz przemysłowców, wytwarzających w swoich fabrykach gazy trujące, a czytających w domu Kayserlinga⁵³.

Gościa nie było jeszcze. Profesor Hamerling przyszedł wcześniej i zdawał się słuchać niemych wyrzutów, które w sobie przygotowywał Paweł Bernheim. Jako oskarżenia przyjął profesor Hamerling pytania Irmy: — Czy orientuje się w Berlinie? Czy podał mu pan dokładny adres, panie profesorze? Czy nie zamienił przypadkiem zaproszeń? Goście przy-

⁵³*Kayserling* — najprawdopodobniej Meyer Kayserling (1829–1905), historyk i rabin. [przypis edytorski]

chodzili jeden po drugim. Oświecenie pokojów zdawało się coraz silniejsze, nasycone pokojowym światłem, które każdy trzymał przed sobą jak latarnię. Nie słuchali nazwisk przedstawianych gości, pozdrawiali się skinieniem głowy, nie patrzyli sobie w twarz oczami — lecz odsłoniętymi zębami. Czuli się w podniosłym nastroju. Dom Bernheimów należał bowiem do najbardziej współczesnych w mieście. — Wszystko jest *comme il faut*⁵⁴ — mówili goście, używając dla towarzyskich spraw technicznych wyrazów francuskich, jak się używa łaciny przy konsyliach lekarskich. Paweł zaprosił ludzi *comme il faut* ze wszystkich obozów. Przyszedł pan von Marlow, szlachcic o junkierskim zacięciu, wraz z małżonką. Od kiedy mieszkał w Berlinie i oddał w dzierżawę swoje śląskie dobra, przeszedł z obozu nacjonalistów do partii ludowej. Asfalt miejski uczynił go bardziej liberalnym. Ideał wytworności, polegający przedtem na możliwie silnym nacjonalistycznym zabarwieniu, wymagał dziś wy-

⁵⁴*comme il faut* (fr.) — jak należy. [przypis edytorski]

bitnie europejskich przekonań. Drogą okólną — i tak, że wiedziała o tym jedynie najbliższa rodzina — posyłał pan von Marlow co roku w dniu urodzin cesarza, swoje najuniżeńsze życzenia do Doorn⁵⁵. Nie były to jednak manifestacje przekonań, a raczej przyzwyczajenie do obrządku, prywatna sprawa religijna, tak jak u Żydów w Berlinie, którzy dawno już porzucili wiarę ojców, a po kryjomu obchodzą najświętsze ze swoich świąt, natomiast publicznie i wobec wszystkich sąsiadów świętują Boże Narodzenie.

Przyszedł wydawca demokratycznego pisma, który siedem lat temu był skrajnym radykałem, a obecnie, podobnie jak pan von Marlow, tylko że z innego końca, zmierzał ku środkowi. Od kiedy bowiem dzięki większemu posagowi mógł nabyć małe dobro w Brandenburгии i miał możliwość zetknąć się z ziemią marchii, stawał się coraz bardziej konserwatywny. Aczkolwiek po jego żonie, która co trzy miesią-

⁵⁵*Doorn* — miasteczko w Holandii, w latach 1920–1941 rezydencja byłego cesarza niemieckiego Wilhelma II Hohenzollerna, który po klęsce Niemiec w I wojnie światowej został zmuszony do abdykacji. [przypis edytorski]

ce przywoziła nowe suknie z Paryża i rozdawała zaproszenia na pokaz mód u Molineux'go, wciąż jeszcze można było poznać, że pochodzi z kupieckiego otoczenia dorobkiewiczów. Przebaczano jej to jednak i spodziewano się, że — biorąc pod uwagę jej lekcje jazdy konnej w Tiergartenie — nabierze szlacheckich cech właścicielki dóbr. Miała na sobie ciemnozieloną suknię i brunatną szminkę, ze względu na oliwkową cerę. Pani Irma miała prawie ten sam model w niebieskim kolorze. Podobna sytuacja, będąca następstwem równocześnie podjętej podróży do Paryża. — Następną suknię uszyję sobie w Wiedniu — pomyślała żona wydawcy. Spojrzała na Irmę i odgadła przerażona, że ona pomyślała sobie to samo. — Ma jednak za grube ramiona — pomyślała żona wydawcy. — Ma jednak za cienkie ramiona — pomyślała równocześnie pani Irma. Przyszedł znany publicysta Freytag ze swoją żoną, której suknie były o wiele tańsze, niż artykuły jej męża. Spojrzenia bogatszych dam zgodnie w nią ugodziły, i pani Freytag była wyklęta. Jej

suknia istotnie pochodziła z wyprzedaży urzędzonej z końcem sezonu. Sprzedaje się wtedy garderobę, którą parę razy nosiły modele. Rysy pani Freytag były twarde, zmarszczki dokoła oczu zdradzały, że nie znały masażu. Była jeszcze młoda, ledwie trzydzieści lat. Lecz pierwsze lata jej małżeństwa, kiedy to mąż jej był tym, co się nazywa „drobnym dziennikarzem”, zdawały się teraz dopiero wyciskać na jej twarzy swoje piętno. Wtedy lata te nie były szkodliwe. Lecz ślady zgryzot przychodziły stopniowo, o wiele później, tak jak osłabienie następuje w dłuższy czas po przebrzmiałej już irytacji. Wciąż jeszcze musiała pani Freytag niepewnie podawać rękę. Przyciskała przy tym łokieć do biodra, a ręka jej była jakby zawstydzona i przywodziła na myśl obraz innej ręki, podanej w kuchni, i szybko wytartej o fartuszek. Przyszedł major z ministerstwa obrony krajowej, w ubraniu cywilnym, jakby rozpiętym na fiszbinach, z twardą twarzą ptaka, lecz z nieruchomymi oczami, niby małe, czarne guziczki. Goście z prawej i lewej strony spotykali się na

środku i tworzyli w zakłopotaniu grupki. Niektórzy odrywali się nagle jak gdyby zgubieni na pustyni, odczuwając potrzebę jakiegoś oparcia. Ich ramiona próbowały nieśmiało solidność urządzenia⁵⁶. W pokojach unosiła się niezmierna, uroczyście oświetlona, smutna martwota. Pani Irma poświęcała każdemu gościowi z osobna, *comme il faut*, według przepisów. Była zadowolona, gdy ktoś z obecnych w ostatniej chwili musiał usprawiedliwić nieobecność żony, gdyż to wprowadzało pewne urozmaicenie tematu. — Ależ jaka szkoda, że małżonka pana... — Ten początek nie wymagał żadnego wysiłku, a zawsze był właściwy.

Wreszcie przyszedł francuski pacyfista. Był trochę oślepiiony tragiczną wspaniałością otoczenia i nie mógł się prędko przyzwyczaić do obcych zwyczajów obcego narodu. Nie byłyby może wcale tak obce, gdyby nie silne postanowienie pisania o nich. Ten zamiar wymagał od niego znalezienia czegoś zajmującego, gdzie była tylko pospolitość. Jako członek na-

⁵⁶urządzenie — tu: meble. [przypis edytorski]

rodu znajdującego we własnym kraju wszystko, co mu jest potrzebne, nie opuszczał go pan Antoine Charronoux i lubił w obcych krajach szukać niezwykłości. Jego podróż miała literacki cel, to trudno, musiała więc dostarczyć materiału, czy chciała, czy nie chciała. Pędził od jednego wrażenia do drugiego i równie szybko je klasyfikował. Jego postanowienie pisania w obcym kraju wytwarzało samo przez się, i jak gdyby już z polecenia przyszłych czytelników, romantyczną zasłonę dokoła ludzi i rzeczy idących na spotkanie pana Charronoux i przytwierdzało do każdej piersi markę pewnej reprezentatywnej kategorii. Pan Charronoux był szczęśliwy, gdy pan profesor Hammerling nazywał się przyjacielem Francji. Dla pana Charronoux wszyscy przyjaciele Francji tak samo wyglądali, jak pan profesor Hammerling, który w odległym kącie wygłaszał teraz dla państwa von Marlow i Freytag odczyt o Francji. „Mają” — mówił o Francuzach — „ów trzeźwy, mały, praktyczny rozum, którego brak nam Niemcom, z duszą we wiecznej mgle. Lubię nade

wszystko dobry, pogodny styl życiowy wesołych Francuzów, ich sposób jedzenia, picia i kochania. Paryż pozostanie na zawsze centralą rozumu i przyjemności. My zostaniemy na zawsze dziećmi Północy, a naszą ojczyzną są łagodne cienie zmierzchu”. — „Oni nas potrzebują, a nie my ich” — rzekł Teodor, który właśnie wszedł. Mając instynkt dla poważnych i problematycznych dyskusji zbliżył się momentalnie i mechanicznie do grupki dokoła Hammerlinga. Z rozkoszą czuł swoją tęgą młodzieńczość w stosunku do tego uroczego Hammerlinga. Miał wrażenie, że słuchacze dokoła głęboko oddychają z podziwu. „Paryż” — ciągnął Teodor dalej — „przestaje, dawno przestał być centralą. Teraz zostaje nią, już nią jest Berlin”. „Nie mówiliśmy o tym” — rzucił Hammerling z ważnością i zniecierpliwiony. „Lekkość Francuzów osiedliła się właśnie w Paryżu. W Berlinie pracuje się, w Niemczech się pracuje”. Pan Charronoux zbliżył się do grupy. Usłyszał ostatnie słowa i postanowił powtórzyć je dokładnie. Wchłaniał tak wnikliwe,

zrozumiałe powiedzenia. Był przecież od pewnego czasu, nie wiedząc nawet o tym, okiem i uchem swoich przyszłych czytelników. „W Paryżu osiedliła się lekkość, w Niemczech praca”.

Jakie szczęśliwe rozwiązanie. W przyszłości wszelka wojna jest wykluczona!

Siedział przy stole obok pani Irmy. Wszystko *comme il faut*. Dawno już postanowiła pokazać mu dom i obrazy. Rozważała, czy wypada wejść z nim do sypialni, do dużego obrazu Hartmanna. Zaczęła ostrożnie o tym mówić. „Wisi niestety w mojej sypialni” — rzekła. Pan Charronoux zmierzył ją ukradkiem nowym spojrzeniem, które nagle nakryło jego oczy, jak okulary. Momentalnie wyobraził sobie tę sypialnię, bardzo dokładnie — a było może interesujące wiedzieć, jak sypialnie w tej sferze towarzyskiej wyglądają. Pewien pan z poselstwa francuskiego powiedział mu, że nigdzie nie ma tyle oddzielnych sypialń, co w Niemczech. Dodać może rozdział o erotyce?

Paweł Bernheim był najbardziej obcym gościem wśród swoich gości. Przypatrywał się jednej kobiecie po drugiej. Dlaczego nie było tu Lidii? Nie kochał jej. Utwierdzał się w tym przekonaniu. Nie, nie kochał jej. „Pożądanie” — nasunęło mu się. Było to trafne słowo. Pożądał jej. Dzięki niej przekonał się, że wcale nie rozporządza nieodpartym czarem. Niezręczny był, ociężały. Dziecinna ochota dyktowała mu, by rzucić się na podłogę i tupać nogami, jak to praktykował jako chłopiec, krzycząc: — Ja tak chcę, bo ja tak chcę. Chcę Lidii, chcę Lidii — powtórzył dziesięć razy, nie mogąc powstrzymać mechanicznego i potężnego biegu tych krótkich zdań. Każde z nich sprawiało mu ból. Mógł dokładnie śledzić drogę każdego słowa. Zdawało się tryskać z serca, iść za krążeniem krwi, wznosić się do mózgu, zatrzymać się tu przez chwilę i wracać z powrotem do serca. Chcę — mieć — Lidię! — — — Co za męka!

Czekał na koniec uczyty, jak gdyby miało potem nastąpić coś decydującego. Coś niemoż-

liwego. Trzeba by cały nieskończony czas, który przed nim leżał całe życie, nasycone niespełnionym życzeniem, posiec, podzielić, i na końcu każdej cząsteczki oczekiwać jakiegoś rozstrzygnięcia. W ten sposób podzieloną beznadziejność łatwiej było znieść niż olbrzymią, niepodzieloną, wszechobejmującą. A mnóstwo rozczarowań na końcu każdego rozdziału, to było lepsze niż jedno jedyne rozczarowanie.

Powstali z miejsc. W ciągu sekundy powziął decyzję odejścia. Za drugim rogiem na lewo stała willa Brandeisów. Rzekłbyś: w ostatniej chwili dopiero uświadomił sobie położenie geograficzne willi i teraz przyszła mu na myśl cudowna bliskość Lidii, jako ostatni ratunek. To nie było przecież możliwe, ażeby tak blisko siebie mieszkać i nie móc spotkać się. Pobiegnął na ulicę. Skręcił za drugim rogiem, w lewo.

Przed willą Brandeisów płonęły, jak dwa jasne słońca, oczy auta. Drzwi ogrodu i brama były otwarte. Dwóch mężczyzn w liberjach, widocznie szofer i portier, przyniosło dwie duże walizy i wpakowało je do wozu.

Paweł stał w cieniu. Słyszał głosy. Gorąco mu się zrobiło. Ręce mu opadły. Szukał sztaby żelaznej za sobą. Słuchał głosu Lidii, jak dalekiego śpiewu. Lecz nie rozumiał, co mówiła.

Po kilku sekundach Lidia wyszła z domu. Motor zawarczał. Huk motoru uspokoił Pawła Bernheima. — Jak długo motor huczy, mam czas! — pomyślał. Szmer złagodził nieznośną jasność reflektorów. Paweł mierzył krótką odległość dzielącą go od wozu. Potrzebował sekundy, nie więcej jak jednej sekundy, ażeby chwycić za drzwiczki auta. Inny Paweł Bernheim, ruchliwy, oderwał się od stojącego, podskoczył do auta, wsiadł i pojechał. Zdarzyło się to w tej chwili, a spełniło się przecież już przed wielu, wielu laty. Nagle wszystko zostało, odrobione i przeżyte. Daleko za Pawłem Bernheimem leżały przygody, ambicja, blask towarzystwa, potęga, miłość, świat. Było jak gdyby jeszcze raz wszystko zrobił, myślał, czuł, lecz tylko na pozór. Ktoś oddał mu tę rolę do odegrania, bo przeżył już dawno jej treść i dobrze ją znał.

Nagle ustał warkot; równocześnie reflektor zrobił pół obrotu i zalał stojącego człowieka światłem. Paweł Bernheim opuścił w dół głowę. Trwało to chwilę. Wóz ruszył bezszelestnie.

Paweł puścił kratę, której się trzymał dotychczas. Chciał odejść. Zdawało mu się, że przeżył tu dwadzieścia lat. Drzwi willi były jeszcze otwarte. Z podwórza sączyło się kojące, złote światło. Brandeis wyszedł na dwór.

— Kto tam? — zapytał Brandeis.

— Ja — odpowiedział Paweł.

Brandeis podszedł bliżej lekkim, bezgłośnym krokiem, który czynił jego ciężką, olbrzymią postać tak nieprawdopodobną. Jak gdyby chodził na obcych nogach.

— Pan do nas?

— Nie — rzekł Paweł — do niej.

— Lidia Markowna odjechała na zawsze. Wróciła do swego teatru. Są obecnie w Genewie. Może pan tam pojechać!

— Nie! — odrzekł Paweł. I myślał: — Mój ojciec byłby pojechał, mój ojciec byłby pojechał.

— Możemy się od razu pożegnać — rzekł Brandeis. — Podprowadzę pana do domu. — To wystarczy. Ja jadę jutro. Nie wrócę tak prędko. Nie jestem już zdolny zatrzymywać się długo na jednym miejscu.

— Właściwie powinienem się przed panem usprawiedliwić. Miałem kilkakrotnie zamiar mierzyć się z tym żywiołem, w którego sąsiedztwo pan się dostał dzięki małżeństwu. Chciałem sobie pana zarezerwować. Nie miałem nigdy zbytniego uszanowania przed panem, w ogóle przed żadnym człowiekiem. Moje zdanie nic tu nie znaczy, lecz na wszelki wypadek byłbym panu o tym napisał. No, skoro panu tu znienacka zaszedłem w drogę, powiem to panu. Okoliczności są nieco za romansowe jak na mój gust.

— Nie biorę panu niczego za złe — rzekł Paweł. — Jeszcze pięć minut temu byłbym się głęboko obraził. W międzyczasie jednak posta-

rzałem się. Spójrz pan, panie Brandeis, spójrz pan na moje włosy! Czy nie są jeszcze białe. Od trzech minut mam uczucie, jak gdybym opuścił mój dom jako młody człowiek, a wracał jako starzec. Zdaje mi się, że jestem już na tyle mądry, ażeby panu wyznać, iż zawsze pana podziwiałem i bałem się pana. A jednak nie jestem jeszcze na tyle mądry, ażebym mógł wyrzec się pytania, które panu chcę zadać: — Dlaczego pan mną pogardzał?

— Nie wiem — odpowiedział Brandeis. — Był pan słabeuszem. Nie byłby pan na przykład w stanie, w dzień albo godzinę przed ostateczną, prawdziwą potęgą, porzucić wszystko, tak jak ja to teraz uczynię. Gdyż do tego nie trzeba siły, by coś zdobyć. Wszystko jest spróchniałe i poddaje się panu. Lecz porzucić, porzucić, o to idzie. A jednak nie mam uczucia, jakobyem uczynił coś niezwykłego. Coś mnie stąd gna. Tak jak mnie coś tu ciągnęło. Coś mnie popycha, a ja jestem posłuszny. Miej się pan dobrze, panie Pawle Bernheim. Próbuje pan, teraz panu może się uda.

Stali przed nowym domem Bernheima. Wszystkie okna były oświetlone. Pawłowi zdawało się, że słyszy głosy swoich gości. Sięgnął do kieszeni po klucz. Wyjmując go, rzekł obojętnie, jak gdyby jego słowa miały jakiś związek z drzwiami: — Powiedz mi pan, panie Brandeis, czy pan odesłał Lidię?

— Nie, odeszła. Ja nikogo nie odsyłam. Odeszła i może ja również dlatego odchodzę. Nie wiem, co mnie zatrzymuje, i nie wiem, co mnie stąd wypędza.

Sekundę stał cicho.

Następnie rzekł głośno: Dobranoc! I nie czekając na odpowiedź, znikł w cieniu drzew, okalających brzeg ulicy.

XX

W parę dni później wysiadł Nikołaj Brandeis na jednej z owych stacyjek granicznych, które tak często przekraczał. Opuścił stacyjkę, nie zobaczywszy niczego poza opustoszałym, bezgranicznym smutkiem dworca towarowego, pro-

wizorycznym, etapowym widokiem drewnianych, brunatną mazią pomalowanych baraków i koleżeńską zgodą różnie umundurowanych celników dwóch krajów. Pozostał w małym miasteczku, do którego doszedł po półgodzinnej wędrówce z dworca, jak gdyby dopiero pobyt w tej miejscowości i wreszcie zrealizowany, a często go nawiedzający przemijający kaprys dostarczył mu dowodu jego odzyskanej wolności. Spokojni mieszkańcy małego miasteczka odwracali się za nim. Twarz jego zdawała się być z tego samego rdzawobrunatnego materiału i chociaż jego kapelusz, jego ubranie i jego obuwie miały europejski krój, robiły jednak wrażenie stroju noszonego przez synów obcego narodu, w nieznanym, bardzo dalekim kraju. Leniwie posuwał się Brandeis przez małe, wąskie uliczki, które stawały się jeszcze mniejsze i węższe, gdy on się na nich pojawiał. Za nim i przed nim otwierała się dal.

Nie wiedział jeszcze, dokąd pójdzie. Wszędzie zdawała mu się ziemia jednakowa. We wszystkich miastach wszystkich krajów rodziła w nie-

skończenie cierplivej i bolesnej dobroci słabych Pawłów Bernheimów, będących więźniami swoich niedorzecznych pragnień; żałośnie chaotycznych Teodorów, żyjących w wiecznym, gęstym cieniu publicznej patetyczności. Potentatów, których potęga zamieniała się w bezsilność i którzy dusili się w gazie trującym własnej fabrykacji. Obieżyświatów, którzy przybywali z Budapesztu i siedzieli za parawanami. Małych dziewcząt, które chcą być kochane, i tracą swoje małe serduszka.

Beze mnie, myślał Brandeis, świat potoczy się swoim wiecznym, nudnym torem. Paweł Bernheim dostanie się w końcu do chemii. Pan Enders w następnej wojnie będzie ratować ojczyznę, Teodor będzie pisać artykuły wstępne do pisma, którego akcje ja posiadam. Pojadę: dokąd? Porty całego świata na mnie czekają.

Okolo szóstej godziny po południu wsiadł znowu do pociągu. O tej godzinie zaczęły kościane szydełka starej pani Bernheim stukać; oraz maszyna do pisania w domu jej syna Teodora. Pani Irma pożegnała domowego lekarza

i przygotowała się do wyjawienia mężowi tradycyjnej słodkiej tajemnicy. W łonie nosiła jego spadkobiercę. Pan Sandor Tekely udał się do węgierskiej restauracji na Augsburgerstrasse. Szoferzy Brandeisa zamieniali swoje liberie na tanie ubrania cywilne. Urzędnicy telefonowali do swoich przyjaciółek i wyciągali ze swoich portfeli bilety do teatru po zniżonej cenie. Zaczynała się praca nocna w redakcjach. Redaktorzy wkładali błyszczące lustrynowe⁵⁷ surduciki i ostrzyli swoje czerwone ołówki. A wiadomości dobijały się, dzwoniąc do kabin telefonicznych wyścielonych skórą. Wiadomości z Bukaresztu i Budapesztu, z Amsterdamu i Rotterdamu, z Londynu i Bombaju, z Kairu i Nowego Jorku. Świat toczy się swoim nudnym trybem.

Po raz ostatni widziano wówczas Brandeisa. Od owego dnia nikt o nim nie mógł niczego donieść.

⁵⁷*lustrynowy* (daw.) — wykonany z lustryny, tj. lśniącej, cienkiej tkaniny z wełny lub z bawełny. [przypis edytorski]

Wsiadł do pociągu i narodził się nowy Ni-
kołaj Brandeis.

I tak rozpoczyna się tu nowy rozdział.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/roth-rodzina-bernheimow>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Roth, Rodzina Bernheimów, tłum. dr I. Berman, Wydawnictwo "Globus", Lwów-Warszawa [1933].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Eine Publikation im Rahmen des Projektes Wolne Lektury. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Kowalska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Time is Money, Olivia Alcock, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0820-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

JÓZEF ROTH *Rodzina Bernheimów*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, 362

KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwiązać bi-